

# Burzliwa miłość

Nora Roberts



calibre 0.9.43

**BURZLIWA MIŁOŚĆ**

**ROZDZIAŁ PIERWSZY**

Ciepły wiatr targał jej włosami, smagał po policzkach. Jillian uniosła wyżej głowę.

Klacz, na której siedziała, ponownie puściła się galopem, miażdżąc kopytami trawę i polne kwiaty. Nieopodal biegła ścieżka, którą z obu stron porastały krzaki srebrzystoszarej szaławii.

Wszędzie wokół rozciągały się łąki i pola - nieskończona przestrzeń, której pustki nie zaburzało ani jedno drzewo. Ciszę przerywał jedynie melodyjny świergot skowronka.

Jillian rozejrzała się dookoła. Nie była farmerką. Gdyby ktoś ją tak nazwał, roześmiałaby mu się w twarz albo by się zezłościła, w zależności od humoru. Zboże uprawiała dlatego, że było potrzebne. Dlatego, że mając własne siano i paszę, człowiek był

niezależny i samowystarczalny. A swobodę i niezależność ceniła nade wszystko. W dobrych latach sprzedawała nadwyżki zboża, a za zarobione pieniądze kupowała bydło. Bo była ranczerką, tak jak jej dziadek i pradziad.

Ziemia ciągnęła się po horyzont. Jej ziemia, żyzna i urodzajna. Całe hektary pszenicy i innych zbóż oraz łąki i pastwiska, na których pasły się konie i krowy.

Dziś Jillian zrobiła sobie wolne. Jechała przed siebie bez powodu. Dla przyjemności.

Nie liczyła pogłowia bydła, nie sprawdzała, czy ogrodzenie nie jest uszkodzone, po prostu cieszyła się przyrodą i swobodą.

Nie urodziła się w siodle na rozległych równinach Montany. Przyszła na świat w Chicago, ponieważ jej ojciec porzucił zachód na rzecz wschodu i ranczo na rzecz medycyny.

Jillian nie miała mu tego za złe, w przeciwieństwie do dziadka, który nie mógł się pogodzić z decyzją syna. Uważała, że każdemu wolno dokonać wyboru. Dlatego też sama postanowiła wrócić na zachód, w swoje rodzinne strony. Uczyniła to pięć lat temu, kiedy skończyła dwadzieścia lat.

Dotarłszy na szczyt niewielkiego wzgórza, przystanęła. Stąd miała idealny widok na ogrodzone pastwiska ciągnące się za polami żyta i pszenicy. Kiedyś nie było tu żadnych ogrodzeń, bydło wędrowało po prerii, swobodnie przemieszczając się z miejsca na miejsce.

Tak było za czasów jej prapraprzodków, którzy skuszeni gorączką złota wyruszyli do Kalifornii, lecz oczarowani pięknem Montany postanowili przerwać wędrówkę i tu się osiedlić.

Złoto... Pokręciła z zadumą głową. Na co komu złoto, kiedy się ma tak wspaniałe widoki? Gdyby jej przodkowie kontynuowali podróż, może znaleźliby kilka bryłek, ale cieszyła się, że się tak nie stało. Podobnie jak oni, zakochała się w Montanie od pierwszego wejrzenia.

Miała wówczas dziesięć lat. Na zaproszenie, a raczej rozkaz dziadka przyjechała do Utopii wraz ze swoim starszym bratem. Szesnastoletni Marc był tu już po raz drugi lub trzeci; tak jak ich ojciec, prowadzeniem rancza nie wykazywał żadnego zainteresowania.

Jillian natomiast była zachwycona. Wszystko jej się podobało: przyroda, otwarta przestrzeń, padoki, stajnie, stodoły, no i pełen uroku stary drewniany dom. Wystarczyła godzina, aby dziesięcioletnia dziewczynka wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że woli taki bezkres nieba od ulic i wieżowców Chicago. Tak, to była miłość od pierwszego wejrzenia.

Z dziadkiem jednak sprawa była nieco bardziej skomplikowana. Clay Baron był twardy, uparty i nie znosił sprzeciwu. Hodowla bydła stanowiła sens jego życia. Nie potrafił nawiązać kontaktu z chudą, zadziorną dziewczynką, która była jego wnuczką. Przez kilka dni krążyli wokół siebie, aż wreszcie starzec rzucił jakąś kąśliwą uwagę na temat swojego syna.

Dziewczynka natychmiast stanęła w obronie ojca. Skończyło się to straszliwą awanturą.

Po dwóch tygodniach dziadek z wnuczką rozstali się, pełni szacunku, lecz i wzajemnej niechęci. Potem starzec przysłał jej w prezencie urodzinowym beżowego stetsona. I od tego wszystko się zaczęło.

Może dlatego tak bardzo się pokochali, że niczego nie próbowali przyspieszać.

Widywali się raz na kilka miesięcy. W czasie jej krótkich pobytów na ranczu dziadek nauczył ją wszystkiego: jak po zapachu powietrza i wyglądzie nieba przewidzieć pogodę na najbliższe dni; jak odebrać poród cielaka; jak objechać teren, sprawdzając, czy ogrodzenie nie zostało uszkodzone; jak oddzielać pojedyncze sztuki od stada. Mówiła do dziadka po imieniu, bo byli przyjaciółmi. To on podtrzymał jej głowę, kiedy wypaliwszy swojego pierwszego i jedyne w życiu papierosa, zaczęła wymiotować. Nie prawil jej kazań.

Gdy pogorszył mu się wzrok, przejęła prowadzenie ksiąg rachunkowych. Nigdy o tym nie rozmawiali, tak jak nie rozmawiali o jej przeprowadzce na ranczo. Po prostu im słabszy stawał się dziadek, tym więcej Jillian brała na siebie obowiązków.

Po śmierci dziadka odziedziczyła Utopię. Clay wiedział, że wnuczka dobrze zaopiekuje się ranczem. I faktycznie, bez żalu pożegnała się z dawnym życiem. Przyszło jej to znacznie łatwiej niż pożegnanie z dziadkiem.

Długo nie mogła pogodzić się z jego śmiercią, choć jednocześnie zdawała sobie sprawę, że śmierć była dla niego wybawieniem; nie chciałby żyć chory, słaby, zdany na pomoc innych. Gdyby widział, jak ona rozpacza, na pewno nagadałby jej do słuchu. „Na miłość boską, dziewczyno! Nie trać czasu na łzy! Zajmij się ranczem. Załataj ogrodzenie, zanim krowy porozłażą się po całej Montanie!”

Uśmiechnęła się pod nosem. Tak, nakrzyczałby, potem zakląłby siarczyście i splunął.

Oczywiście, ona, Jillian, nie pozostałaby dziadkowi dłużna; też by się wściekała, tupnęła nogą...

- Och, ty stary uparciuchu - szepnęła do siebie. - Zobaczysz, zrobię z Utopii najlepsze ranczo w Montanie. Prawda, Delilo?

Widząc, jak koń niecierpliwie zarzuca łbem, poklepała go po szyi, a następnie pociągnęła wodze. Zwierzę ruszyło kłusem w dół zbocza.

Nieczęsto pozwalała sobie na luksus nicnierobienia. Ale dziś nawet nie miała wyrzutów sumienia; po prostu rozkoszowała się wolnością. Jutro gotowa była pracować osiemnaście godzin, by nadrobić zaległości. Nawet poświęci kilka godzin na księgi rachunkowe! Musi się również zająć chorą jałówką i naprawić dżipa, który zepsuł się po raz trzeci w tym miesiącu. No i trzeba koniecznie sprawdzić ogrodzenie, zwłaszcza na odcinku graniczącym z posiadłością Murdocków.

Na myśl o sąsiadach skrzywiła się. Wojna pomiędzy Baronami a Murdockami zaczęła się w pierwszych latach dwudziestego wieku, kiedy Noah Baron, jej prapradziadek, przybył

do Montany. Zamiast jechać do Kalifornii, jak pierwotnie zamierzał, osiadł w południowo -

wschodniej części Montany. Murdockowie żyli tu już od wielu lat, mieli doskonale prosperujące ranczo. Traktowali przybyszy jak intruzów, których należy się pozbyć. Jillian pamiętała opowieści dziadka o niszczonej płotach, uszkodzonych płodach rolnych i kradzieżach bydła.

Baronowie jednak przetrwali. Nie tylko nie dali się przepędzić czy zniechęcić, lecz odnieśli sukces. Nie mieli tyle ziemi ani pieniędzy co Murdockowie, ale mieli zapał, energię i rozum. Gdyby dziadek znalazł na swoim terenie ropę, tak jak Murdochowcie, to też mógłby rozpocząć hodowlę bydła czystej rasy. To była kwestia szczęścia, a nie umiejętności.

Zresztą co tam! Niech krowy Murdocków zdobywają w konkursach i na wystawach błękitne wstęgi. Jej w zupełności wystarczą pospolite herefordy i rasy krótkorogie. Wszyscy cenili wołowinę z tego rancza - zawsze była najwyższego gatunku.

Jillian prychnęła pogardliwie. Kiedy to ostatni raz Murdock objeżdżał swój teren?

Kiedy pocił się w słońcu, kiedy zaganiał bydło i wdychał kurz wzbijany przez końskie kopyta? Na pewno ani razu w ciągu ostatniego roku. Nie, Murdocków bardziej interesuje stan konta niż praca na ranczu. No cóż, ich sprawa. Ale za kilka lat Utopia urośnie w siłę, a MM, jak powszechnie nazywano posiadłość Murdocków, zamieni się w ranczo dla turystów.

Na myśl o tym Wybuchnęła wesołym śmiechem. Powietrze pachniało wiosenną świeżością, a bezkresnego błękitu nie mąciła nawet najmniejsza chmurka.

Zawróciła konia w stronę wąskiej ścieżki biegnącej wzdłuż zachodniej granicy farmy.

Osiki i topole powoli zaczynały przybierać zielony kolor. Lubiła to miejsce; przyjeżdżała tu, gdy szukała samotności. Czasem spotykała tu kojota, czasem grzechotnika. Ale nie bała się; zawsze miała umocowaną do siodła nabitą strzelbę.

Klacz skierowała się nad staw. Ściągnąć przepocone ubranie, wskoczyć na chwilę do czystej, lodowatej wody, następnie położyć się na trawie, żeby wyschnąć... Jillian poczuła dreszczyk podniecenia. Tak, popływa kilka minut, Delila w tym czasie napije się i odpocznie, a potem ruszą w drogę powrotną. Już miała zsiąść z konia, kiedy nagle zwierzę coś wyczuło i zaczęło wierzgać.

Pewna, że gdzieś nieopodal leży grzechotnik, Jillian jedną ręką próbowała uspokoić konia, a drugą sięgnąć po strzelbę. Zanim się spostrzegła, co się dzieje, wylądowała w stawie.

Chwilę wcześniej, szybując w powietrzu, zauważyła, że grzechotnik, którego się koń wystraszył, ma długie nogi.

Wściekła, wynurzyła się z wody i odgarnawszy z oczu mokre kosmyki, popatrzyła na mężczyznę siedzącego na pięknym płowym ogierze. Był wysoki, miał ciemne falujące włosy, które mu opadały na kark, oraz szczupłą ogorzałą twarz ocienioną rondem czarnego stetsona.

Nos prosty, arystokratyczny, usta pełne, ładnie zarysowane, oczy równie ciemne jak włosy...

Nagle Jillian zorientowała się, że facet z trudem powstrzymuje rozbawienie.

- Co, do diabła, robi pan na mojej ziemi?

Nie odpowiedział, jedynie uniósł brwi. W skupieniu przyglądał się dziewczynie.

Podobały mu się jej ociekające wodą rude włosy, brzoskwiniowa cera i zielone, ciskające gromy oczy. Usta miała gniewnie zaciśnięte, brodę lekko wysuniętą, znamionującą upór.

- Pytałam, co, do diabła, robi pan na mojej ziemi?

Płynnym ruchem świadczącym o tym, że całe życie spędził w siodle, mężczyzna zsiadł z konia, po czym zamaszystym krokiem podszedł na skraj stawu i błysnął zębami w uśmiechu. W zniewalającym uśmiechu...

- Pomogę pani - rzekł, wyciągając do Jillian rękę.

Ignorując jego ofertę, sama wygramoliła się na brzeg.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Hm, temperamentu jej nie brak, pomyślał, wsuwając kciuki do kieszeni spodni.

- To nie jest pani ziemia, panno...

- Panno? - zezłościła się. - Jestem Jillian Baron. A pan co za jeden i jakim prawem pan twierdzi, że to nie moja ziemia?

Przyłożył palce do ronda kapelusza.

- Aaron Murdock - przedstawił się. - Granica między naszymi ranczami przebiega tędy... - Spojrzał

w dół, jakby widział narysowaną na ziemi kreskę. - Przez środek stawu.

Wylądowała pani na mojej części.

Aaron Murdock, syn i jedyny spadkobierca starego Murdocka. Co on tu robi? Przecież wyjechał do Billings, by doglądać rodzinnych szybów naftowych.

- Jeśli wylądowałam po pana stronie nieistniejącego płotu, to dlatego, że wystraszył pan moją klacz.

Zerknęła przez ramię na konia mężczyzny; z całej siły starała się nie okazać zachwytu.

- Trzeba było mocniej trzymać wodze. Miał rację, ale jego uwaga jeszcze bardziej ją rozzłościła.

- Delila wyczuła obecność innego konia i...

- Delila? - spytał z rozbawieniem, po czym uważnie przyjrzał się klaczy. - To jakieś zrządzanie losu. Przedstawiam pani Samsona.

Na dźwięk swojego imienia ogier podszedł bliżej i potarł pyskiem o ramię mężczyzny.

W policzku Jillian ukazał się maleńki dołeczek.

- Oczywiście pamięta pan, co spotkało biblijnego Samsona? Lepiej niech się pana Samson trzyma z dala od mojej Delili.

- Piękna klaczka. Może trochę narowista, ale wspaniale zbudowana.

Jillian zmrużyła oczy.

- Skąd się pan wziął na ranchu ojca? Tu nie ma ropy.

- Nie szukałem ropy. Kobiety też nie szukałem. - Niedbałym gestem uniósł kosmyk jej gęstych włosów. - A jednak znalazłem.

Serce zabiło jej mocniej. Och nie, tylko nie to, pomyślała. Przeniosła spojrzenie na palce bawiące się jej włosami.

- Puść - powiedziała cicho. - Chyba że chcesz stracić rękę.

Zawahał się, po chwili jednak cofnął dłoń.

- Co za porywczosć - stwierdził z uśmiechem. - No ale wy, Baronowie, zawsze byliście w gorącej wodzie kąpani.

- Podobnie jak wy, Murdockowie.



Mierzyli się wzrokiem, oboje świadomi narastającego przyciągania. Jedno i drugie pilnowało się, by nie opuścić gardy.

- Przykro mi z powodu śmierci Claya - rzekł w końcu Aaron. - To twój dziadek, prawda?

Broda lekko jej zadrżała, spojrzenie sposepniało. Ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że dziewczyna darzyła starca autentyczną miłością. On sam spotkał Claya zaledwie kilka razy w życiu; w pamięci pozostał mu obraz nieprzyjemnego człowieka, ich odwiecznego wroga.

- A ty jesteś tą dziewczynką, która spędzała tu letnie wakacje? - Usiłował sobie przypomnieć, czy ją kiedykolwiek wcześniej widział. Odruchowo potarł ręką nieogolony policzek. - Jill, prawda?

- Jillian - poprawiła chłodno.

- Jillian - powtórzył. - To rzeczywiście pasuje bardziej niż Jill.

- A najlepiej pani Jillian Baron. Ignorując tę złośliwość, powiódł wzrokiem po jej twarzy i sylwetce. Nie, chyba nigdy jej wcześniej tu nie widział. Na pewno zapamiętałby te pełne usta i zielone oczy.

- Jeśli Gil Haley nadal zarządza Utopią, powinnaś sobie dać radę...

Zjeżyła się.

- Utopią zarządzam ja. Gil jedynie u mnie pracuje.

- Ty? - Zadrżały mu kąciki warg.

- Owszem, ja. W przeciwieństwie do ciebie nie spędziłam ostatnich pięciu lat na przesuwaniu papierów po biurku. - Zauważyła błysk złości w jego oczach, ale brnęła dalej: -

Utopia należy do mnie. Wszystko tu jest moje, każdy skrawek ziemi, każde źdźbło trawy. I wierz mi, nie oszczędzam się; haruję od świtu do nocy.

Zaintrygowany, chwycił dłonie Jillian i nie zważając na jej protest, obejrzał je ze wszystkich stron. Były szczupłe, lecz silne i pokryte odciskami. Poczul przyływ sympatii do tej dziewczyny. Miał dość delikatnych, nienawykłych do pracy rączek, z jakimi stykał się w Billings.

- No, no - mruknął z uznaniem.

Była wściekła. Na jego ręce, dlatego że są takie silne. I na własne serce, że tak szybko bije. Miała wrażenie, że swym łomotem zagłusza świergot ptaków.

Po chwili wzięła się w garść. Musi stąpać twardo po ziemi, nie wsłuchiwać się w głos serca, nie wpatrywać w ciemne oczy, nie rozkoszować dotykiem dłoni. Kiedyś przed laty uznała, że serce jest ważniejsze od rozumu. Wodziła maślanym wzrokiem za ukochanym, gotowa nieba mu przychylić. Ale od tego czasu zmądrzała. I wiedziała, że powinna pamiętać o najważniejszym: że należy do rodziny Baronów, a mężczyzna, który stoi naprzeciwko niej -

do rodziny Murdocków.

- Już raz prosiłam, żebyś zabrał rękę.

- Bo co?

- Nie lubię, jak mnie ktoś dotyka.

- Nie? - Wciąż ścisnął jej dłonie. - Większość żywych istot lubi pieszczoty. - Nagle coś go tknęło. - Chyba że ktoś je skrzyw...

- Pilnuj swojego nosa, Murdock. - Szarpnęła się, uwalniając rękę.

Odwróciwszy się na pięcie, podeszła do Delili i poklepała ją po zadzie. Z najwyższym trudem się powstrzymała, by nie pogłaskać płowego ogiera. Po chwili dosiadła klaczy i nasunęła na głowę wilgotny kapelusz. Od razu poczuła się lepiej, górując nad Aaronem.

- Życzę miłego wypoczynku, Murdock - powiedziała, pochylając się nad łąkiem. - Nie przemęczaj się za bardzo.

Mężczyzna pogłaskał Delilę po szyi.

- Wezmę sobie twoją radę do serca, Jillian. - Nasunął jej kapelusz bardziej na czoło. -

Mmm - szepnął, wciągając głęboko powietrze. - Pachniesz tak pysznie, że mógłbym cię zjeść.

Udała, że nic nie czuje, że jego słowa nie robią na niej wrażenia. Wyprostowała się w siodle i uśmiechnęła cierpko.

- Jestem zawiedziona, Murdock. Wydawałoby się, że facet po studiach, który mieszka w dużym mieście, powinien znać bardziej oryginalne sposoby podrywania dziewczyn.

Wsunął ręce do kieszeni spodni. Z zafascynowaniem obserwował lśniące w słońcu oczy Jillian; ich zielonej barwy nie mącił najmniejszy punkcik brązu czy szarości.

- Będę ćwiczył - obiecał z powagą. - Może następnym razem wypadnę lepiej.

- Następnym? - Prychnęła pogardliwie. - Nie będzie żadnego następnego razu.

Zanim zdołała odjechać, zacisnął rękę na uździe jej klaczy.

- Będzie wiele następnych razy - oznajmił cicho. - Sama o tym dobrze wiesz. -

Poklepał Delilę po szyi, po czym skierował się do własnego konia. - Do zobaczenia wkrótce, Jillian.

Delila rzucała nerwowo łbem.

- Trzymaj się swojej strony ogrodzenia, Murdock. - Spięta klacz butami i po chwili już galopowała.



Uśmiechając się pod nosem, Aaron odjechał w przeciwnym kierunku. Jillian poczuła, jak złość i frustracja ją opuszczają; zawsze tak było podczas szybkiej jazdy. Nie próbowała spowalniać Delili. Widocznie zwierzę również musi rozładować napięcie. Oba konie były przepiękne. Gdyby ogier należał do kogokolwiek innego, to bez względu na koszty postarałaby się wynająć go do krycia klaczy. Chciała powiększyć hodowlę koni w Utopii, miała jednak świadomość, że żaden z jej ogierów nie dorównuje Samsonowi.

Szkoda, że Aaron Murdock nie okazał się porządnym, nudnym biznesmenem. Facet w garniturze nigdy by jej nie przyprawił o dreszcze. Psiakość! Nie mogła sobie pozwolić na tego typu emocje. Tym bardziej że Murdock to nieprzyjaciel, syn odwiecznego wroga jej dziadka.

Najbliższe sześć miesięcy ma zdecydować o przyszłości Utopii. Ranczo oczywiście przetrwa, będzie dalej przynosiło zysk, ale to Jillian nie zadowalało. Chciała czegoś więcej; chciała przekształcić Utopię w imperium, o jakim marzyli jej przodkowie. Posiadała wiele atutów: młodość, energię, odziedziczoną po dziadku ambicję, a także wiedzę i determinację.

Otrzymane w spadku pieniądze przeznaczyła na kupno niedużego samolotu. Dziadek sprzeciwiał się temu; uważał, że samolot to ekstrawagancja, ale przecież z powietrza łatwiej można patrolować teren, doglądać bydła, szukać zbłąkanych sztuk. Jillian szanowała tradycję, z drugiej strony wiedziała, że chcąc odnieść sukces, nie można ograniczać się wyłącznie do tradycyjnych metod.

W dzisiejszych czasach prerie przemierza się nie tylko konno, ale również w dżipach i ciężarówkach. Ludzie porozumiewają się za pomocą radia i krótkofalówki, a jednocześnie każdy kowboj, czy to w siodle, czy za kierownicą, wozi z sobą lasso. Bydło wciąż znakuje się w zagrodzie, tyle że żelazo podgrzewa się nie w ognisku, lecz palnikiem gazowym. Czasy się zmieniają, ale duch dawnych czasów trwa.

Dziś, tak jak dawniej, ranczer jest zdany głównie na siebie. Pogoda czasem pomaga w pracy, czasem przeszkadza, dlatego - zdaniem Jillian - należy liczyć wyłącznie na własne siły.

Nie zwalniając tempa, skręciła w bok. Jednak przejedzie wzdłuż granicy między Utopią a ranczem Murdocków i sprawdzi ogrodzenie.

Pasące się na polu wielkie herefordy o białych pyskach nie zwracały na nią uwagi; z apetytem zajadały świeżą trawę. Nagle Jillian poczuła zapach benzyny i usłyszała warkot silnika. Obejrząwszy się, spostrzegła starą zniszczoną furgonetkę. Za kierownicą siedział Gil Haley, jeden z ostatnich prawdziwych kowbojów. Sto lat temu przemierzałby pastwiska konno, żułby tytoń, nocował pod gołym niebem. Gdyby dziś musiał zrezygnować ze zdobyczy cywilizacji, przypuszczalnie zrobiłby to bez wahania.

- Cześć, Gil. - Podjechawszy bliżej, Jillian uśmiechnęła się do swego zarządcy, po czym skinęła głową do towarzyszących mu kowbojów. - Wszystko w porządku?

- Tak. Właśnie uwolniliśmy jałówkę, która zaplątała się w jakieś druty. No i musimy oczyścić teren z tych toczących się kul szarlatu, zanim coś uszkodzą.

- Sprawdzał ktoś ogrodzenie na zachodniej granicy?

- Nie.

- W takim razie sama tam podjadę. - Zawahała się, po czym wychodząc z założenia, że nie ma osoby lepiej poinformowanej od Gila i że właściwie tylko z nim może o tym porozmawiać, postanowiła spytać go o Murdocka. - Aha, jakąś godzinę temu natknęłam się na Aarona Murdocka. Myślałam, że facet siedzi w Billings.

- Nie. - Gil Haley uwielbiał monosylaby.

- Wiem, że nie. Co robi tutaj?

- Ma ranczo.

Jillian starała się nie stracić nad sobą panowania.

- O tym też wiem. Ma również pola naftowe. A raczej jego ojciec ma.

- Siostra Aarona wyszła za nafcjarza - wyjaśnił Gil. - W tej sytuacji stary namówił syna na powrót do domu.

- To znaczy... - Jillian zmrużyła oczy - że Aaron Murdock zostanie na MM?

- Owszem. Wygląda na to, że po wielkiej awanturze przed kilkoma laty ojciec z synem wreszcie się pogodzili. Stary ma już siódmy krzyżyk na karku. Może w końcu chce przyhamować z pracą.

- Psiakrew - mruknęła Jillian. Ona i stary Murdock przynajmniej schodzili sobie z drogi, a Aaron? Czy uda im się nie widywać miesiącami? Może takie spotkania jak dzisiejsze, w miejscu, które uważała za swój prywatny azyl, więcej się nie powtórzą? - Kiedy wrócił?

- Hm... - Przez chwilę Gil skubał w zadumie swoje siwe wąsy. - Będzie ze dwa, trzy tygodnie temu.

Trzy tygodnie temu i już się na niego nadziała? No cóż, przynajmniej wcześniej spędziła tu pięć spokojnych lat. Zresztą może nie będzie tak źle. Bądź co bądź rozległe przestrzenie ułatwiają zachowanie dystansu. Miała jeszcze kilka innych pytań, ale postanowiła poczekać, aż będą z Gilem sami.

- Dobra, jadę sprawdzić ogrodzenie. - Zawróciwszy konia, odjechała na zachód.

Gil odprowadził ją wzrokiem. Zauważył mokre ubranie Jillian, podobnie jak ogień w jej oczach. Natknęła się na młodego Murdocka, tak?

Śmiejąc się do siebie cicho, Gil przekręcił kluczyk w stacyjce. Pożyjemy, zobaczymy.

- Ej, chłopcze, bo ci głowa odpadnie - powiedział do swojego pomocnika, który siedział z

wykręconą szyją, gapiąc się na galopującą na koniu dziewczynę.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Wstała przed wschodem słońca. Roboty było mnóstwo: karmienie zwierząt, zbieranie jajek, dojenie krów. Mimo nowoczesnych maszyn przydawała się każda para rąk. Jillian tak bardzo przyzwyczała się do wczesnego wstawania, że nie przyszło jej do głowy, iż mogłaby dłużej pospać teraz, gdy jest właścicielką Utopii. Praca na ranchu toczyła się stałym rytmem; zmieniała się jedynie ilość zwierząt, które trzeba było oporządzić, oraz pogoda.

Panował miły chłód, kiedy wyszła z domu i skierowała się do stajni. Tę samą trasę pokonywała w straszliwym skwarze, kiedy powietrze niemal lepilo się do skóry, oraz zimą, gdy śnieg sięgał do kolan. Niebo na wschodzie dopiero zaczynało jaśnieć, ale na ranchu dzień już się rozpoczął. Z kuchni dla pracowników płynął zapach kawy i smażonego boczku.

Jillian pchnęła drzwi stajni, po czym otworzyła boks, w którym stała Delila. Jak zawsze najpierw zajmowała się ukochaną klaczą, potem innymi końmi, a następnie krowami.

Z drugiego końca pomieszczenia dobiegały głosy mężczyzn napełniających karmą koryta.

Zanim zwierzęta zostały nakarmione i wyprowadzone do zagrody, już prawie dniało.

Skończywszy pracę w stajni, Jillian ruszyła do ogromnej obory, kiedy nagle zawołał ją Joe Carlson. Joe nie chodził jak kowboj i jak kowboj się nie ubierał. Miał sprężysty krok, ładną pociągłą twarz i burzę złocistych loków. Wolał jeździć dżipem niż konno, pić wytrawne białe wino niż piwo, ale doskonale znał się na hodowli bydła. Jillian zatrudniła go pół roku temu, mimo sprzeciwu dziadka, i ani przez moment nie żałowała swej decyzji.

- Dzień dobry, Joe.

- Dzień dobry, Jillian. - Zsunął z czoła popielaty kapelusz, który utrzymywał w nienagannym stanie. - Kiedy wreszcie przestaniesz harować piętnaście godzin na dobę?

Roześmiewszy się wesoło, dostosowała krok do kroku Joego.

- W sierpniu, kiedy to mój dzień pracy wydłuży się do osiemnastu godzin.

Przed wejściem do obory Joe przystanął i położył rękę na ramieniu Jillian. Jego ręka była czysta, wypielęgnowana, pozbawiona odcisków.

- Przecież wiesz, że nie musisz się wszystkim sama zajmować. Zatrudniasz wystarczająco dużo osób. Potrzebny ci jedynie zarządca...

- Sama zarządzam Utopią - odparła. - To rancho nie jest żadną zachcianką czy kaprysem. To moje życie.

- Za ciężko pracujesz.

- A ty niepotrzebnie się o mnie martwisz. Doceniam to, ale... Powiedz mi lepiej, jak tam nasz byczek?

Joe odsłonił w uśmiechu rząd równych białych zębów.

- Groźny i pełen temperamentu. Ochoczo pokrył wszystkie krowy, jakie do niego dopuściliśmy. Wspaniały z niego buhaj.

- To dobrze - mruknęła Jillian, przypominając sobie, ile ten rozplodnik rasy hereford ją kosztował. Liczyła jednak, że dzięki niemu poprawi jakość wołowiny.

- Poczekaj, aż zaczną się wycielenia... - Joe poklepał ją po ramieniu. - Chcesz na niego zerknąć?

- Może później. - Weszła do obory. - Wiesz, co tak naprawdę bym chciała? Żeby na wystawie w lipcu sędziowie ocenili go wyżej niż buhaja Murdocków. To by dopiero było!

Na ogół praca absorbowwała ją do tego stopnia, że o niczym innym nie myślała. Dziś jednak - mimo że tyle spraw miała na głowie - ciągle przyłapywała się na tym, że duma o Aaronie Murdocku. No cóż, może kiedy uzyska odpowiedzi na parę dręczących ją pytań, zdoła o nim zapomnieć. A odpowiedzi mógł jej udzielić jedynie Gil.

Pomachała do niego, zanim zniknął jej z pola widzenia.

- Jadę z tobą - powiedziała, wsiadając do dżipa.

Wzruszył ramionami i wypluł tytoń przez okno.

- Jak chcesz.

Zsunęła z czoła kapelusz, a potem odgarnęła z twarzy rude loki.

- Dlaczego się nie ożeniłeś, Gil? Swoim niezaprzeczalnym wdziękiem potrafisz oczarować każdą dziewczynę.

Przysłonięte wąsami kąciki ust lekko zadrgały.

- A ty? - Popatrzył z ukosa na swoją pasażerkę. - Wprawdzie straszny z ciebie chudzielec, ale urody ci nie brakuje.

Oparła nogę o tablicę rozdzielczą.

- Lubię sama o sobie decydować - odparła.

- Facetom zawsze się wydaje, że mogą nami rządzić.

- Kobieta samodzielnie prowadząca ranczo to nie najlepszy pomysł.

- A mężczyzna samodzielnie prowadzący ranczo to dobry pomysł? - spytała, z zainteresowaniem

oglądając swój but.

- Faceci są inni.

- Lepsi?

Poruszył się niespokojnie, podejrzewając, że to może być drażliwy temat.

- Inni - powtórzył z naciskiem. Jillian parsknęła śmiechem.

- Och, ty draniu! - Z jej głosu przebijała sympatia do starego kowboja. - Opowiedz mi o tej wielkiej awanturze u Murdocków.

- Awantury bywały tam na porządku dziennym. A wielkie wybuchały co najmniej raz na miesiąc. Murdockowie to zgraja upartych zawziętych osłów.

- Podobno. Chodzi mi o tę ostatnią awanturę przed wyjazdem Aarona do Billings.

- Po skończeniu studiów chłopak wrócił do domu z głową nabitą pomysłami. Niektóre pewnie nie były złe...

- A nie po to poszedł na studia? Żeby się kształcić, poszerzać horyzonty?

- Niby tak - przyznał niechętnie Gil, który uważał, że największą wiedzę zdobywa się pracując, a nie ślęcząc nad książkami. - W każdym razie stary uznał, że syn za szybko chce o wszystkim decydować. Umówili się więc, że przez trzy lata Aaron będzie pracował dla ojca, a potem stary przekaze mu ranczo na własność.

Dojechawszy do bramy, zatrzymał dżipa. Jillian wysiadła, otworzyła bramę, potem ją zamknęła. Kolejny suchy dzień, pomyślała, spoglądając na bezchmurne niebo. Przydałoby się trochę deszczu.

- No i? - spytała, zajmując z powrotem miejsce obok Gila.

- Po trzech latach stary zmienił zdanie. Nie chciał słyszeć, żeby syn decydował o sprawach MM. A że Murdockowie nie należą do cichych i pokornych, doszło do ostrej wymiany zdań.

- Uśmiechnął się, ukazując sztuczne zęby.

- W końcu chłopak oznajmił, że kupi własne ranczo i rezygnuje z pracy u ojca.

- Słusznie. Postąpiłabym tak samo. Stary powinien był wywiązać się z obietnicy.

- Może. Nie wiem. - Kowboj podrapał się po brodzie. - Jednak rancza nie kupił, tylko doglądał rodzinnych interesów w Billings. Nie wiem, jak go ojciec do tego przekonał. Pewnie płacąc mu odpowiednio wysoką pensję.

Forsa! Jillian prychnęła pogardliwie. Gdyby Aaron był człowiekiem z charakterem, wypiąłby się na

pieniądze ojca i próbowałby zacząć od zera. Przypuszczalnie się wystraszył.

Nagle przypomniała sobie jego twarz, dotyk jego dłoni oraz spojrzenie, z którego przebijała siła i odwaga. Hm, coś tu nie gra.

- Co o nim myślisz, Gil?

- O kim?

- O Aaronie Murdocku - warknęła zniecierpliwiona.

- Bo ja wiem? - Kowboj ponownie podrapał się po brodzie, usiłując zakryć ręką uśmiech. - Był bystry i pyskаты jako dzieciak. W wieku kilku lat już się rwał do pracy. A kiedy sypnął mu się wąż, wtedy zaczęły wzdychać za nim dziewczyny. - Przyłożył rękę do serca i z teatralną przesadą zademonstrował westchnienie.

- Gil! - Jillian pacnęła go w ramię. - Nie interesuje mnie jego życie uczuciowe. - Po chwili zastanowienia jednak zmieniła zdanie. - Nigdy się nie ożenił?

- Pewnie uważa, że każda kobieta będzie próbowała nim rządzić - stwierdził Gil, cytując jej własne słowa.

Jillian Wybuchnęła śmiechem.

- Ty stary draniu! - Wtem chwyciła go za łokieć. - Zobacz! Mamy cielaki.

Wysiedli z dżipa i przeszli razem na pastwisko.

- Spłodził je nasz nowy buhaj - dodała, patrząc, jak maluch ssie wymię śpiącej matki.

- Zgadza się. - Zmrużywszy oczy, Gil rozejrzał się wkoło. - Czyli Joe dobrze ci doradził... Ilu się doliczyłaś?

- Dziesięciu. Ale kolejnych dwadzieścia krów lada dzień się wycieli. Myślę, że... -

Urwała; gdzieś nieopodal słychać było dziwne kwilenie.

- Tam!

Po chwili znaleźli słabe, wystraszone cielę leżące koło konającej matki. Urodziło się dzień, najwyżej dwa dni temu. Jillian wzięła maleństwo na ręce, zaczęła czule do niego przemawiać.

Gdyby miała samolot... Tak, wtedy ktoś dojrzałby z powietrza zdychające zwierzę i...

Potrząsnąwszy głową, przytuliła cielaczka. Wiedziała, że żyjąc na ranczu, nie można rozpaczać nad każdą krową czy koniem, które z takiego lub innego powodu kończy swój żywot. Ale na widok Gila powracającego ze strzelbą załkała żałośnie, po czym wstała i odeszła kilka kroków.

Kiedy rozległ się strzał, z wysiłkiem wzięła się w garść i wciąż ściskając cielę, wróciła do Gila.

- Trzeba wezwać przez radio kogoś do pomocy - oznajmił kowboj. - Sami nie damy rady jej załadować. - Przyjrzał się uważnie cielakowi.

- Mam nadzieję, że maluch przeżyje.

- Przeżyje. Już ja się o to postaram. - Przemawiając uspokajająco do cielaczka, wróciła do dżipa.

O dziewiątej wieczorem padała ze zmęczenia. Stado jeleni przebiegło po obsianym polu, niszcząc pół hektara upraw. Jeden z pracowników zwichnął sobie rękę, spadając z konia, kiedy ten stanął dęba, wystraszony przez grzechotnika. Ogrodzenie ciągnące się wzdłuż granicy z ranczem Murdocków było uszkodzone w trzech miejscach; kilkadziesiąt krów przedostało się na drugą stronę. Przygnanie ich z powrotem i naprawa ogrodzenia zajęły mnóstwo czasu.

Każdą wolną chwilę Jillian poświęcała osieroconemu cielakowi. Umieściła go w ciepłym, suchym boksie w oborze i sama karmiła mlekiem z butelki.

- No co, mały? - Siedziała na świeżym sianie, gładząc go po pysku. - Lepiej ci, prawda? Teraz ja jestem twoją mamusią...

Poprzednie dwa razy musiała karmić go siłą, tym razem jednak tak mocno ssał, że trzymała butelkę oburącz. Uczy się, pomyślała. To dobrze.

- Masz rację, ciągnij. Skoro jesteś głodny... - Uniosła butelkę nieco wyżej. - Za kilka miesięcy będziesz hasał z braćmi po pastwisku. Tak, mój mały. Będziesz hasał, skubał

trawę... - Podrapała go za uszami. - Wyrośniesz na pięknego byczka.

Kiedy w butelce nic nie zostało, cielak zaczął skubać spodnie Jillian.

- Hej, głupolku, przecież nie jesteś kozą. Delikatnie odepchnęła malca od siebie; ten ułożył się na boku i wielkimi mokrymi ślepiami patrzył, jak ona go pieści.

- To twój nowy piesek?

Obróciła głowę. W drzwiach boksu ujrzała Aarona Murdocka. Mina natychmiast jej sposepniała.

- Co tu robisz?

- To, zdaje się, twoje ulubione pytanie - rzekł, kucając koło niej. - Ładny cielak.

W nozdrza uderzył ją zapach drzewa sandałowego i skóry. Odsunęła się.

- Zabłądziłeś, Murdock? To moje ranczo, nie twoje.

Napotkał jej oczy. Wcześniej przez kilka minut stał, obserwując ją z ukrycia. Podobał



mu się jej śmiech, niski, gardłowy, przyprawiający o miły dreszczyk. Podobały mu się jej włosy lśniące w blasku nisko zawieszanej lampy, podobała czułość w głosie, kiedy przemawiała do bezbronnego zwierzaka, i podobało mu się jej rozmarzone spojrzenie.

Pragnął, by właśnie w taki sposób patrzyła na niego ukochana kobieta.

Jillian jednak patrzyła z wściekłością i wyzwaniem. Poczuł znajome klucie w trzewiach. Jej płomienny wzrok rozbudził w nim pożądanie.

- Nie zabłądziłem. Przyszedłem porozmawiać.

Miała ochotę odsunąć się jeszcze bardziej, bo wciąż czuła jego zapach, ale się powstrzymała.

- O czym?

Przyglądając się jej, coraz bardziej żałował, że tyle czasu spędził w Billings.

- Na przykład o rozplodzie koni. Zastrzygła uchem, starała się jednak nie okazywać zainteresowania.

- Jakich koni?

- Twojej Delili... - Jakby nigdy nic, owinał sobie wokół palca kosmyk jej włosów. Jak ona to robi, przemknęło mu przez myśl, że są takie miękkie? - Z moim Samsonem. Może mam duszę romantyka, ale ta zbieżność imion nie daje mi spokoju.

- Duszę romantyka? Akurat!

- Oj, bo się jeszcze kiedyś zdziwisz - rzekł cicho. - To co, możemy pogadać?

- O interesach zawsze. - Powściągnij zapał, skarciła się, przypominając sobie rady dziadka. Zachowaj twarz pokerzysty. - Może byłabym zainteresowana, ale najpierw musiałabym przyjrzeć się dokładniej Samsonowi.

- Oczywiście. Wpadnij wobec tego jutro, około dziewiątej.

Z trudem zachowała spokój. Mieszkała w Montanie od pięciu lat i jeszcze ani razu nie widziała domu Murdocków. A takiego ogiera jak Samson ze świecą trzeba by szukać. Nauki dziadka nie poszły jednak w las.

- W porządku, jeśli mi się uda. Przed południem zawsze mamy mnóstwo pracy... - I nagle Wybuchnęła dźwięcznym śmiechem, bo opuszczone ciele zaczęło trącać ją pyskiem w kolano.

- Och, ty mały pieszczocho... - Połaskotała je po brzuszku.

- Zachowuje się jak szczeniak. - Aaron przykucnął, wyciągnął rękę i podrapał malca za uszami. - Co się stało jego matce?

- Ciężki poród, no i... - Urwała, po czym uśmiechnęła się szeroko, widząc, jak zwierzę liże rękę Aarona. - Lubi cię.

- Po prostu umiem dobrze pieścić - rzekł, delikatnie klepiąc cielaka po szyi. - Inaczej utula się dziecko do snu, inaczej uspokaja konia, a jeszcze inaczej poskramia się kobietę.

Cielak, zadowolony i najedzony, zaczął układać się do snu.

- Typowy samiec - stwierdziła ze śmiechem Jillian. - Zupełnie jak ty.

- Owszem - przyznał Aaron. - Za to ty różnisz się od wszystkich kobiet, jakie znam.

Zmrużyła oczy.

- Twoje słowa nie zabrzmiały jak komplement.

- Stwierdziłem fakt. Podejrzewam, że na komplement zareagowałabyś złością.

Parsknęła śmiechem.

- Oj, Murdock, muszę przyznać, że głupi to ty nie jesteś.

Oparła się o ścianę, przyciągnęła do siebie kolana i otoczyła je ramieniem. Miło jej się rozmawiało ze swoim sąsiadem, synem odwiecznego wroga, choć wołała nie zastanawiać się dlaczego.

- Nie wolisz się zwracać do mnie po imieniu?

- Nie - odparła. Ale po chwili zdała sobie sprawę, że to nieprawda. Bo kiedy o nim dumiała, dumiała o Aaronie. Najgorsze było to, że nie umiała pozbyć się go ze swoich myśli. -

Zobacz, mały zasnął.

Popatrzył z uśmiechem na cielaka. Zastanawiał się, czy wciąż będzie mówiła „mały”, kiedy cielak dorośnie i zamieni się w dziewięćsetkilogramowego byka. Pewnie tak.

- Późno się zrobiło.

Przeciągnęła się. Podczas karmienia cielaka zmęczenie, które wcześniej odczuwała, znikło jak ręką odjął.

- To prawda. Szkoda, że dni nie mają dwudziestu sześciu godzin. Wtedy nadrobiłabym zaległości.

- To się nazywa pracoholizm.

- Nie, to się nazywa ambicja. - Utkwiła wzrok w twarzy Aarona. - Nie należę do ludzi, którzy spoczywają na laurach.

Zwinął dłonie w pięści. Nie ulegało wątpliwości, do czego Jillian pije. Nie zamierzał

jednak dać się sprowokować.

- Każdy robi to, co uważa za słuszne - powiedział cicho.

Złościło ją, że nie próbował się bronić. Ciekawa była, co nim powodowało, jakie racje przemawiały za tym, że postanowił zostać na ranchu ojca. Oczywiście nie powinna wściubiać nosa. Co ją obchodzi jakiś Aaron Murdock? Wcale jej nie obchodzi. Nic a nic.

Wstała i otrzepała z kurzu dzinsy.

- Przepraszam, czeka mnie jeszcze robota papierkowa.

On również wstał, zagradzając sobą wyjście z boksu.

- Skoro już tu jestem, nie zaprosisz mnie na filiżankę kawy?

Przeszył ją dreszcz, serce zaczęło jej łomotać. Nie bała się gniewu, który płonął w jego oczach; bała się siebie, reakcji, jaką wywoływała w niej jego bliskość.

- Nie, nie zaproszę - oznajmiła stanowczo. Powiódł po niej wzrokiem.

- Dobrymi manierami to ty nie grzeszysz. Uniosła butnie brodę.

- Dobre maniery mnie nie interesują.

- Nie? - Uśmiechnął się. - W takim razie ja też je sobie odpuszczę.

Zanim się zorientowała, co zamierza, chwycił ją za poły koszuli i przyciągnął do siebie. Pierwszy szok przeżyła, kiedy zmiądzzył ją w ramionach.

- Cholera jasna, Murdock...

Drugi szok przeżyła, kiedy przywarł ustami do jej ust. Och, nie... pomyślała, usiłując się oswobodzić. Dlaczego ten pocałunek tak dobrze smakuje? Dlaczego w głębi duszy pragnęła, by trwał jak najdłużej?

Walczyła jak lwica, on jednak nie miał zamiaru jej wypuścić. Kiedy tak szamotała się, jej ciało ocierało się o jego tors. Przestań, nakazywała sobie, nie potrafiąc zwalczyć narastającego podniecenia. Uspokój się. Przecież potrafisz żyć bez seksu. Od pięciu lat żyła w celibacie i wcale jej to nie przeszkadzało. Ale teraz... teraz coś się w niej obudziło, coś, nad czym nie umiała zapanować.

Wbiła paznokcie w ramiona mężczyzny i zaczęła gorliwie odwzajemniać pocałunek.

Spodziewał się, że Jillian będzie zła, że będzie walczyć i się bronić. Postąpił przecież nie fair, wbrew jej woli biorąc coś, do czego nie miał prawa.

Spodziewał się, że jej wargi będą miękkie. Od dwóch dni nie mógł przestać o nich myśleć, pragnął

poznać ich dotyk i smak. Spodziewał się, że jej ciało będzie szczupłe, delikatnie zaokrąglone tam gdzie trzeba, i że będzie idealnie przylegało do jego ciała.

Ale nie spodziewał się tak cudownej reakcji. Po chwili szamotaniny Jillian zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła odwzajemniać pieszczoty. Jeżeli wcześniej była podniecona, dobrze to ukrywała.

Teraz jej namiętność wybuchła z niesamowitą siłą. Zaskoczony, aż się cofnął.

Oddychając ciężko, popatrzyła na niego nierozumiejącym wzrokiem. Oczy jej lśniły w półmroku, piersi wznosiły się i opadały. Potrząsnęła głową, jakby usiłowała ogarnąć myślami to, co się stało. Zanim zdążyła oprzytomnieć, Aaron zaklął pod nosem i ponownie zaczął ją całować.

Tym razem nie walczyła. Odpowiadała namiętnością i żarem. W jego pocałunkach wyczuwała nieokiełznaną dzikość, prymitywną siłę. Cieszyła się; właśnie tego pragnęła.

Gdyby miała się związać z mężczyzną, chciałaby prawdziwego samca, a nie szarmanckiego elegancika kochającego blichtr i pozory. Wyłączyła myślenie; pozwoliła ciału przejąć kontrolę nad umysłem. Od jak dawna o tym marzyła? O tym, by ktoś wziął ją w ramiona, sprawił, aby zapomniała o bożym świecie, o pracy i obowiązkach? Bo zapomniała. Przestała być właścicielką rancza harującą od rana do wieczora, a stałą się kobietą. Nawet nie pamiętała, jakie to cudowne uczucie. A może nigdy wcześniej go nie zaznała?

Aaron usiłował zabrać ręce z jej włosów, oderwać się od jej ust. Nie potrafił. Co ona ze mną wyprawia? - zastanawiał się. Była zmysłowa, kusząca, uwodzicielska. Nie wyobrażał

sobie, jak do tej pory mógł się bez niej obyć. Ta myśl go trochę wystraszyła.

Wreszcie opuścił ręce; bał się, że zdradzi go ich drzenie. Jillian otworzyła oczy i też nagle otrzeźwiała. Boże kochany, co jej strzeliło do głowy? Utkwiła wzrok w przystojnej twarzy Aarona, w jego pełnych wargach... Chyba oszalała! Jak to możliwe, aby zapomniała o tym, kim jest, kim on jest, o całym otaczającym ich świecie? Przecież Murdock wykorzysta jej słabość. Chyba że...

Przestań! - rozkazała sobie. Wyrzuc go stąd, zanim zrobisz z siebie kompletną idiotkę.

Powoli, jakby nigdy nic, cofnęła się dwa kroki.

- No dobrze, Murdock, zabawiłeś się. A teraz spadaj - powiedziała, modląc się w duchu, aby głos jej nie zadrżał.

Zabawiłeś się? Popatrzył na nią z niedowierzaniem. To, co przed chwilą się wydarzyło, nie miało nic wspólnego z zabawą. Czuł się skołowany, oszołomiony, tak jak wtedy gdy po raz pierwszy w życiu wypił kilka puszek piwa. Było to niesamowite przeżycie, ale następnego dnia przyszło mu słono za nie zapłacić. Podejrzewał, że za dzisiejsze niesamowite przeżycie też zapłaci wysoką cenę.

Nie zamierzał Jillian za nic przeproszać. Siłąc się na beztroskę, wzruszył ramionami, po czym podniósł z ziemi kapelusz i niespiesznie nałożył go na głowę.

- Masz rację, Jillian. Lepiej, żebym poszedł - rzekł po chwili. - Niełatwo się oprzeć wdziękowi takiej kobiety jak ty. - Uśmiechnął się. - Ale zrobię, co w mojej mocy, żeby im nie ulec.

Kiedy na zewnątrz ucichły kroki, odczekała jeszcze pięć minut, zanim wyszła z obory.

Skierowała się prosto do piętrowego domu zbudowanego z kamieni i drewna. Dziadek często mawiał, że urodził się w chacie, która zmieściłaby się w tutejszej kuchni. Dom rzeczywiście był duży; w kominku można by śmiało upiec młodego wołka. W oknach wciąż wisiały koronkowe firanki uszyte przez babcię, z pochodzenia Irlandkę, po której Jillian odziedziczyła gęste rude włosy, upór i wybuchowy charakter.

Żałowała, że nie ma żadnej przyjaciółki, z którą mogłaby porozmawiać, zwierzyć się ze swoich lęków i niepewności. Zaskoczona, przystanęła na schodach. Dziwne. Nigdy dotąd nie szukała towarzystwa kobiet; większość z nich nie podzielała jej zainteresowań. Tak, zdecydowanie bardziej wolała towarzystwo mężczyzn.

Dziś jednak... Otworzyła drzwi sypialni. Mogłaby zadzwonić do matki. Chociaż nie; gdyby wyznała mamie, że płonie żądzą do Murdocka i nie wie, co z tym fantem począć, biedaczka pewnie poczerwieniałaby ze wstydu i dukając nerwowo, poradziła jej, by przeczytała jakąś książkę na temat seksu.

Kochała matkę, ale wiedziała, że rozmowa z nią nic nie da. Rozebrawszy się, Jillian przeszła do łazienki. Odkręciła wodę, wsypała do wanny sól kąpielową, po czym spięła włosy w kok i zanurzyła się w pianie. Może dobrze, że Murdock rozbudził w niej te pragnienia, pomyślała. Od pięciu lat do żadnego mężczyzny nic nie czuła.

Przypomniała sobie krótki romans, jaki przeżyła pięć lat temu z Kevinem. Romans?

Czy jednorazowe pójście do łóżka można nazwać romansem? Zresztą było to kompletne fiasko. Ona - młoda, naiwna dziewczyna; on - przystojny, czarujący stażysta w szpitalu. Do niczego jej nie zmuszał. Sama tego chciała. Był delikatny, czuły. Tyle że słowa „kocham cię” znaczyły dla nich co innego. Dla niej były wyznaniem miłości, dla niego pustym dźwiękiem.

Szczerze ubawiony roześmiał się, kiedy zaczęła planować wspólną przyszłość. Wyjaśnił, że nie pragnie żony, a jedynie kogoś, z kim od czasu do czasu mógłby w sposób niezobowiązujący uprawiać seks.

Dopiero po wielu miesiącach, kiedy wyjechała do Montany, zrozumiała, że Kevin na dobrą sprawę wyświadczył jej ogromną przysługę. Była bowiem gotowa zmienić się dla niego, zostać przykładną żoną, której życie obraca się wokół męża. Ale wówczas postąpiłaby wbrew sobie. Nie można poświęcać się, zapominać o własnych pragnieniach i dążeniach. A tego od kobiet oczekują mężczyźni. Jedynym, który nie chciał jej zmieniać i akceptował ją bez zastrzeżeń, był Clay Baron. Ale on już nie żył.

Zamknęła oczy i czekała, aż ciepła woda zmyje z niej zmęczenie. Aaron Murdock nie szukał żony, ona zaś nie szukała męża. Może szukał kochanki, ale jej ta rola nie interesowała.

To, co dziś między nimi zaszło, nigdy więcej się nie powtórzy.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Jechał drogą dawniej używaną wyłącznie przez konie i osły. Dziś też nie nadawała się dla pojazdów. Dżip podskakiwał niczym mustang, z trudem pokonując głębokie koleiny i wyboje. Aaronowi podobała się taka jazda. Lubił dziką, nieujarzmioną przyrodę, spędy bydła, ciężką pracę. Tu na ranczu w Montanie można było zapomnieć o tym, że kilkadziesiąt kilometrów dalej istnieje cywilizowany świat.

Ale tradycyjne metody prowadzenia rancza najlepiej się sprawdzały w połączeniu ze szczyptą nowoczesności. Traktor, samolot... tak, to są przydatne urządzenia. Przypomniał

sobie, jak sześć lat temu usiłował namówić ojca na kupno małego samolotu. Ojciec sprzeciwiał się, uważając to za zbędny luksus. Aaron sam sfinansował zakup i sam pilotował

maszynę. Wcale nie chciał pozbawiać kowbojów pracy, chciał jedynie ich trochę odciążyć.

Wiedział, że z ojcem będzie musiał toczyć boje o wszystko, o wprowadzenie każdej najmniejszej zmiany. I że z tych bojów będzie wychodził zwycięsko. Bo Paul Murdock był

uparty, ale nie był głupi. Był uparty i bardzo chory. Za pół roku...

Nie, wolał nie myśleć o najważniejszej walce, którą ojciec wkrótce przegra. Czuł się bezradny; w zmaganiach z chorobą nie mógł ojcu pomóc.

Starając się uciec od rozmyślań nad sprawami życia i śmierci, zaczął dumać o Jillian.

Czy przyjedzie? Tak, na pewno. Zjawi się choćby po to, by pokazać, że nie da się zastraszyć.

Pośle mu drapieżne spojrzenie... Cholera, nic dziwnego, że jej pragnie. Na samą myśl o niej czuł dojmujący ból.

Wczoraj, po raz drugi w życiu, brakowało mu słów. Pierwszy raz mu ich zabrakło, kiedy wraz z Emmą Lou Swanson zażywał uciech na sianie, ale wtedy miał kilkanaście lat; teraz zaś był dorosłym mężczyzną, przed którym kobiece ciało nie miało tajemnic. Tak, Jillian Baron ujawniła swą potężną moc...

Tak jak wszystkich Baronów cechował ją upór, zadziorność, duma i ambicja. Aaron uśmiechnął się pod nosem. Są tacy podobni, Baronowie i Murdockowie! Pewnie dlatego nie potrafią się dogadać.

Pogwizdując cicho, zajechał pod dom. Kiedy wysiadał z dżipa, usłyszał, jak drzwi werandy się zatraskują. Obejrzał się przez ramię. Na schodkach przed domem zobaczył

swoją matkę.

Za każdym razem, gdy na nią patrzył, był zaskoczony jej wdziękiem i urodą. Niska, szczupła,

jasnowłosa Karen Murdock, dwadzieścia dwa lata młodsza od męża, poruszała się z gracją modelki. Ani ostre zimy w Montanie, ani upalne lata nie odcisnęły piętna na jej gładkiej brzoskwiniowej skórze.

- Wszystko w porządku? - spytała, wyciągając rękę do syna.

- Tak. Zapędziliśmy zbłąkane sztuki do zagrody. - Ujął jej dłoń. - Wyglądasz na zmęczoną.

- Nie. - Uśmiechnęła się smutno. - Twój ojciec prawie w ogóle nie spał tej nocy. Nie odwiedziłeś go...

- Po mojej wizycie na pewno nie spałby lepiej.

- Bo ja wiem? Lubi się z tobą spierać. To jedyna rozrywka, jaka mu została.

- Dobrze, zajrzę dzisiaj i powiem o tych dwustu hektarach, które chciałbym wykarczować.

Poklepała syna po ramieniu. Kiedy stała na werandzie, a on na ziemi, byli jednego wzrostu.

- Dobrze mu robią te wasze kłótnie.

- Tak? Nie dalej jak wczoraj rano posłał mnie do stu diabłów.

- No właśnie. Ja mu niepotrzebnie nadskakuję, a wtedy on czuje się jak inwalida.

Natomiast kłótnie z tobą pobudzają go do życia. Ojciec wie, że masz rację; wszystkie twoje pomysły okazały się strzałem w dziesiątkę. Jest z ciebie bardzo dumny.

- Nie usprawiedliwiał go, mamó. Znam ojca.

- Tak ci się tylko wydaje. - Kobieta pogłaskała syna po policzku.

Zbliżając się do domu Murdocków, Jillian zobaczyła Aarona obejmującego szczupłą, elegancką blondynkę. Fala zazdrości, która ją zalała, wywołała jej wściekłość. Jillian zacisnęła dłonie na kierownicy. Faceci! Wieczorem całują się z jedną kobietą, a rankiem drugiego dnia tulą do piersi inną. Ich światem rządzi chuć.

Zahamowała ostro przy dziapie. Obejrząwszy się przez ramię, Aaron napotkał jej lodowaty wzrok. Wsiadła z samochodu, pilnując się, by nie trzasnąć drzwiami. Nie chciała pokazywać, że jest zła i że spędziła bezsenność.

- Cześć, Murdock.

- Cześć, Jillian.

Ponieważ nadal obejmował blondynkę i nie sprawiał wrażenia, jakby miał ją puścić, Jillian skierowała się w stronę werandy.



- Przyjechałam obejrzeć twojego reproduktora.

- Zdaje się, że wczoraj rozmawialiśmy o dobrych manierach. - Uśmiechnął się szeroko. - Chyba panie się nie znają?

- Nie, nie znamy się. - Karen zesłała po schodach, rozbawiona dostrzeżonym błyskiem podniecenia w oczach syna i furią w oczach dziewczyny. - Mam przyjemność z Jillian Baron, prawda? Jestem Karen Murdock, matka Aarona.

Na twarzy Jillian odmalowało się zdumienie.

- Matka Aarona?! - zawołała, nim zdołała się powstrzymać.

Karen parsknęła śmiechem i spojrzała na syna.

- To chyba najmiłszy komplement, jaki w życiu mnie spotkał. No dobrze, nie będę wam przeszkadzać w interesach, ale... - przeniosła wzrok na Jillian - zajrzyj do mnie, zanim odjedziesz. Tak rzadko miewam okazję pogadać z inną kobietą.

- O...oczywiście. Che...chętnie - wydukała Jillian, patrząc na oddalającą się sylwetkę. -

Masz niesamowicie piękną mamę.

- Aż tak cię to dziwi?

- Nie. To znaczy słyszałam, że jest bardzo ładna, ale... - Zawahała się. - W niczym jej nie przypominasz.

Otoczywszy ją ramieniem, ruszył w stronę kępy drzew.

- Widzę, że znów próbujesz mi się przypodobać.

Przygryzła wargę, żeby się nie roześmiać.

- Mylisz się. - Strąciła jego ramię.

- Mmm, pachniesz jaśminem - zauważył, wciągając w nozdrza powietrze. - Specjalnie dla mnie się wyperfumowałaś?

Nie zamierzając odpowiadać na tak prowokacyjne pytanie, przystanęła i zmierzyła Murdocka ironicznym spojrzeniem. Z trudem zachowała powagę, kiedy on wybuchnął

śmiechem. Po chwili leniwym ruchem dłoni zsunął jej z głowy kapelusz, następnie przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta. Poczowała, jak nogi się pod nią uginają.

Puścił ją, zanim zdążyła tego zażądać. Szybko wzięła się w garść.

- Do jasnej cholery, co ty sobie wyobrażasz...

- Nie gniewaj się. - Uniósł ręce w przepaszającym geście, ale oczy mu się śmiały. -

Straciłem głowę. Coś dziwnego we mnie wstępuje, kiedy patrzysz na mnie takim morderczym wzrokiem. - Podniósł jej kapelusz i nasunął go z powrotem na czoło.

- Dobrze, postaram się w ogóle na ciebie nie patrzeć - oznajmiła, skręcając w stronę zagrody.

Zrównał z nią krok.

- Jak się miewa cielak?

- W porządku. Dziś rano wydudlił całą butelkę mleka... Po południu obejrzy go weterynarz.

- Ojcem malucha jest ten nowy buhaj, prawda? Och, nie rób takiej miny - dodał, widząc zdumienie w jej oczach. - Ludzie gadają. Zresztą tak się składa, że mi tego byka podkupiłaś. Prawie już kupowałem bilet na samolot do Anglii, żeby go obejrzeć, kiedy dowiedziałem się, że zostałaś jego nową właścicielką.

- Serio? - Zaskoczyło ją to, co powiedział. I ucieszyło.

- Wiedziałem, że ta wiadomość cię uraduje.

- Owszem, mam wredny charakter. - Oparła nogę o dolną poręcz ogrodzenia i się uśmiechnęła. - Ostrzegam cię, Murdock, nie jestem słodką, uległą kobietką.

Skinął głową.

- Świetnie, więc powinniśmy się dogadać. Wolno wiedzieć, jaki przydomek dali byczkowi Fernando twoi kowboje?

W jej policzku ukazał się dołeczek.

- Och, różnie na niego wołają. Jedno z łagodniejszych określeń to Terror. Ale głównie to Casanova.

Aaron zaśmiał się pod nosem.

- Akurat tego nie słyszałem. Ile już spłodził potomków?

- Pięćdziesiąt. Ale to dopiero początek.

- Stosujesz sztuczną inseminację?

- Dlaczego pytasz? - Zmrużyła oczy.

- Z ciekawości. Bądź co bądź trudnimy się tym samym.

- Nie zamierzam o tym zapomnieć. Zaciśnął gniewnie wargi.

- Słuchaj, naprawdę nie musimy być wrogami.

- Nie? - Przesunęła kapelusz niżej na czoło. - Przyjechałam obejrzeć twojego ogiera, a nie na przyjacielskie pogaduszki.

Tak długo świdrował ją wzrokiem, że poczuła się nieswojo.

- W porządku, Jillian. - Zdjął zawieszoną na ogrodzeniu uzdę i ruszył w kierunku konia.

Zachowałaś się nieładnie, zganiła się w duchu. Można okazać obojętność, nawet wrogość, ale nie brak wychowania. Marszcząc czoło, oparła łokcie na drewnianej żerdzi. Z

drugiej strony w stosunku do Aarona niemal od początku zachowywała się nieuprzejmie.

Hm... Przestała o tym rozmyślać, kiedy zbliżył się do konia.

Obaj byli silni, wspaniale zbudowani, obaj też wiedzieli, czego chcą. W tym momencie koń zdecydowanie nie miał ochoty na uzdę. Odszedł w bok do koryta z wodą.

Aaron powiedział coś szeptem. Koń potrząsnął łbem i puścił się kłusem w przeciwną stronę.

- Och, ty szatanie! - W głosie Aarona pobrzmiwała nuta rozbawienia.

Ponownie zbliżył się do konia, a ten ponownie mu uciekł. Nie mogąc powstrzymać śmiechu, Jillian oparła stopę na dolnej żerdzi ogrodzenia.

- No, kowboju, pokaż, co umiesz!

Posyłając jej łobuzerski uśmiech, Aaron wzruszył ramionami, jakby się poddał, i odwrócił się tyłem do ogiera. Zanim dotarł na środek zagrody, Samson dogonił go i trącił

pyskiem w plecy.

- Chcesz się pogodzić, tak? - Aaron pogłodził zwierzę po grzywie, po czym założył

mu uzdę. - Potrzebne było to całe przedstawienie, co? Przez ciebie wypadłem jak żółtodziób.

Żółtodziób? Dobre sobie, pomyślała Jillian, obserwując, jak Murdock postępuje z narowistym ogierem. Łagodnie, przemawiając do niego szeptem. Gdyby chciał wyrzeć na niej wrażenie, z łatwością mógłby udać, że ujarzmienie konia wymaga znacznie większego wysiłku. Spodobało jej się, że tego nie zrobił.

Kiedy podprowadził konia do ogrodzenia, odruchowo pogłodziła Samsona po szyi.

Miał gładką, jedwabistą sierść i duże lśniące oczy o nieufnym, choć łagodnym spojrzeniu.

Przytrzymując się wyciągniętej ręki Aarona, Jillian zeskoczyła na ziemię.

- Jest piękny. - Poklepała zwierzę po szerokiej klatce piersiowej. - Czy już służył jako reproduktor?

- Dwukrotnie. W Billings.

- Od dawna go masz? - Obeszła Samsona, dokładnie mu się przyglądając.

- Od początku. Odkąd się urodził. Złapanie jego ojca zajęło mi pięć dni. - W oczach Aarona pojawił się błysk podniecenia. - Stado liczyło co najmniej sto pięćdziesiąt sztuk. Och, to było inteligentne bydło; o mało mnie nie zabił, kiedy pierwszy raz zarzuciłem mu na szyję lasso. Potem, próbując uciec, niemal rozwalił mi boks. Krew lała mu się z nogi, oczy płonęły.

W sześciu z trudem utrzymaliśmy go przy klaczy.

- Co z nim później zrobiłeś? - spytała Jillian. Wielu hodowców wykorzystałoby mustanga do pokrycia jak największej liczby klaczy, a potem by go wykastrowało. Jako wałach nie sprawiałby kłopotu.

- Puściłem wolno. Niektórych zwierząt nie można ujarzmić.

Uśmiechnęła się. Zanim zorientowała się, co robi, wyciągnęła do Aarona rękę.

- To dobrze. Cieszę się. Pogładził lekko jej dłoń.

- Stanowisz zagadkę, Jillian. Pod maską twardej ranczerki kryje się wrażliwa dziewczyna.

Speszona, próbowała uwolnić rękę.

- Zobaczyłem ją wczoraj, kiedy siedziałaś na sianie, przemawiając czule do cielaka.

Wyglądałaś prześlicznie...

Była mądra; wiedziała, że pięknymi słówkami można każdego zbałamucić. Więc dlaczego czuła przyspieszone bicie serca?

- Prześlicznie? Bez przesady. Nie grzeszę urodą. I wcale nie zależy mi na byciu ładną.

Nagle uświadomił sobie, że dziewczyna święcie wierzy w to, co mówi.

- No cóż. Nie zawsze jest tak, jak byśmy chcieli.

- Nie zaczynaj, Murdock - powiedziała tak ostrym tonem, że koń poruszył się niespokojnie.

- Czego mam nie zaczynać?

- Wiesz, zastanawiałam się, dlaczego zawsze zachowuję się wobec ciebie tak nieuprzejmie. I doszłam do wniosku, że mnie prowokujesz. Puść moją rękę.

- Nie. - Drugą ręką klepnął konia w zad. Zwierzę odbiegło kilka metrów. Teraz już nic ich nie dzieliło. - A ja zastanawiałem się, dlaczego zawsze mam ochotę przerzucić cię przez kolano.

- Zadumał się. - Chyba z tego samego powodu.

- Twoje powody mnie nie interesują. Rozciągnął wargi w uśmiechu, ale w jego spojrzeniu malował się wyraz powagi.

- Może bym ci uwierzył, Jillian, gdyby nie wczorajszy wieczór. - Przysunął się krok bliżej.

- Wprawdzie to ja zainicjowałem pocałunek, ale całkiem żarliwie go odwzajemniłaś.

Myślałem o tym w nocy, wiesz? Dumałem, co z tym fantem począć.

Może chodziło o to, że powiedział prawdę, której nie miała ochoty usłyszeć. Może winę ponosił błysk w jego oczach lub bezczelny uśmiech na jego twarzy. A może kombinacja tych trzech rzeczy. W każdym razie zanim Jillian zdołała się powstrzymać i zanim Murdock zdążył zareagować, uderzyła go pięścią w brzuch.

- Możesz przestać dumać! - oznajmiła, ignorując jego jęk.

Odwróciła się na pięcie, ale daleko nie uszła. Ni stąd, ni zowąd wylądowała na ziemi.

Leżała na plecach, przygwożdżona przez Murdocka, którego twarz ziała furją. Przez moment Jillian tkwiła bez ruchu, oszołomiona tym, co się stało, po czym zaczęła się szamotać.

Oczywiście wkrótce zdała sobie sprawę, że jest sporo słabsza od przeciwnika.

- Co za diabeł wcielony! - mruknął Aaron, trzymając ją za nadgarstki. - Od pierwszej chwili aż się prosisz, żeby ci porządnie złoić skórę.

- Nie odważyłbyś się!

Zgięła nogę w kolanie i wierzgnęła; niewiele brakowało, a kopnęłaby Murdocka w czułe miejsce. Przesunął się, zmieniając pozycję na bezpieczniejszą.

- Nie kuś mnie, diablico. - Jej szamotanina jeszcze bardziej go podnieciła. - Skoro chcesz nieczysto walczyć, to proszę bardzo.

Pocałował ją, zanim zdołała go przekląć.

Prawie natychmiast poczuł, jak tętno jej przyśpiesza. A potem czuł już tylko jej gorące, namiętne usta.

Jeżeli wciąż z nim walczyła, jeżeli próbowała go z siebie zepchnąć, to nie był tego świadomy. Słońce grzało go w plecy, a on myślał tylko o jej miękkim ciele i wilgotnych, rozpalonych wargach. Było mu dobrze; mógłby tak leżeć i całować ją do końca swych dni. Ta myśl go przeraziła.

Wreszcie uniósł głowę i popatrzył Jillian w oczy. Jej cios pozbawił go tchu, ale jej widok również zapierał mu dech w piersiach.

- Powiniennem ci przyłożyć - wyszeptał. Mimo pozycji, w jakiej się znajdowała, udało jej się wysunąć butnie brodę.

- Wolałabym baty od pieaszczot - skłamała, zresztą nie po raz pierwszy.

Nie chciała być całowana przez mężczyznę, który powala ją na ziemię. Żadna kobieta by tego nie chciała. Ale czy nie zasłużyła na takie traktowanie? Nie jest kruchą porcelanową laleczką; byłaby zła, gdyby tak się z nią obchodzono. Psiakrew! Dlaczego jednak marzy o tym, by Aaron znów ją pocałował? Dlaczego tak bardzo tego pragnie?

- Zejdź ze mnie - wysyczała przez zęby. - Może nie jesteś gruby, ale swoje ważysz.

- Tak bezpieczniej mi się z tobą rozmawia.

- Nie mam ochoty na rozmowę.

Oczy mu zalśniły.

- W porządku. Możemy nie rozmawiać. Zanim zdążyła zaprotestować, a on zrobić to, co zamierzał, Samson wsunął pysk pomiędzy ich twarze.

- Znajdź sobie własną klaczkę - mruknął Aaron, odpychając ramieniem koński łeb.

- Podejrzewam, że on ma bardziej wyrafinowaną metodę uwodzenia... - rzekła Jillian, po czym zaniósła się śmiechem, gdy koń ponownie zniżył łeb. - Na miłość boską, Aaron, wstańmy! Błagam... - Oczy lśniły jej od łez, w policzku pojawił się dołeczek.

- Mnie się tu podoba. A swoją drogą powinnaś częściej...

Zdmuchnęła z oczu rudy kosmyk włosów.

- Co częściej? - spytała.

- Uśmiechać się.

Poczuł, jak opuszcza ją napięcie.

- A dlaczego miałabym się do ciebie uśmiechać?

- Bo to mi sprawia przyjemność. Usiłowała westchnąć głośno, ale znów zaczęła chichotać.

- Jeśli przeproszę cię za to uderzenie w brzuch, to pozwolisz mi wstać? - Zawahała się.

- Zresztą zemściłeś się. Jesteśmy kwita. No, złaż, Murdock. Bo mi niewygodnie.

- Tak? A mnie bardzo wygodnie. - Przesunął się, zmieniając nieco pozycję. - Musimy porozmawiać o mojej metodzie uwodzenia.

- Powinieneś trochę nad nią popracować, nabrać większej ogłady. A teraz wybacz, ale naprawdę muszę wracać na ranczo. Niektórzy muszą pracować na swoje utrzymanie.

Ogłady, powiadasz? Wolisz metody bardziej wyrafinowane i romantyczne? -

Delikatnie musnął jej policzek, a kiedy zbliżył usta do jej warg, wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Nie... Proszę.

W oczach Jillian ujrzał niepewność i strach.

- No, no szepnął, obrysowując jej wargi opuszką palca. - Odkryłem twój słaby punkt.

Nagle padł na nich cień, jakby słońce schowało się za chmurą.

- Chłopcze, dlaczego ty i ta młoda dama leżycie na ziemi?

Odwróciwszy głowę, Jillian zobaczyła stojącego obok starca o ostrych, regularnych rysach twarzy i ciemnych oczach. Chociaż był blady i wydawał się bardzo kruchy, natychmiast dojrzała podobieństwo. Patrzyła na niego zdumiona. Czy ten przeraźliwie chudy, wsparty na lasce, zgarbiony staruszek to ogólnie szanowany i budzący lęk Paul Murdock?

Ręka na lasce lekko drżała.

Aaron uśmiechnął się szeroko.

- Próbuję podjąć decyzję, tato, czy ją zgnieść, czy się z nią kochać.

Starzec zaśmiał się pod nosem, drugą rękę zaciskając na żerdzi.

- Tylko głupiec by się zastanawiał, ale żadnej z tych rzeczy tu nie będziesz robił. Zejdź z niej, żebym mógł się jej przyjrzeć.

Aaron posłusznie wstał, po czym bezceremonialnie podciągnął Jillian na nogi.

Posławszy mu mordercze spojrzenie, dziewczyna obróciła się twarzą do jego ojca. Co za pechowy zbieg okoliczności, pomyślała, że podczas pierwszego spotkania ze starym Murdockiem jest brudna, zakurzona, a ciało ma rozpalone. Przeklinając w duchu Aarona, odrzuciła w tył głowę i wyprostowała dumnie plecy.

Z surowego oblicza Paula Murdocka nie sposób było nic wyczytać.

- Hm, a więc to ty jesteś wnuczką Claya Barona?



- Owszem - odparła, patrząc mu prosto w oczy.

- Podobna jesteś do swojej babki.

- Tak mi mówiono.

- To była kobieta z temperamentem. - W jego oczach pojawił się błysk radości. -

Przyszła złożyć Karen życzenia po naszym ślubie. Ani wcześniej, ani później noga żadnego Barona nie powstała na tej ziemi. Twoja babka... gdyby jakiś młokos próbował z nią zadrzeć, z miejsca podbiłaby mu oko.

Masując ręką brzuch, Aaron oparł się o ogrodzenie.

- Ona też mnie zdzieliła - powiedział, uśmiechając się do Jillian. - I to mocno.

- W takim razie popracuj nad mięśniami - poradziła. Strzepnąwszy kurz z kapelusza, włożyła go z powrotem na głowę. - Bo potrafię znacznie mocniej.

Paul Murdock wybuchnął tubalnym śmiechem.

- Powinienem był mu częściej łoić skórę! Powiedz, złotko, jak masz na imię?

- Jillian - odparła z wahaniem. Pokiwał głową.

- Urodziwa z ciebie panna. Podejrzewam, że rozumu też ci nie brak. Wpadnij do nas na kawę. Moją żonę na pewno ucieszy twoja wizyta.

Przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu. Groźny Paul Murdock, największy wróg i rywal jej dziadka, zaprasza ją na kawę?

- Dziękuję...

Starzec skierował się w stronę domu, Aaron zaś pchnął furtkę, by nie musiała przeskakiwać przez ogrodzenie.

- To co?

- Wstąpię tylko na kilka minut. Czeka mnie dziś mnóstwo pracy.

Chociaż szli wolnym krokiem, przy schodkach prowadzących na werandę dogonili starego Murdocka. Widząc, z jakim trudem starzec je pokonuje, Jillian odruchowo wyciągnęła rękę, by mu pomóc. Aaron błyskawicznie chwycił ją za nadgarstek i potrząsnął

głową.

- Karen! - zawołał zasapany staruszek, gdy dotarł do siatkowych drzwi. - Masz gościa!

Pchnąwszy drzwi na oścież, skinął na Jillian, aby weszła do środka.

Dom, większy, bardziej przestronny od domu jej dziadka, urządzone był w westernowym stylu, który urzekł przed laty małą dziewczynkę z Chicago. Tyle że w MM

wyczuwało się coś, czego brakowało w Utopii: kobiecą rękę.

W jednym i w drugim rzucały się w oczy lśniące drewniane podłogi, drewniane belki pod sufitem, wspaniałe dębowe meble. U Murdocków jednak ściany miały delikatniejszy odcień, a na stole w glinianym wazonie stał bukiet świeżo ściętych kwiatów. Wprawdzie Clay Baron zachował w oknach uszyte przez żonę koronkowe firanki, lecz po jej śmierci całe wnętrze stopniowo przybierało coraz bardziej męski charakter. Jillian uświadomiła to sobie w pełni dopiero teraz.

W królestwie Murdocków widać było, że domem zajmuje się kobieta. Na podłodze w salonie leżał ogromny dywan w indiańskie wzory; koło kominka stały wielkie miedziane wazy, w których umieszczono suszone gałęzie i kwiaty. W niszy pod oknem urządzono wygodne siedzisko pełne ręcznie haftowanych poduch. Pokój sprawiał wrażenie niezwykle przytulnego.

- I co, żaden z was nie poprosił Jillian, by usiadła? - spytała Karen, pchając przed sobą wózek z filiżankami i dzbankiem kawy.

- To dziewczyna Aarona - rzucił Paul Murdock, ostrożnie zajmując miejsce w głębokim fotelu. Laskę postawił obok.

Zanim Jillian zdążyła zaprotestować, Aaron wziął ją za łokieć i podprowadził do kanapy. Zaciskając zęby, Jillian zwróciła się do Karen:

- Ma pani piękny dom.

- Dziękuję. - Żona Paula nawet nie starała się ukryć rozbawienia. - Wiesz, Jillian, widziałam cię w zeszłym roku na rodeo - rzekła, nalewając kawę. - Pomyślałam sobie, że jesteś bardzo podobna do Maggie, swojej babci. Czy w tym roku również zamierzasz wziąć udział w zawodach?

- Tak. - Skinieniem głowy podziękowała za kawę. - Mimo że mój zarządca strasznie się wściekał, że pobiłam jego czas w chwytaniu cieląt.

Aaron ujął w palce kosmyk jej włosów.

- Kusi mnie, żeby też startować w tej konkurencji.

- Nie chciałbym dożyć dnia, w którym jakaś dziewczyna okazałaby się lepsza od mojego syna - mruknął starzec.

- Wszystko zależy od dziewczyny, ojciec.

- Mogłeś wyjść z wprawy - zauważyła chłodno Jillian, spoglądając na Aarona. W

końcu spędziłeś pięć lat za biurkiem.

Nagle odniosła wrażenie, że napięcie, jakie wyczuła na dworze pomiędzy ojcem a synem, staje się prawie namacalne.

- Myślę, że pewne umiejętności ma się we krwi - wtrąciła pośpiesznie Karen. - Tobie, Jillian, spodobało się życie na ranchu, ale wychowałaś się na wschodzie, prawda?

- W Chicago odparła Jillian, zastanawiając się, jaki konflikt Karen usiłuje zażegnać. -

Źle się tam czułam. Nie umiałam sobie znaleźć miejsca. Zdaje się, że w mojej rodzinie zamiłowanie do ziemi przeskoczyło jedno pokolenie.

- Zdarza się. Jeśli dobrze pamiętam, masz brata, prawda? - Karen wlała odrobinę śmietanki do kawy i zamieszała ją.

- Tak. Jest lekarzem. Razem z ojcem prowadzi gabinet.

- Pamiętam twojego ojca. - Murdock jednym haustem opróżnił filiżankę. - Był poważnym, cichym chłopcem. Bardzo małomównym.

Jillian uśmiechnęła się wbrew sobie.

- Dobrze go pan zapamiętał.

- Nietrudno zrozumieć, dlaczego stary Clay zostawił rancho wnuczce, a nie synowi.

Wyciągnął w kierunku żony pustą filiżankę.

Jillian zauważyła, że Karen napełniła ją tylko do połowy.

- Ale mając takiego fachowca jak Gil Haley, powinnaś sobie bez trudu poradzić - dodał.

- Gil jest najlepszym zarządcą, jakiego można wymarzyć - oznajmiła Jillian cicho. -

Lecz to ja prowadzę rancho i ja o wszystkim decyduję.

Starzec ściągnął brwi.

- Kobiety nie zajmują się takimi rzeczami.

- Może inne nie - odparowała, unosząc dumnie głowę.

- Kowboj w spódnicy to same kłopoty.

- Nie noszę spódnicy, kiedy spędzam bydło. Odstawił filiżankę i pochylił się do przodu.

- Nie przepadałem za starym Clayem, ale żał by mi było, gdyby na skutek babskiej niekompetencji przypadł cały dorobek jego życia.

- Paul... - zaczęła ostrzegawczym tonem Karen, ale Jillian nie pozwoliła jej dokończyć.

- W przeciwieństwie do pana, dziadek nie miał uprzedzeń. Uważał, że jeśli ktoś jest zdolny, to jego pleć nie ma znaczenia. Teraz ja prowadzę Utopię i myślę, że jeszcze nieraz pana zaskoczę. - Wstała z kanapy. - Przepraszam, muszę wracać. Dziękuję za pyszną kawę, pani Murdock. A my... - zerknęła na Aarona, który wciąż siedział na kanapie - musimy omówić sprawę krycia.

- Co takiego? - ryknął starzec, waląc laską w podłogę.

- Chcemy, żeby Samson pokrył jedną z klaczy Jillian - wyjaśnił spokojnie Aaron.

Twarz starego Murdocka przybrała siny kolor.

- Murdockowie nie robią interesów z Baronami.

- Ja, ojciec, robię interesy, z kim chcę. Poderwawszy się z kanapy, Aaron ruszył za Jillian. Dogonił ją, kiedy była już przy samochodzie.

- Jaka jest twoja stawka? - wymamrotała przez zęby.

Oparł się o maskę samochodu. Jeżeli był zły, nie dawał nic po sobie poznać.

- Łatwo się iryтуjesz, Jillian. Wiesz, ostatnimi czasy tylko ja potrafię doprowadzić mojego ojca do białej gorączki.

- Twój ojciec to uparty, zatwardziały konserwatysta. I ma klapki na oczach.

Z rękami wsuniętymi do kieszeni spodni spoglądał z zadumą na dom.

- To prawda, ale zna się na krowach. Przygryzła wargę, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Ile żądasz za Samsona?

- Zapraszam cię na kolację. Wtedy wszystko ustalimy.

- Nie mam czasu na życie towarzyskie.

- Interesy zwykle omawia się podczas posiłku.

Zmarszczyła czoło. Wieczór z Murdockami? Nie, chyba nie dałaby rady; skończyłoby się stłuczonym talerzem albo czymś w tym stylu.

- Posłuchaj, Aaron. Jeżeli dogadamy się co do stawki, to chętnie wypożyczę Samsona do

zapłodnienia Delili. Ale poza tym nie mam ochoty zadawać się z tobą ani twoją rodziną.

- Dlaczego?

- Bo niemal od stu lat pomiędzy Baronami a Murdockami panuje wojna.

Popatrzył na nią kpiąco spod przymrużonych powiek.

- I kto ma klapki na oczach?

Fakt, pomyślała. Wsparłszy dłonie na biodrach, wzięła kilka głębokich oddechów, by się uspokoić. Paul Murdock jest stary i, sądząc po wyglądzie, mocno schorowany. Jest również, choć nigdy by tego głośno nie powiedziała, bardzo podobny z charakteru do jej dziadka. Postanowiła na jeden wieczór zakopać topór wojenny.

- No dobrze, przyjmuję zaproszenie. Ale nie miej do mnie pretensji, jeżeli wieczór zakończy się karczemną awanturą.

- Może jakoś tego unikniemy. Wpadnę po ciebie o siódmej.

- Sama trafię.

Zamierzała otworzyć drzwi dżipa, kiedy poczuła rękę Aarona na swoim ramieniu.

- Przyjadę po ciebie - rzekł stanowczo.

- W porządku. Jak sobie życzysz.

Zanim zorientowała się, co zamierza zrobić, przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta.

- Właśnie tak sobie życzę - powiedział, po czym skierował się do domu.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Gotując się z wściekłości, dotarła do Utopii. Uwagi starego Murdocka i tupet młodego wyprowadziły ją z równowagi. Nie należała do osób, które szybko odzyskują dobry humor.

Dlaczego więc przyjęła zaproszenie na kolację? Bo chciała uzgodnić sprawę wynajęcia reproduktora. Tak sama sobie tłumaczyła swą decyzję.

Wzbijając tumany kurzu, zajechała pod dom. Dochodziło południe. O tej porze nie było widać żywego ducha. Większość mężczyzn pracowała w polu, w zagrodzie, przy naprawianiu ogrodzenia, przy spędzie bydła. Ale nawet gdyby wokół kręcił się tłum ludzi, to i tak wysiadłszy z samochodu, trzasnęłyby z furią drzwiami. Zawsze uważała, że wściekłość powinno się wyładować, toteż odgłos zatrzaśniętych drzwi zabrzmiał jak huk wystrzału.

Przypomniała sobie o czekającej na biurku robocie papierkowej. Po chwili jednak uznała, że w

obecnym stanie nie dałaby rady zajmować się księgami rachunkowymi. Praca fizyczna najlepiej pozwoli jej rozładować złość. Obróciwszy się na pięcie, ruszyła w stronę stajni. Tam zawsze jest coś do zrobienia: sprzątanie boksów, uzupełnianie paszy...

- Przyznaj się, kogo byś chciała wbić na pal? Poderwała głowę; oczy jej płonęły.

Zobaczyła idącego w jej kierunku Joego Carlsona z nasuniętym głęboko na czoło kapeluszem i przyjaznym uśmiechem na wargach.

- Murdocków.

Pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Tak myślałem. Co, nie doszłście do porozumienia w sprawie ceny?

- Nawet nie zaczęliśmy negocjacji. - Zacisnęła zęby. - Wracam tam dziś wieczorem.

Joe przyjrzał się jej uważnie. Zastanawiał się, jak to się dzieje, że kobieta, która potrafi wszystkich ograć w pokera, zupełnie nie umie ukryć emocji, kiedy ktoś lub coś doprowadzi ją do gniewu.

- Aha - mruknął.

- Co aha? - zezłościła się. - Gdyby Murdock nie miał tak pięknego ogiera, powiedziałabym mu, żeby poszedł do diabła i zabrał ze sobą swojego cholernego tatuśka.

Tym razem Joe błysnął zębami w uśmiechu.

- Więc poznałaś starego?

- Owszem, a on z miejsca mi oświadczył, co myśli o kowbojach w spódnicy.

- Ciekawe.

- Bardzo ciekawe. - Po chwili przypomniała sobie, z jakim trudem Paul Murdock pokonywał cztery stopnie prowadzące na werandę, i spoważniała. - Cholera, nie powinnam się na niego wściekać. To stary i...

Chciała powiedzieć „i chory człowiek”, ale ugryzła się w język. Podejrzewała, że ojciec Aarona pragnie jak najdłużej oszukiwać wszystkich wkoło i uchodzić za sprawnego.

Niech mu będzie. Wzruszając ramionami, zerknęła w stronę zagrody.

- Cóż, po prostu wolę poglądy głoszone przez mojego dziadka. Clay uważał, że liczą się umiejętności, a nie płeć.

Joe zorientował się, że chciała powiedzieć coś innego, wiedział jednak, że naciskając na nią, nic nie wskóra. W ciągu ostatniego pół roku nauczył się jednego: że Jillian Baron o wszystkim sama

decyduje i wszystko robi po swojemu. Jeżeli jakiś facet za bardzo usiłuje się do niej zbliżyć, lodowatym spojrzeniem wskazuje mu jego miejsce.

- Jeśli masz chwilę czasu, może chciałabyś rzucić okiem na Casanovę - zaproponował.

- Słucham? - spytała, wracając myślami do rzeczywistości.

- Może chciałabyś zerknąć na buhaja - powtórzył Joe.

- Jasne. - Wsunąwszy ręce do kieszeni, ruszyła w stronę wybiegu. - Gil mówił ci o nowo narodzonych cielakach, na które się wczoraj natknęliśmy?

- Sprawdziłem południowe pastwiska. Tam też się stado powiększyło.

- O ile?

- Mniej więcej o trzydzieści sztuk. Za tydzień wszystkie cielne krowy powinny się już wycielić.

- Słuchaj, jadąc wczoraj z Gilem, miałam wrażenie, że stada są jakby trochę przerzedzone. Trzeba poprosić któregoś z pracowników, żeby sprawdził, czy nigdzie nie ma dziur i czy zwierzęta nie zapuściły się poza nasz teren.

- Zajmę się tym - obiecał Joe. - Jak tam sierotka?

Zerknęła przez ramię na oborę.

- Wyrośnie na pięknego, zdrowego byczka. - Wiedziała, że hodowca nie powinien się przywiązywać do zwierząt, ale w wypadku małego było już za późno. - Jestem gotowa przysiąc, że od wczoraj urósł.

- A oto jego tatko - oznajmił Joe, kiedy podeszli bliżej do wybiegu.

Zsunąwszy kapelusz na czoło, Jillian oparła się o płot. Wspaniały, pomyślała, spoglądając na byka. Po prostu wspaniały.

Łypnął na nich spode łba i prychnął. Jego czerwona sierść lśniła w słońcu. Nie miał

takiej wagi ani rozmiarów co czystej krwi angusy, wydawał się niemal szczupły w porównaniu z nimi, ale spojrzenie miał groźne. Z jego oczu wycierała buta i arogancja.

Potężne rogi zaokrąglone nad szerokim białym pyskiem nadawały zwierzęciu niebezpieczny wygląd. Przyglądając mu się, Jillian uświadomiła sobie, że za rok właśnie tak będzie wyglądał mały osierocony cielak, którym się wczoraj zaopiekowała. Byk ponownie prychnął i zaczął pocierać nogą o ziemię, jakby mówił: chodźcie, tchórze, zobaczymy, kto jest silniejszy.

- Charakter ma paskudny - mruknął Joe.

- Zależy mi, żeby był ostry, a nie miły i uśmiechnięty.

- O to nie musisz się obawiać. Sądząc po pierwszym rzucie cielaków, odwalił kawał

dobrej roboty. A ponieważ stosujemy sztuczną inseminację, tej wiosny wszystkie herefordy powinny zostać zapłodnione. Nasz drugi byk, szorthorn, też jest świetnym stadnikiem, ale nie może się równać z tym oto draniem.

- To prawda. - Oparła łokcie na górnej żerdzi. - Wiesz, czego się dziś dowiedziałam?

Że Aaron Murdock był zainteresowany nabyciem Casanovy. A ja kierowałam się instynktem; czułam, że trzeba działać szybko i że to będzie doskonały zakup. Drogi jak cholera, ale miejmy nadzieję, że się szybko zwróci - dodała, myśląc o potężnej dziurze w budżecie spowodowanej wyprawą za ocean. - Aaron właśnie wybierał się do Anglii, kiedy usłyszał, że myśmy go kupili.

- To było rok temu. - Joe zmarszczył brwi.

- Młody Murdock mieszkał wtedy w Billings.

- Cóż... - Jillian wzruszyła ramionami.

- W każdym razie ubiegliliśmy go. - Wyprostowała się. - Tak jak mówiłam, Joe, w lipcu zamierzam wystawić buhaja. Nigdy wcześniej nie zależało mi na nagrodach i zwycięstwach, ale w tym roku chcę wygrać.

- Z powodów osobistych? - spytał Joe, przenosząc wzrok ze zwierzęcia na jego właścicielkę.

- Osobistych? Właściwie to tak. - Uśmiechnęła się. - A na razie liczę, że dzięki Casanovie będziemy mieli najlepsze gatunkowo mięso w całej Montanie. Potrzebujemy pieniędzy, żeby nie popaść w długi. A za rok, kiedy cielaki dorosną...

- Popatrzyła na byka. - Zresztą nie ma co wybiegać myślą naprzód. Sprawdź pogłowie, Joe, i poinformuj mnie o wynikach. A ja idę zajrzeć do małego, potem będę w gabinecie.

- W porządku, szefowo. - Joe Carlson odprowadził ją wzrokiem.

Do piątej po południu siedziała nad księgami rachunkowymi; podliczyła wszystkie dane i była całkiem zadowolona z osiągniętych wyników. Owszem, w ciągu ostatniego roku wydatki znacznie wzrosły, ale podczas corocznej aukcji bydła w Miles City spodziewała się sporo zarobić. Podjęła ryzyko, ale nie miała wyjścia. Na szczęście buhaj z Anglii okazał się strzałem w dziesiątkę, a samolot powinna otrzymać już za tydzień.

Odchyliwszy się na starym skórzanym fotelu, utkwiała wzrok w suficie. Jeżeli tylko będzie miała czas, chętnie nauczy się pilotażu. Uważała, że powinna lepiej lub gorzej znać się na wszystkich aspektach prowadzenia rancza. Gdyby było trzeba, potrafiłaby podkuć konia czy zszyć rozdartą sierść. Któregoś lata, kiedy przyjechała do dziadka na wakacje, nauczyła się prowadzić traktor i obsługiwać maszynę do prasowania siana; tego samego roku po raz pierwszy i ostatni w życiu wykastrowała cielaka,



zamieniając go w wołka.

Wzdychając ciężko, zamknęła księgi rachunkowe. Obiecała sobie, że w przyszłości zatrudni księgowego. Czuła się bardziej zmęczona po czterech godzinach siedzenia za biurkiem niż po dziesięciu godzinach w siodle.

Na razie musi sama ślęczyć nad cyframi. Mogłaby dopisać kolejnego kowboja do listy płac, ale nie kogoś, kto by zajmował się robotą papierkową. Może za rok... Roześmiewszy się, oparła nogi na blacie.

Niestety, za bardzo liczyła na zyski w przyszłym roku, a przecież tyle rzeczy może się wydarzyć. Susza zawsze oznacza mniejsze zbiory, sroga zima zwykle pociąga za sobą straty w pogłowie bydła. Pogody się nie przewidzi, ale były też inne niewiadome, na przykład cena paszy. Gdyby nadal rosła, może trzeba będzie przeznaczyć do uboju większą liczbę cielaków.

Do tego dochodzą koszty naprawy dżipa, rachunki za weterynarza, żywność dla pracowników. No i paliwo do samolotu.

Modliła się w duchu, aby wszystko się udało. Oczywiście zdobycie jednej lub dwóch nagród na wystawie bydła też by nie zaszkodziło.

Na razie zamierzała obserwować rozwój nowo narodzonych cielaków. I poczynania Aarona Murdocka. Uśmiechnęła się w duchu. Co za zarozumiały drań! W dodatku inteligentny. Szkoda, że nie ufała mu na tyle, by móc z nim swobodnie porozmawiać o hodowli.

Brakowało jej takich rozmów, odkąd dziadek umarł. Kowboje, których zatrudniała, byli przyjaźnie do niej nastawieni, ale nie omawia się spraw zawodowych z ludźmi, którzy w przyszłym roku mogą przenieść się do innego ranczera. Jest jeszcze Gil Haley, ale on ma własne poglądy i nienawidzi zmian.

Czyli wszelkie problemy i wątpliwości musi rozwiązywać sama. W Chicago często marzyła o samotności, o tym, by nikt się nie wtrącał do jej życia. Teraz z kolei marzyła o tym, żeby choć przez godzinę móc z kimś porozmawiać. Potrząsnawszy głową, wstała. Zaczynasz głupiec, kochana. Przecież po ranczu kręci się mnóstwo osób. Chcesz pogadać? Idź do stodoły albo do stajni. A teraz weź się w garść. Nie ma czasu na uzalanie się nad sobą.

Stukając obcasami o podłogę, opuściła gabinet i ruszyła schodami na piętro. Z

zewnątrz dobiegł ją charakterystyczny dźwięk wzywający pracowników na kolację.

Najwyższy czas przygotować się do wyjścia, pomyślała.

Wcale nie chciała się stroić. Kusiło ją, aby najzwyczajniej w świecie włożyć czyste dżinsy i koszulę. Uznała jednak, że gospodarze mogliby to źle odebrać - jako brak szacunku.

Nadal była wściekła na obu mężczyzn i gdyby tylko o nich chodziło, toby się nie przejmowała, ale jest jeszcze Karen...

Otworzyła szafę. Kilka sukienek, jakie miała, wisiało obok siebie. Nosiła je rzadko, zwykle gdy zapraszała innych ranczerów i ich żony. Lubiła prosty styl, taki, który nie podkreślał jej kobiecości. Ubrana w samą bieliznę, rozważała swoje opcje.

Obszerna biała bluzka o koszulowym kroju idealnie nadawała się na taką okazję. Do tego biała spódnica z paskiem. Nie za elegancko, nie za sportowo; po prostu w sam raz.

Odrobina tuszu na rzęsy, jasna szminka na usta... Bizuteria? Po chwili wahania włożyła maleńkie złote kolczyki. Matka na pewno kazałaby jej upiąć włosy w kok. Jillian zostawiła je rozpuszczone. W końcu nie idzie na bal, tylko na rozmowę o wypożyczeniu reproduktora.

Kiedy usłyszała podjeżdżający pod dom samochód, powstrzymała się, aby nie podejść do okna. Wolnym krokiem, nie spiesząc się, zeszła na dół.

Aaron nie miał na głowie kapelusza, ale i bez niego wyglądał jak ktoś, kto całe życie spędza w siodle. Jak arystokrata, który całe życie spędza w siodle, poprawiła się w myślach.

W wąskich czarnych spodniach i cienkim czarnym swetrze prezentował się niezwykle poważnie i dostojnie.

- Jesteś punktualny. - Wyszła na dwór, pozwalając, aby drzwi się same zatrzasnęły.

Chciała jak najkrócej być z nim sam na sam.

- Ty też. - Powiódł po niej wzrokiem; podobała mu się prostota jej stroju. Pasek podkreślał szczupłość talii, a biel eksponowała ognistą radość włosów. - Pięknie wyglądasz -

dodał, ujmując jej dłoń. - Czy tego chcesz, czy nie. Serce jej załomotało.

- Uważaj, Murdock. Komplementami niewiele zdziałasz. - Usiłowała się oswobodzić, ale on jedynie zacisnął mocniej palce.

- To, co łatwo zdobyć, na ogół niewarte jest naszego czasu i uwagi - szepnął. Nie spuszczać oczu z Jillian, podniósł jej dłoń do ust.

Może dlatego, że ją zaskoczył, nie cofnęła ręki. Ba, miała ochotę unieść ją wyżej i pogłodzić go po twarzy.

- Powinnam cię ostrzec - rzekła w końcu. - Następny cios wymierzę niżej.

Ponownie pocałował jej dłoń.

- Wierzę ci.

Nie zdołała dłużej powściągnąć uśmiechu.

- No dobra, Murdock, to co z tą kolacją? - Nie czekając na odpowiedź, zeszła w dół po schodkach.

Samochód przed domem bardziej pasował do nafciarza niż ranczera. Niskie sportowe maserati. Jillian zawsze uwielbiała szybkość oraz doskonałość formy, więc z przyjemnością zajęła miejsce w fotelu pasażera.

- Ładna zabaweczka. - Uśmiech wciąż błąkał się po jej ustach.

- Lubię to autko - oznajmił Aaron, przekręcając kluczyk w stacyjce. Silnik zawarczał, a po chwili mruzczał cichutko jak zadowolony z życia kocur. - Zresztą nie wypada przyjeżdżać po kobietę starym dżipem lub pikapem.

- To nie randka - przypomniała mu. Nie mogąc oprzeć się pokusie, pogładziła gładkie skórzane obicie.

Samochód prowadził równie dobrze jak jeździł konno. Podejrzewała, że jest sprawny we wszystkim, do czego się bierze: w zarabianiu pieniędzy, w prowadzeniu rancza, w seksie.

No ale seks z Murdockiem jej nie interesuje.

- Co twój ojciec sądzi o mojej obecności na kolacji?

Ostatnie promienie zachodzącego słońca barwiły na złoto łany zbóż. Gdzieś w pobliżu muczała leniwie krowa.

- Dlaczego pytasz?

- Był przyjaźnie do mnie nastawiony, póki myślał, że jestem tylko wnuczką Claya. Ale kiedy dowiedział się, że zarządzam Utopią, nastrój mu się zmienił. Przeszkadza mu, że jego syn zadaje się z nieprzyjacielem.

Aaron oderwał oczy od drogi.

- A tobie nie przeszkadza?

- Nie, traktuję dzisiejszą kolację jako spotkanie w interesach. - Zawahała się. Po chwili kontynuowała, starannie dobierając słowa. Wiedziała, że sprawa, którą porusza, w najmniejszym stopniu jej nie dotyczy. - Aaron, twój ojciec jest bardzo chory, prawda?

Wyraz jego oczu prawie nie uległ zmianie.

- Tak.

- Przykro mi. - Wyjrzała przez boczną szybę.

- To takie trudne - dodała, myśląc o dziadku.

- Dla nich trudne, kiedy tracą siły.

- Ojciec umiera.

- Ale...

- Umiera - powtórzył Aaron. - Pięć lat temu lekarze powiedzieli mi, że został mi rok życia, góra dwa. Przechytrzył ich. Ale teraz... - Zacisnął lekko rękę na kierownicy. - Może dożyje do pierwszego śniegu, ale do roztopów na pewno nie dociągnie.

Mówił tak rzeczowo, tak konkretnie, jakby jego słowa dotyczyły liczb, a nie życia człowieka. Może to zaciśnięcie ręki na kierownicy się jej przywidziało?

- Nic na ten temat nie słyszałam, nawet najmniejszej plotki.

- Wiem, i chcemy to w dalszym ciągu utrzymać w tajemnicy.

Zmarszczyła czoło.

- Skoro tak, to dlaczego mi o tym mówisz?

- Bo ty rozumiesz pojęcie dumy i nie bawisz się w żadne gierki.

Przez moment uważnie wpatrywała się w jego profil. Najbardziej wymyślny komplement nie sprawiłby jej tyle satysfakcji co tych kilka słów wypowiedzianych suchym, beznamiętnym tonem.

- Wyobrażam sobie, co musi przeżywać twoja mama.

- Ona jest znacznie silniejsza, niż ci się wydaje.

- Chyba rzeczywiście. - Jillian uśmiechnęła się. - Musi być silna, żeby wytrzymać z takim człowiekiem jak twój ojciec.

Minęli bramę, nad którą widniał duży napis MM, i wjechali na teren posiadłości.

Zapadał zmierzch. Na pastwisku po prawej odpoczywało stado krów i cieląt; większość maluchów ssała wymiona matek. Za kilka miesięcy więzi rodzinne zostaną osłabione, potem zapomniane.

- Lubię tę porę dnia - powiedziała cicho Jillian, na wpół do Aarona, na wpół do siebie.

- Kiedy człowiek skończył już pracę, a jeszcze nie musi myśleć o czekających go jutro obowiązkach.

Zerknął na jej szczupłą dłoń o długich, wąskich palcach i krótko przyciętych paznokciach.

- Nigdy nie przyszło ci do głowy, że pracujesz za ciężko?

- Nie. - Popatrzyła mu w oczy.

- Tak myślałem.

- Co, kowboj w spódnicy?

- Nie o tym mówię. - Rozpytując się dyskretnie, zdobył o Jillian trochę informacji. Zazwyczaj harowała dwanaście godzin na dobę. Naprawiała ogrodzenia, zaganiała bydło, sypała paszę, nadzorowała liczne naprawy, ślęczała nad księgami rachunkowymi. - Co robisz dla relaksu?

- spytał nagle.

Jej zdumione spojrzenie wystarczyło mu za odpowiedź.

- Nie mam czasu na relaks - odparła po chwili. - Ale zdarza mi się usiąść w fotelu z książką. Albo włączyć to pudło, które Clay kupił dwa lata temu.

- Pudło?

- Magnetowid - wyjaśniła z uśmiechem.

- Dziadek uwielbiał oglądać filmy.

- To rozrywka dla samotnych.

- A ja prowadzę samotny tryb życia... Co to?

- spytała zaskoczona, kiedy zatrzymali się przed pomalowaną na biało, skromną drewnianą chatą.

- Tu mieszkam - odparł, wysiadając z samochodu.

Nie ruszyła się z miejsca. Sądziła, że Aaron mieszka z rodzicami w ogromnym domu, który znajdował się jakieś pół kilometra dalej. I że tam zjedzą kolację, wspólnie z Karen i Paulem Murdockami. Zmrużywszy oczy, popatrzyła na niego podejrzliwym wzrokiem, kiedy okrążył samochód i otworzył jej drzwi.

- Co knujesz, Murdock?

- Nic. Zaprosiłem cię na kolację... - podał jej rękę - a ty przyjęłaś moje zaproszenie.

- Wydawało mi się, że kolacja będzie tam.

- Wskazała w stronę niewidocznej za zakrętem głównej siedziby Murdocków.

Aaron powiódł spojrzeniem za ruchem jej ręki. Kiedy odwrócił się z powrotem, jego oczy lśniły.

- Źle ci się wydawało.

- Nie wyprowadziłeś mnie z błędu.

- Ani cię w błąd nie wprowadziłem. Rodziców nie dotyczy to, co się dzieje między nami.

- Między nami nic się nie dzieje. Rozciągnął wargi w uśmiechu.

- Ale będzie się działo. Ja mam konia, a ty klacz... Boisz się być ze mną sam na sam?

Obrzuciła go wyniosłym spojrzeniem.

- Ja? Miałabym się ciebie bać?

Widział po minie Jillian, że bez względu na to, co on teraz zrobi, duma nie pozwoli jej się wycofać. Pokusa była zbyt silna. Pochyliwszy się, pocałował ją lekko w usta.

- W porządku - rzeki cicho. - Jeżeli jednak zaczniesz się bać, zawsze możemy podjechać do rodziców.

Serce podeszło jej do gardła. Lęk przed tobą? Niedoczekanie! - pomyślała i pewnym siebie krokiem ruszyła w stronę białej chaty.

Podziwiał jej nieustraszoną postawę, to, że była gotowa stawić mu czoło. Dogoniwszy ją, otworzył drzwi. Tak, wszystko wskazuje na to, że spędzą razem interesujący wieczór.

Miał doskonały gust. Rozglądała się po wnętrzu, zastanawiając się, ile można dowiedzieć się o człowieku na podstawie tego, jak mieszka. Najwyraźniej po matce odziedziczył zmysł estetyczny. Utrzymany w odcieniach brązu, beżu i zieleni salon był

stosunkowo mały, pełen stylowych mebli, mimo to sprawiał wrażenie przestronnego.

Podeszła do mahoniowego regału, na którym stała kolekcja niedużych cynowych rzeźb. Jej uwagę zwrócił koń w galopie, ale właściwie wszystkie zwierzęta były pięknie wykonane.

- Bardzo ładne - powiedziała, odwracając się. - Chociaż kogoś takiego jak ty stać byłoby na duże mosiężne rzeźby.

- Kupuję to, co mi się podoba, a nie to, co się podoba znawcom sztuki - odparł. - Jakie lubisz steki?

Wsunęła ręce do kieszeni spódnicy.

- Średnio wysmażone.

- Dotrzymasz mi towarzystwa? - Wziął ją pod łokieć i poprowadził w stronę kuchni.

- Hm, czyli dostanę Murdockową wołowinę przyrządzoną osobiście przez Murdocka...

Czuję się zaszczycona.

- Może potraktujmy tę kolację jako gałązkę oliwną - zaproponował.

- Zgoda. - Uśmiechnęła się. - Mam nadzieję, że dobrze gotujesz, bo nic od rana nie jadłam.

- Dlaczego?

Popatrzył na nią z taką dezaprobatą, że Wybuchnęła śmiechem.

- Ugrzęzłam w papierkowej robocie. Siedząc przy biurku, jakoś nie odczuwam głodu.

No, no... - Rozejrzała się z uznaniem po kuchni. Drewniana podłoga i proste szafki nadawały jej surowy, niemal purytański charakter. - Widzę, że lubisz porządek.

- Przez jakiś czas mieszkałem w baraku razem z kilkunastoma facetami. - Otworzył butelkę wina, która stała na blacie obok dwóch kieliszków. - Życie w takich warunkach albo człowieka korumpuje, albo reformuje.

- W baraku? Ale... - Przyłapawszy się na tym, że znów wtrąca się w nie swoje sprawy, urwała w pół słowa.

- Ojciec i ja lepiej się dogadujemy, kiedy jesteśmy od siebie daleko. - Nalał wina do kieliszków. - Pewnie słyszałaś plotki, że nie zawsze się zgadzamy?

- Słyszałam, że kilka lat temu, zanim wyjechałeś do Billings, strasznie się pokłóciliście.

- I pewnie się zastanawiałaś, jak wszyscy, dlaczego w końcu wróciłem tu, zamiast kupić własne ranczo, a ojcu powiedzieć, żeby poszedł do diabła?

- Owszem, zastanawiałam się. - Skinieniem głowy podziękowała za wino. - Ale nie powinno to mnie obchodzić.

Przez chwilę wpatrywał się w zawartość swojego kieliszka, jakby badał odcień czerwieni.

- No właśnie. - Podniósł wzrok. - Nie powinno.

Bez słowa obrócił się i wyjął z lodówki dwa duże steki. Jillian w milczeniu sączyła wino i obserwowała, jak Aaron przygotowuje posiłek. Pięć lat temu lekarze dawali jego ojcu rok, może dwa lata życia. Powiedział jej o tym rano pozbawionym emocji głosem. I pięć lat temu sam wyjechał do Billings.

Po co? Żeby tam poczekać na śmierć Paula? Jillian wzdrygnęła się. Nie, w to akurat nie wierzyła. Może nie kochał ojca głęboką synowską miłością, ale nie był zimny i nieczuły.

Wypiła jeszcze jeden łyk wina, po czym odstawiła kieliszek.

- Mogę pomóc?

Obejrząwszy się przez ramię, napotkał jej wzrok. Wiedział, w jakim kierunku potoczą się jej myśli. Teraz przekonał się, że Jillian postanowiła go nie potępiać. Mówił sobie, że nie obchodzi go jej opinia na jego temat. Jednak ze zdumieniem odkrył, że obchodzi, i to bardzo.

Starając się opanować zdenerwowanie, rzucił mięso na patelnię.

- Pomóc? Hm...

Podszedł bliżej i ujął jej twarz w dłonie. Zaskoczona otworzyła usta, ale nie dał jej dojść do słowa. Pocałował ją. Lekkie, niewinne muśnięcie zaczęło się przeradzać w namiętny pocałunek.

Jillian zeszywniała; instynktownie położyła ręce na klatce piersiowej Aarona, jakby chciała go odepchnąć. Zwykle opór go podniecał, ale dziś pragnął, by Jillian była miękka, ciepła, tkliwa.

- Jillian, nie - poprosił, wsuwając palce w jej włosy. - Nie walcz ze mną. Nie wrywaj się.

Coś w jego tonie sprawiło, że zanim pomyślała, co robi, odruchowo rozluźniła mięśnie. Przestała walczyć. Zaczęła brać i dawać, czerpiąc z tego autentyczną przyjemność.

W najśmielszych marzeniach nie przypuszczała, że pocałunek może dostarczać tak cudownych wrażeń.

Aaron przytulił ją mocniej. Zdziwiło go, że potrafi być tak delikatny i czuły. Ale widocznie nie spotkał dotąd kobiety, która umiałaby wydobyć z niego te cechy. Nigdy też nie sądził, że pożądanie może wywoływać w człowieku takie uczucie błogości i spokoju. A mogło, bo narastało w nim zarówno pożądanie, jak i błogość. Z tego wszystkiego zakręciło mu się w głowie.

Oszołomiony, uwolnił Jillian ze swoich objęć. Wpatrywał się w nią jak ktoś, komu przydarzyło się coś bardzo dziwnego, czego nie rozumie i co boi się zrozumieć. Cofnęła się na drżących nogach i przytrzymała blatu. Przeżyła coś niesamowitego, wiedziała jednak, że nie może sobie pozwolić na żadną słabość.

- Przyjechałam na kolację - powiedziała, przyglądając mu się nieufnie. - I żeby porozmawiać o interesach. Nie rób tego więcej.

- Przepraszam, masz rację. - Odwróciwszy się, zjrzał do steków. - Poczęstuj się jeszcze winem.

Podniosła do ust kieliszek; potrzebowała czegoś na ukojenie nerwów.

- Nakryję do stołu - zaproponowała.

- Świetnie. Naczynia są tutaj. - Nie odrywając wzroku od patelni, wskazał szafkę przy oknie. Mięso zaskwierczało, kiedy przerzucił je na drugą stronę. - W lodówce jest sałata...

W milczeniu dokończyli przygotowania do kolacji. Ciszę w kuchni przerywał jedynie odgłos skwierczącego mięsa oraz smażących się frytek. Jillian z coraz większym apetytem spoglądała na jedzenie.

- Albo jesteś genialnym kucharzem - rzekła, gdy już siedzieli przy stole - albo ja jestem głodna jak wilk.



- I jedno, i drugie. - Podał jej sos. - Taka chudzina jak ty powinna jadać regularne posiłki.

Nie obraziła się za „chudzinę”.

- Mam szybką przemianę materii - oznajmiła, wbijając widelec w sałatę. - Bez względu na to, ile jem, nie mogę przytyć.

- Niektórzy winią za to życie w nerwowym pośpiechu, a nie metabolizm.

Dolał im obojgu wina.

- W moim wypadku winę zdecydowanie ponosi metabolizm. Nie żyję w pośpiechu, a już na pewno nie w nerwowym.

- Skoro tak twierdzisz... Dlaczego wyjechałaś z Chicago? - spytał, zanim zdążyła zareagować na jego poprzednie słowa.

- Nie pasowałam do tego miasta.

- Nie pasowałam czy nie chciałam się dopasować?

Przez chwilę przyglądała mu się z zadumą w oczach, po czym skinęła głową.

- W porządku. Nie chciałam się dopasować. A odkąd po raz pierwszy przyjechałam na wakacje do Montany, czułam się tu jak w domu.

- A co na to twój ojciec, matka?

- Wolą Chicago - odparła ze śmiechem.

- Pytam, jak zareagowali na twój wyjazd? Co myślą o tym, że ich córka prowadzi ranczo?

- A jak mieli zareagować? - Wzruszyła ramionami. - Można powiedzieć, że mój stosunek do Montany odzwierciedla stosunek mojego ojca do Chicago. W Chicago tata czuje się jak ryba w wodzie. Jakby tam się urodził i wychował. Kocha to miasto. Mama również. A ja... po prostu odstaję od rodziny.

- To znaczy?

Posoliwszy lekko mięso, odkroiła sobie kawałeczek.

- Na przykład nie znosiłam lekcji muzyki.

- Co to ma do rzeczy?

- Wszystko. Marc, mój brat, wdał się w rodziców. Nigdy nie przeniósłby się na prowincję. Jest lekarzem, medycyna pociągała go od najmłodszych lat, poza tym kocha operę.

Podobnie jak mama, która ma bzika na tym punkcie. - Pokręciła z uśmiechem głową. - Ja natomiast,

kiedy robię zastrzyk krowie, zamykam oczy, bo sam widok igły przyprawia mnie o mdłości, i jakoś nigdy nie potrafiłam docenić „Traviaty”.

- Muzyka i medycyna... Czy to naprawdę takie ważne?

- W mojej rodzinie tak. - Zamyśliła się. - Kiedy przyjechałam tu pierwszy raz, na wiele spraw otworzyły mi się oczy. Zobaczyłam, że można żyć inaczej. Dziadek mnie rozumiał. Nie prawil kazań, tylko wrzeszczał i przeklinał.

Uśmiechając się szeroko, podsunął jej półmisek z frytkami.

- Lubisz, jak się na ciebie wrzeszczy?

- Słuchanie długich i nudnych kazań wygłaszanych kulturalnym tonem to najgorsza kara, jaka może człowieka spotkać.

- Cóż, nigdy jej wobec mnie nie stosowano. Po prostu zamykano mnie w drewnitni. -

Podobał mu się jej niski, gardłowy śmiech. - Dlaczego wcześniej nie przeniosłaś się do dziadka?

Przełknęła kawałek mięsa, który miała w ustach.

- Studiowałam. Rodzice zawsze uważali, że ich dzieci powinny skończyć studia i uzyskać dyplom. Chociaż pod tym jednym względem nie chciałam ich zawieść. Potem poznałam... - Urwała, zdumiona, że omal nie opowiedziała Aaronowi o swoim romansie z młodym stażystą. - Nieważne kogo. Po prostu nic z tego nie wyszło i wtedy postanowiłam zamieszkać tu na stałe.

Aaron domyślił się, że przeżyła nieszczęśliwą miłość. Że człowiek, którego poznała, musiał ją jakoś skrzywdzić. Najwyraźniej był to wciąż drażliwy temat. Nie zamierzał więc go drażnić.

- To dobrze - stwierdził. - Bo tu faktycznie jest twoje miejsce.

Coś w jego tonie sprawiło, że podniosła wzrok.

Przez moment nie była pewna, czy mówiąc, że tu jest jej miejsce, Aaron ma myśli Montanę, czy swój dom. Ale po chwili przypomniała sobie, że pochodzą z wrogich światów.

- Moim domem jest Utopia - sprecyzowała, by nie było żadnych wątpliwości. - I nim pozostanie. - Zawahała się. - Dziś rano twój ojciec powiedział, że Murdockowie nie robią interesów z Baronami.

- O swoim życiu, zarówno osobistym, jak i zawodowym, decyduję ja, a nie mój ojciec.

- Chcesz wynająć Samsona do krycia Delili, żeby mu zrobić na złość?

- Nie tracę czasu na takie głupstwa - oznajmił stanowczo Aaron. - Co do Samsona -

utkwiał spojrzenie w jej twarzy - to mam własne powody.

- Jakie?

- Własne - powtórzył, podnosząc kieliszek do ust.

Chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Jego powody nie powinny jej interesować.

W biznesie nie trzeba znać motywacji kontrahenta.

- W porządku. Jakiej oczekujesz zapłaty? Nie spieszył się z odpowiedzią.

- Skończyłaś? - spytał.

Spojrzała na talerz. Był pusty. Zjadła wszystko do ostatniego kęsa.

- Na to wygląda. - Roześmiała się speszona. - Wiesz, Murdock, z przykrością muszę stwierdzić, że steki były wyśmienite. Mięso z twojej hodowli jest prawie tak dobre jak z mojej.

Wstał od stołu i zaczął zbierać naczynia.

- Przejdźmy z winem do salonu... Chyba że masz ochotę na kawę, to zaparzę.

- Nie, dzięki. - Pomogła mu włożyć talerze do zmywarki. - Wypiłam cały dzbanek, kiedy ślęczałam nad rachunkami.

- Coś mi mówi, że nie jest to twoje ulubione zajęcie?

Z kieliszkami w dłoni i butelką ruszyli do salonu.

- Nie cierpię tego. - Skrzywiła się. - Ale ktoś to musi robić.

- Możesz zatrudnić księgową.

- Myślałam o tym. Może w przyszłym roku. Przyznam ci się, że lubię trzymać rękę na pulsie.

- Słyszałem plotkę, że w chwytności jesteś lepsza od wielu facetów.

Usiadła na kanapie, wygładzając spódnicę.

- To nie plotka, Murdock - powiedziała z zaczepnym uśmiechem. - W każdej chwili mogę stanąć z tobą w szranki.

- Zapamiętam - rzekł, siadając obok. - Chyba jednak wolę cię w spódnicy niż w zakurzonych portkach.

Popatrzyła na niego znad krawędzi kieliszka.

- Miałaś mi podać stawkę za krycie. Ile żądasz?

Leniwym ruchem owinał wokół palca kosmyk jej włosów.

- Chcę dostać pierwszego źrebaka.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Przez długą chwilę w milczeniu mierzyli się wzrokiem. Jillian czuła wściekłość. Była przekonana, że rozgryzła Aarona, okazało się jednak, że się pomyliła. Swoją odpowiedzią kompletnie ją zaskoczył.

- Pierwszego... - Odstawiła kieliszek na stół. - Chyba oszalałeś!

- Nie interesują mnie pieniądze. Podoba mi się Delila, więc jestem gotów umówić się na dwa krycia. Ja biorę pierwsze źrebie bez względu na płęć, a ty drugie.

- To znaczy, że ja mam pokrywać koszty utrzymania źrebnej klaczy, której nie będę mogła używać do pracy przez trzy lub cztery miesiące, i płacić rachunki za weterynarza, a ty sobie weźmiesz źrebaka?

Oparł się wygodnie o kanapę. Uwielbiał się targować, a dawno tego nie robił.

- Ty weźmiesz następnego. A w sprawie kosztów możemy dojść do porozumienia.

- Nie. Chcę jedną konkretną stawkę - powiedziała, wstając. - To psy, nie konie, rodzą miot, z którego można wybierać takiego lub innego szczeniaka.

- Nie interesuje mnie gotówka - powtórzył Aaron. - Albo zgadzasz się na źrebie, albo kończymy rozmowę.

Och, kusiło ją, by zakończyć tę rozmowę, unieść się honorem i wyjść. Gotując się w środku, podeszła do okna. Właściwie to była zdziwiona, że jeszcze tu przebywa. Dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, jak bardzo zależy jej Samsonie. Instynkt jej podpowiadał, że warto skojarzyć te dwa wspaniałe zwierzęta; po prostu czuła, że ich potomstwo będzie wyjątkowe. Clay często chwalił jej intuicję, i nie bez powodu. Ale teraz... teraz musi się zastanowić nad absurdalną ofertą Murdocka.

Patrzyła przez okno na czarne niebo. Za jej plecami Aaron siedział na kanapie, lekko się uśmiechając. Ciekaw był, czy Jillian wie, jaka jest piękna, kiedy się złości. Aż go korciło, aby ją jeszcze bardziej rozgniewać.

- Nie, ja zatrzymam pierwsze źrebie - oznajmiła nagle - a ty weźmiesz drugie. W

końcu to moja klacz, ciąża zawsze wiąże się z pewnym ryzykiem, w dodatku przez jakiś czas Delila będzie niezdolna do pracy. Ponoszę znacznie większe koszty niż ty.

Zamyślił się. Nagle uświadomił sobie, że gdyby był w jej skórze, zachowałby się identycznie.

- Ale ponowne krycie odbędzie się możliwie najszybciej po wyźrebieniu.

- Zgoda. Wizyty weterynarza opłacamy po połowie. Przy obu ciążach.

Uniósł brwi. No proszę. Nie tylko zna się na hodowli, ale potrafi również świetnie się targować.

- W porządku. Z pierwszym kryciem czekamy do najbliższej rui.

Skinąwszy głową, Jillian wyciągnęła rękę.

- Chcesz sam spisać umowę, czy ja mam to zrobić?

Aaron wstał z kanapy.

- Wszystko jedno - odparł. - Mnie wystarczy uścisk dłoni.

- Ja natomiast uważam, że umowa nigdy nie zaszkodzi.

- Nie ufasz mi?

- Ani trochę. - Na widok jego miny Wybuchnęła śmiechem; bardziej sprawiał

wrażenie zadowolonego niż obrażonego. - Ani trochę - powtórzyła. - Zresztą podejrzewam, że byłbyś zawiedziony inną odpowiedzią.

- Widzę, że przejrzałaś mnie na wylot. Jaka szkoda, że ostatnie pięć lat spędziłem w Billings.

- Przechylił na bok głowę. - Ale myślę, że szybko nadrobimy stracony czas.

- Ja żadnego czasu nie straciłam - zaproponowała. - A teraz, skoro omówiliśmy interesy, chciałabym wrócić do domu. Jutro czeka mnie pracowity dzień.

Ścisnął mocniej jej rękę.

- Jeszcze nie wszystko omówiliśmy.

- Ja wszystko - oznajmiła chłodno. - Nie radzę - dodała, gdy postąpił krok do przodu.

- Nie chciałabym znów uciekać się do przemocy.

- Tym razem byś nie trafiła. - Ujął również jej drugą rękę. Trzymał obie przed sobą na tyle mocno, by nie mogła mu się wyrwać. - Zdobędę cię, Jillian. Będziesz moja.

- Na pewno nie - oznajmiła, patrząc mu prosto w oczy. Nawet nie próbowała się oswobodzić.

- A wtedy - ciągnął, jakby nie słyszał jej sprzeciwu - spędzimy z sobą magiczne chwile, których żadne z nas nie zapomni do końca życia. Kiedy po raz pierwszy cię ujrzałem, coś we mnie zadrżało. I nadal drży.

- To twój problem, Murdock. Nie interesujesz mnie - skłamała.

- Hm, no dobrze. Powtórz mi to za dwie minuty.

Przywarł ustami do jej warg. Jillian zeszywniała. Przez moment wyglądało na to, że będzie chciała go odepchnąć, ale potem objęła go za szyję i z całej siły się do niego przytuliła.

Kiedy oderwał od niej usta, chciała powiedzieć, że pragnie więcej, ale protest zamienił się w cichy jęk rozkoszy. Aaron całował jej szyję, czubkiem języka delikatnie pieścił ucho.

Coś wyszeptał, czego jednak nie zrozumiała. Ale słowa nie były ważne, sam dźwięk wystarczył, aby od góry do dołu przeszył ją dreszcz.

Czuł, jak Jillian błaga go o więcej. Jej ciało tak entuzjastycznie reagowało na każdy dotyk. Wsunął nogę pomiędzy jej uda. Razem opadli na kanapę. Pocałunkiem odpowiadała na pocałunek, dotykiem na dotyk, pieszczotą na pieszczotę. Była zdumiona sobą, reakcją swojego ciała. Nikt nigdy tak bardzo jej nie pragnął. A co ważniejsze, ona nikogo tak bardzo nie pragnęła. Kochała się tylko raz w życiu. Tamto doświadczenie, miłe i spokojne, w niczym nie przypominało dzisiejszego. Nie sądziła, że zdolna jest do odczuwania tak gwałtownych emocji. Że...

Dłoń Aarona wędrowała po jej nodze, po wewnętrznej stronie uda. Jillian zacisnęła powieki. Ogarnął ją przeraźliwy strach. Miała wrażenie, że za moment eksploduje, że rozpadnie się na tysiące kawałków i że to będzie koniec. Że straci nad sobą kontrolę i już nigdy jej nie odzyska.

Mimo że w głębi duszy marzyła o tym, by zapomnieć o otaczającym ją świecie i oddać się rozkoszy, zaczęła się wyrywać.

- Nie, przestań, nie chcę...

- Jillian... - wyszeptał oszołomiony, nie wiedząc, co ją opętało.

- Nie!

Zepchnęła go z siebie i rzuciła się pędem do drzwi. Mrucząc pod nosem przekleństwa, Aaron czym prędzej poderwał się na nogi i wybiegł za nią.

- Do jasnej cholery, co się stało? - spytał, odwróciwszy ją twarzą do siebie.

- Puszczaj! Nie chcę być obmacywana!

- Obmacywana? - Wzburzony nawet nie usłyszał, że jęknęła z bólu, gdy zacisnął

mocniej dłoń na jej łokciu. - Sama też obmacywałaś, że użyję twojego określenia!

- Puść mnie - poprosiła drżącym głosem. - Mówiłam ci, że nie lubię, kiedy się mnie dotyka.

- Lubisz, nie kłam.

Dostrzegł w jej spojrzeniu całą gamę emocji: strach, dumę, pożądanie, wściekłość.

Przypomniawszy sobie oczy dzikiego mustanga, którego kiedyś zamknął w boksie. Nagle zorientował się, że wbija palce w ramię Jillian, zadając jej ból.

Nie był z natury spokojny i potulny, ale dotąd jeszcze żadna kobieta nie sprawiła, aby tak totalnie stracił głowę. Zawstydzony, rozluźnił uścisk, ale nie cofnął ręki. Intuicyjnie czuł, że gdyby wciągnął Jillian z powrotem do środka, oddałaby mu się. Nie chciał jednak tego robić.

- Jillian, posłuchaj... - rzekł półgłosem. - Możesz opóźnić to, do czego i tak między nami dojdzie, ale nie zdołasz temu zapobiec. - Otworzyła usta, by zaproponować, ale pogroził

jej ostrzegawczo palcem. - Nie, lepiej nic nie mów. Pragnę cię, ale trudno, umiem zapanować nad pożądaniem. Odwiozę cię do domu, jak przystało na dżentelmena. Którym nie zawsze bywam.

Bez słowa otworzył drzwi od strony pasażera, po czym obszedł samochód i zajął

miejsce za kierownicą. Całą drogę odbyli w milczeniu. Jillian siedziała sztywno wyprostowana; czuła, jak jej ciało drży. Z początku przeklinała w duchu Aarona, a potem, gdy jej ulżyło, zaczęła przeklinać samą siebie. Przecież go pragnęła. Za każdym razem, gdy jej dotykał, jej pierwotny opór natychmiast zniknął.

Zacisnęła pięści. Psiakrew! Pogardzała kobietami, które w jednej minucie gotowe są iść do łóżka z facetem, a w następnej niemal oskarżają go o gwałt. Nigdy dotąd tak się nie zachowywała.

Nic dziwnego, że Aaron był na nią wściekły. Ale ona również miała powody do złości. Kto mu pozwolił zburzyć spokój, jaki udało jej się osiągnąć? Wcale nie chciała czuć tych gwałtownych emocji, jakie w niej rozniecał. Gdyby im uległa, straciłaby niezależność.

Nie byłaby tym, kim jest. Tak się zdarzyło przed laty, a przecież wtedy temperatura pragnień i emocji była nieporównywalnie niższa.

Cholera, postąpiła jak idiotka! Nienawidziła przyznawania się do błędów.

Nagle przez ciągnące się wzdłuż pola ogrodzenie przeskoczyła sarna; stanęła na środku drogi, oślepiona blaskiem reflektorów. Po chwili, zanim Aaron zdążył zahamować, ocknęła się i przebijając chudymi nóżkami, pobiegła dalej. Jillian uśmiechnęła się; lubiła spotkania z żyjącymi na wolności przedstawicielami jeleniowatych. Zalała ją fala ciepła.

- Aaron, przepraszam - powiedziała nieoczekiwanie dla samej siebie. - Niepotrzebnie się uniosłam. Głupio mi.

Powiódł po niej wzrokiem. Chciał pozostać zły, tak było łatwiej, ale nie potrafił się na nią gniewać.

- Ja też niepotrzebnie się uniosłem. Oboje jesteśmy w gorącej wodzie kąpani. I działamy na siebie... wybuchowo.

- Skoro jednak będziemy z sobą współpracować, może powinniśmy ustalić jakieś zasady. Dojść do porozumienia.

- Masz rację. - Po jego wargach błąkał się lekki uśmiech. - Co proponujesz?

- Żebyśmy pamiętali, że łączą nas interesy.

- Słusznie. - Położył rękę na oparciu jej fotela. Coraz bardziej bawiła go ta rozmowa. -

Coś jeszcze nas łączy?

- Cholera, Murdock, nosisz maskę durnia czy jesteś nim w istocie?

- Bez inwektyw, kotku. Przecież dążymy do porozumienia.

Nie zdołała dłużej utrzymać powagi.

- Masz dziwne poczucie humoru, wiesz?

- Myślisz? - Westchnął. - No dobra. Jesteśmy współnikami w interesach. I oczywiście sąsiadami.

- Tak, sąsiadami też. Ale głównie łączą nas konie.

- Głównie. Mogę ci zadać pytanie?

- Słucham? - W jej głosie zabrzmiała nuta podejrzliwości.

- Po co to wszystko? Pokręciła z uśmiechem głową.

- Próbuję zaprowadzić porządek, ustalić, czego się mamy trzymać. Żebym nie musiała cię przeproszać. Nienawidzę przepraszania.

- Robisz to ładnie. Szczerze i z wdziękiem. Oczywiście zaraz znów wpadniesz w złość.

- Nie wpadnę.

- Założymy się o pięć dolców?

- Jesteś niemożliwy. - Wnętrze samochodu wypełniło się jej śmiechem. - Gdybym przyjęła zakład, stanąłbyś na głowie, żeby tylko wytrącić mnie z równowagi.

- Widzisz, jak świetnie się rozumiemy? Ale dobrze, zaprowadzaj porządek.

Zajechał przed jej dom. Światło palące się na werandzie docierało do wnętrza auta, oświetlając ich twarze.

- Po prostu trzymajmy się tego, że mieszkamy koło siebie i kontaktujemy się w sprawach zawodowych.

- Mówisz o tym w czasie teraźniejszym - wytknął jej.



- Zgadza się.

- Powinnaś również w przyszłym. Kim dla siebie będziemy, co się zmieni w naszym życiu.

Zmrużyła oczy.

- Co się zmieni?

- Zostaniemy kochankami. - Przejechał palcem po jej szyi. - Nie wymkniesz mi się.

Prędzej czy później będziesz moja.

Biorąc głęboki oddech, powtarzała sobie, że nie da się sprowokować.

- Widzę, że nie potrafisz normalnie rozmawiać.

Chwyił ją za rękę, zanim otworzyła drzwi. Przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w jej wargi.

- Na ogół nie grzeszę cierpliwością - szepnął. - Ale są rzeczy, na które warto czekać.

- Nastaw się na bardzo długie czekanie.

- Na pewno będzie dłuższe, niżbym chciał. Lecz zdecydowanie krótsze, niż ci się wydaje. - Pociągnął za klamkę i otworzył drzwi. - Śpij dobrze, Jillian.

- Pamiętaj, Murdock, że nie lubię nieproszonych gości.

Zatrzasnąwszy drzwi, wbiegła po schodkach na werandę. Odprowadził ją jego cichy śmiech.

W następnych dniach starała się nie myśleć o Aaronie. A kiedy jej to nie wychodziło, przynajmniej próbowała myśleć o nim z ironią i pogardą. Wmawiała w siebie, że to próżny, uparty egoista przyzwyczajony do tego, że dostaje wszystko, czego zażąda. Czasem nawet udawało się jej zapomnieć, że jest przystojny, że potrafi ją rozśmieszyć i że wzbudza jej pożądanie.

W ciągu dnia zajmowała się pracą; miała tyle spraw na głowie, że niewiele zostawało czasu na cokolwiek innego. Ale kiedy nocami leżała w dużym, pustym łóżku, straszliwie doskwierała jej samotność. I wtedy przypominała sobie roześmiane oczy Aarona, a także to, co czuła, kiedy trzymał ją w ramionach i całował.

Zaczęła wstawać wcześniej niż zwykle i kłaść się później niż zazwyczaj. Pracowała bez wytchnienia; po powrocie do domu nie miała na nic siły. Ale od snów nie było ucieczki.

O świcie osiodłała konia i znów wyjechała na pastwisko. Wschodzące słońce barwiło niebo na różowo. Podobnie jak większość kowbojów miała na sobie lekką kurtkę i skórzane ochraniacze na spodniach. Dziś był dzień znakowania zwierząt. Dorosłe osobniki łagodnie zaganiano do zagrody - cielaki same szły za matkami. Zajęcie to wymagało jednak pewnej wprawy; wystraszone krowy często puszczały się biegiem, a to czasem powodowało nawet dziesięciokilogramowe ubytki wagi.

Prowadząc wolno Delilę, Jillian usiłowała oddzielić od stada krowę z cielakiem.

Kilkanaście metrów od siebie zobaczyła Joego, który rozpostartymi ramionami próbował zmusić parę krow do zawrócenia. Skinęła mu na powitanie.

- Przypalanie żelazem kojarzy mi się z typowo męskim zajęciem - powiedział, podchodząc bliżej.

Jillian roześmiała się.

- Nie w Utopii. - Dumnym wzrokiem rozejrzała się wkoło. - Za kilka dni, kiedy znów będziemy znakować, powinniśmy już mieć samolot. Z góry łatwiej będzie dostrzec zbłąkane sztuki.

Joe pokręcił z dezaprobatą głową.

- Za ciężko pracujesz. Nie, nie rób takiej zdziwionej miny. Dobrze wiesz, że mam rację.

Wzruszyła ramionami.

- Bez przesady. O tej porze roku zawsze jest dużo roboty, i na polu, i przy zwierzętach. Zaraz potem odbywa się rodeo i aukcja bydła. - Poklepała klacz po szyi. - Liczę na nagrody, Joe. Chcę zdobyć te błękitne wstęgi.

- Co najmniej od tygodnia harujesz ponad siły, Jillian. Dosłownie od świtu do nocy.

Należy ci się kilka dni wolnego.

- Właściciel rancza to ostatnia osoba, która może robić sobie wolne - powiedziała ze śmiechem.

Zadowolona, że jej krowy dołączyły do grupy wędrującej w stronę pastwiska, zawróciła Delilę. Nagle spostrzegła cielaka, który gnał na zachód, przerażony liczbą ludzi, koni i ciężarówek. Ruszyła za nim.

W pierwszej chwili była rozbawiona, że cielak ucieka, jakby kto go kijem pędził, ale kiedy zobaczyła, że kieruje się prosto na druciane ogrodzenie, ogarnął ją strach. Przeklinając pod nosem, zmusiła konia do galopu i sięgnęła po lasso. Wprawnym ruchem ręki i nadgarstka wywinęła sznurem nad głową, następnie zarzuciła pętlę na szyję uciekiniera. Zatrzymała cielaka niecały metr przed drutami. Maluch wrywał się i głośno ryczał, dopóki nie nadbiegła matka.

- Durne cielę - mruknęła Jillian. Zeskoczyła z konia, by uwolnić zwierzę. - Cały byś się poharatał, wiesz?

Spoglądając na ostre kolce, zsunęła cielakowi z szyi lasso. Matka łypała na nią gniewnie swoimi wielkimi ślepiami.

- Tak mi dziękujesz, że uratowałam ci dziecko?

Nagle zobaczyła zbliżającego się pieszo Gila.

- No i co? Wciąż myślisz, że w lipcu uzyskasz lepszy czas niż ja?

- Za mocno kręcisz - odparł.

Mówił normalnie, ale coś w jego spojrzeniu ją zaniepokoiło.

- Co się stało? - spytała.

- Muszę ci coś pokazać.

Wzięła do ręki wodze i prowadząc za sobą Delilę, ruszyła za Gilem. Nie było sensu go o nic pytać, więc szli w milczeniu. Cały czas świadoma była tego, co się wokół dzieje: porykiwania krów, pisków cieląt, szelestu traw, kroków ludzi i zwierząt.

- Tam. - Gil wskazał przed siebie.

Na widok zniszczonego ogrodzenia zakłęła siarczyście.

- Cholera jasna, przecież zaledwie tydzień temu sama tu wszystko sprawdzałam.

Zmarszczywszy czoło, patrzyła na pastwisko po drugiej stronie ogrodzenia i zastanawiała się, ile sztuk jej bydła przeszło na tereny należące do Murdocków. Nic dziwnego, że stado wydawało się przerzedzone.

- Trzeba zwołać ludzi i ruszyć na poszukiwanie zgub.

- Tak... - Schyliwszy się, Gil ujął w palce sterczący kawałek drutu. - Spójrz.

Myślni była gdzie indziej, ale posłusznie zerknęła w dół. I nagle wytrzeszczyła oczy.

Końcówka drutu była idealnie równa.

- Ktoś to przeciął nożycami - powiedziała cicho.

Podniosła głowę i popatrzyła na ziemię Murdocków. Sądziła, że będzie wściekła, toteż zdumiało ją, że czuje smutek i ból. Czy Aaron byłby zdolny do czegoś takiego? Na pewno nieraz łamał prawo, bywał okrutny i bezwzględny. Ale czy umyślnie zniszczyłby ogrodzenie?

Czy w ten sposób chciałby się na niej odegrać? Jakoś nie mogła w to uwierzyć.

- Poślij trzech ludzi, żeby sprawdzili, czy nasze krowy nie przeszły na drugą stronę -

oznajmiła cicho. - Sam osobiście załataj dziurę. I nikomu o tym ani słowa.

Przez chwilę milczał, po czym splunął na ziemię.

- Jak sobie życzysz. Jesteś szefem.

- Jeśli nie wrócę za godzinę lub dwie, to zaczynajcie beze mnie. Trzeba jak najprędzej oznakować cielaki.

- Szkoda, że nie zrobiliśmy tego kilka dni temu.

Jillian wsiadła na konia. Ostrożnie przejechała przez wyrwę w ogrodzeniu, po czym spięła Delilę. Wkrótce dojrzała dzipa oraz pierwszą grupkę poganiaczy. Podjechawszy od strony kierowcy, pochyliła się nad końskim łbem.

- Gdzie Murdock? Aaron Murdock? Kierowca uniósł rondo kapelusza. Nie zamierzał dyskutować z rozwścieczoną niewiastą.

- W północnym sektorze, proszę pani - odpowiedział szybko.. - Zagania cielaki.

- Mam przerwane ogrodzenie. Kilku moich ludzi przyjdzie tu sprawdzić, czy nasze krowy nie przeszły na waszą stronę. A wy sprawdźcie, czy wasze nie przeszły na teren Utopii.

- Dobrze, sprawdzimy - powiedział mężczyzna, odprowadzając Jillian wzrokiem.

Ludzie Murdocka pracowali w podobny sposób jak jej ludzie. Szli - lub jechali - szerokim półkolem, zaganiając przed sobą bydło.

Zobaczyła, jak Aaron na Samsonie usiłuje zagrozić drogę upartemu cielakowi. Nie zważając na zaciekawione spojrzenia kowbojów, ruszyła w jego kierunku. Słyszała śmiechy i krzyki; nic sobie z nich nie robiła.

Dojrzał ją, gdy dzieliło ich kilkanaście metrów. Rondo kapelusza osłaniało mu twarz przed promieniami słońca. Nie widziała jego oczu, lecz instynktownie wyczuwała, że się jej przygląda.

Wychwytyjąc zapach ogiera, Delila zastrzygła nerwowo uszami.

Aaron czekał w milczeniu. Po minie Jillian zorientował się, że stało się coś złego.

- Chcę z tobą porozmawiać, Murdock.

- W porządku.

Zamierzał odjechać metr, może półtora, by odciąć cielakowi drogę, ale Jillian zacisnęła rękę na jego łąku.

- Na osobności.

Oczy miał ukryte pod rondem kapelusza, więc wciąż ich nie widziała, ale jego twarz nie zdradzała

niepokoju czy zdenerwowania. Pokazawszy na migi jednemu ze swych ludzi, by zajął się cielakiem, Aaron zawrócił Samsona i ruszył na północ.

- Musisz się streszczać. Obawiam się, że na pogaduszki nie mam czasu.

- Nie przyjechałam tu z wizytą towarzyską - warknęła.

- Domyślam się. O co chodzi?

Kiedy była pewna, że nikt ich nie usłyszy, zatrzymała się.

- Ogrodzenie przy zachodniej granicy jest uszkodzone.

Popatrzył nad ramieniem Jillian na swoich pracowników.

- Chcesz, żeby któryś z nich je naprawił?

- Chcę wiedzieć, kto je przeciął.

Utkwił wzrok w jej oczach. W dalszym ciągu niczego nie mogła wyczytać z jego twarzy, ale Samson wyczuł jakąś zmianę, bo poruszył się nerwowo.

- Przeciął?

- Tak. - Z trudem panowała nad gniewem. - Gil znalazł to miejsce i mi je pokazał.

Powolnym ruchem zsunął z czoła kapelusz.

- O co mnie oskarżasz?

- Po prostu stwierdzam fakt. - Zmrużyła oczy przed porannym blaskiem słońca. -

Wnioski wyciągnij sam.

Pochylił się i zacisnął rękę na jej kurtce.

- Nie mam zwyczaju ciąć ogrodzeń.

Nie próbowała się uwolnić. I nie odrywała od niego spojrzenia. Podmuch wiatru poruszył ognistymi lokami, które wystawały jej spod kapelusza.

- Może ty nie, ale zatrudniasz wiele osób. Już wcześniej miałam wrażenie, że w stadzie brakuje mi krów. W tej chwili trzech moich ludzi szuka ich na twoim pastwisku.

- Powiem moim, żeby sprawdzili, czy w twoim stadzie nie zawieruszyły się nasze krowy.

- Sama to zasugerowałam jednemu z poganiaczy w dziupie.

Skinął głową, patrząc na nią z namysłem.

- Druty można przeciąć zarówno od jednej, jak i od drugiej strony - oświadczył

wreszcie.

Jillian osłupiała. Nie potrafiąc dłużej pohamować wściekłości, szarpnęła się, uwalniając kurtkę z uchwytu Murdocka.

- Nie bądź śmieszny - warknęła. - Gdybym to ja je przecięła, tobym ci o tym nie mówiła.

- Zatrudniasz wiele osób - powiedział z krzywym uśmiechem, cytując jej własne słowa.

Krew odpłynęła jej z twarzy. Jillian uświadomiła sobie, że złość i poczucie krzywdy zamuliły jej umysł, pozbawiając ją zdolności logicznego myślenia. Jednych swoich pracowników znała od lat i ufała im bezgranicznie; inni pojawiali się znikąd, pracowali miesiąc, dwa, a potem wędrowali dalej. Nie znała nawet ich nazwisk, tylko imiona i twarze. Ale... przecież to jej nie zgadza się stan liczebny bydła, a nie Murdockowi!

- Brakuje ci krów? - spytała ostro.

- Wkrótce dam ci znać.

- A ja sprawdzę, ile moich powinno było paść się w zachodnim sektorze. - Obróciwszy się, przez chwilę patrzyła w milczeniu na wschodzące słońce. Aaron ma rację: winowajcą równie dobrze może być któryś z jej pracowników. - Nie potrzebuję twojej wołowiny, Aaron

- oznajmiła cicho.

- Ani ja twojej.

- Takie rzeczy już się tu zdarzały. - Przeniosła spojrzenie na jego twarz. - Był czas, kiedy Murdockowie stale niszczyli Baronom ogrodzenie.

- Chcesz wracać do spraw sprzed osiemdziesięciu lat? - zapytał. - Nie możemy być obiektywni, Jillian. Każde z nas zna subiektywną wersję wydarzeń. Nie było nas wtedy na świecie.

- Tak, ale skoro tego typu incydenty miały miejsce dawniej, mogą i dziś. Wprawdzie Clay już nie żyje, ale twój ojciec nadal żywi do mnie niechęć.

Oczy Aarona ponownie rozblęły złością.

- Tak, na pewno! Dokuśtykał tu na swojej lasce, żeby poprzecinać druty i narobić ci kłopotów.

- Przestań. Nie jestem idiotką.

- Nie? - Obróciwszy konia, ustawił się na wprost Jillian. - W takim razie jesteś świetną aktorką. Sam

sprawdzą zachodnią granicę i skontaktują się z tobą.

Zanim zdołała dać ujście nagromadzonej wściekłości, Aaron odjechał galopem.

Zaciskając zęby, Jillian ruszyła na południe. Do Utopii.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy dotarła na miejsce, zwierzęta stały już w zagrodzie. Krowy z cielakami porykiwały żałośnie, niezadowolone, że ktoś usiłuje je rozdzielić. Jillian podniosła głowę.

Sądząc po wysokości słońca na niebie, było parę minut po ósmej. Przysłuchując się głosom ludzi i zwierząt, zeskoczyła na ziemię, po czym rozsiodła konia. Nie miała czasu rozmyślać o przeciętych drutach i dawnych waśniach.

Jedni kowboje pracowali na koniach, oddzielając ryczące matki od dzieci; inni, bez koni, usiłowali zapędzić cielaki na mniejszy ogrodzony wybieg. Co rusz ktoś puszczał wiązkę przekleństw, które nikogo nie raniły, natomiast świetnie rozładowywały atmosferę.

Zaganianie cielaków odbywało się głównie za pomocą krzyków, pisków, gwizdów, wymachiwania rękami. Dorośli mężczyźni wydzielali się i kolejne cielaki trafiały na wybieg.

Uśmiechając się pod nosem, Jillian poprawiła kapelusz, by jej nie spadł podczas pracy, i z lassem w ręku dołączyła do ekipy.

Cielaki próbowały przedostać się przez szpaler ludzi i odnaleźć swoje mamy, krowy też z uporem zawracały, nie chcąc się rozstać z dziećmi. Mężczyźni - głosem, siłą mięśni, z pomocą sznurów i lin - zapędzali zwierzęta z powrotem na miejsce. W powietrze wzbijały się tumany kurzu. Zwierząt było więcej, ale ludzie górowali nad nimi rozumem i pomysłowością.

Znalazłszy sprytnego cielaka, który ukrył się wśród krów, Gil zarzucił mu lasso na szyję i przywlókł na wybieg dla maluchów.

- Ogrodzenie naprawione? - spytała Jillian, wymachując lassem. Po chwili złapała następnego małego uciekiniera.

- Tak.

- Dobrze. Muszę z tobą później pogadać.

Gil zdjął kapelusz, zakurzonym rękawem koszuli otarł pot z czoła, po czym nasadził z powrotem kapelusz.

- Jasne. Kiedy zechcesz. - Rozejrzał się wkoło. - No, chyba je rozdzieliliśmy, Zaczynamy znakowanie.

Na mniejszym wybiegu cielaki stały zbite w gromadkę i głośnym krzykiem wzywały matki.

- Biedne wystraszone maluchy - szepnęła Jillian. - Postaramy się szybko uwinąć.

Nie cierpiała tego zajęcia, ale to była jej tajemnica; nigdy nikomu o tym nie mówiła.

Nóż, igła, żelazo - narzędzia pracy; używano ich szybko, precyzyjnie, rytmicznie. Cielaki kolejno przechodziły przez wąskie przejście; marzyły o ucieczce, a trafiały na specjalny stół.

W powietrzu unosił się zapach potu, krwi, przypalanej skóry, lekarstw. Pracujący mężczyźni snuli wspomnienia i opowiadali jakieś niesłychane historie, w które nikt nie wierzył. Porykiwania zwierząt mieszały się z wybuchami śmiechu.

Mimo smrodu, mimo potu i krwi, mimo niechęci do zadawania bólu, Jillian wolała żyć na ranchu w Montanie niż w domu przy szerokiej, ruchliwej ulicy w Chicago. Wolała, bo praca na ranchu była ciężka, ale uczciwa. Bo zwierzęta, którym wypalano piętno, były jej własnością. Bo ziemia należała do niej. Rozmyślając o tym, zastąpiła kowboja przy stole i zaczęła robić cielakom zastrzyki.

Zanim uporali się z całym stadem, słońce świeciło już wysoko na niebie. Mężczyźni byli głodni i zmęczeni, cielaki - nie mniej umęczone - piszczały żałośnie, wzywając matki.

Jillian przysiadła na skrzyni z narzędziami. Pot spływał jej po twarzy, koszula lepiała się do pleców. To dopiero pierwsza setka, pomyślała, rozciągając obolałe mięśnie.

Znakowanie wiosennych cielaków potrwa do końca tygodnia, jeśli nie dłużej. Kiedy większość mężczyzn ruszyła do kuchni polowej, skinęła na Gila Haleya.

- Dzięki - powiedziała, biorąc jedną z dwóch butelek piwa, które po drodze wyjął z chłodziarki. Zerwała kapsel i pociągnęła łyk zimnego płynu.

- Murdock obiecał, że sam sprawdzi resztę ogrodzenia w zachodnim sektorze. Jak myślisz...

- przytknęła chłodną butelkę do rozgrzanego czoła - czy można mu ufać? Czy ktoś taki jak on mógłby poprzecinać druty?

- A ty jak myślisz?

Jak ja myślę? - spytała sama siebie. Pokręciła głową. Nie potrafiła myśleć obiektywnie; uczucia przysłaniały jej rozum. Uczucia, których nie rozumiała, bo nie miała odwagi się nad nimi zastanowić.

- Pytam ciebie.

- Młody Murdock to facet z klasą, ale stary...

- Mrużąc oczy, Gil popatrzył w niebo i uśmiechnął się. - Przed laty stary Murdock mógłby o coś takiego się pokusić. Dla draki, żeby zaleźć za skórę twojemu dziadkowi.

Natomiast tego typu zabawy jakoś mi nie pasują do młodego Murdocka. - Wypluł na ziemię przeżuty tytoń. - Policzyłem dziś rano stado. Oczywiście zachodnie pastwisko jest ogromne, zwierzęta były



rozproszone, mogą się mylić o dziesięć czy piętnaście...

- No i...?

- No i mam wrażenie, że brakuje nam ze stu sztuk.

- Stu? - powtórzyła zaskoczona. - Żeby tyle, z własnej woli, przelazło przez ogrodzenie? Nie wydaje mi się to możliwe.

- Chłopaki, których wysłałem na teren Murdocków, wrócili dwie godziny temu.

Znaleźli dziesięć naszych krów.

- Rozumiem. - Wzięła głęboki oddech. - Czyli nie wygląda na to, by ktoś przeciął druty dla draki.

- Nie.

- Mam prośbę, Gil. Jutro rano jeszcze raz przelicz bydło. Na wszystkich pastwiskach.

Zacznij od zachodniego. - Popatrzyła na swoje brudne ręce. Umiała nie tylko ciężko pracować, ale również walczyć o swą własność. - Podejrzewam, że któryś z pracowników Murdocka nas okrada. Może robi to na polecenie swoich chlebodawców, ale bardziej prawdopodobne, że dla osobistego zysku.

Gil Haley podrapał się po uchu.

- Może - przyznał.

- Niewykluczone też, że kradzieży dokonuje ktoś od nas.

Spokojnie napotkał jej wzrok. Zastanawiał się, czy Jillian wpadnie na ten pomysł.

- Całkiem możliwe - przyznał. - Być może Murdock również doliczy się strat.

- Jutro do zachodu słońca chcę otrzymać szczegółowe sprawozdanie. - Podniosła się ze skrzyni. - Wybierz do pomocy ludzi, których jesteś pewien. Takich, którzy pracują tu co najmniej jeden sezon i którzy potrafią trzymać język za zębami.

Skinął głową; rozumiał potrzebę dyskrecji. Wprawdzie kradzież bydła była dziś mniej rozpowszechniona niż sto lat temu, ale dzisiejsi złodzieje nie mieli skrupułów, gdy zachodziła konieczność pozbycia się niewygodnych świadków.

- Sama chcesz się tym zająć, czy wspólnie z Murdockiem?

- Jeszcze nie wiem.

Przypomniała sobie wściekłość malującą się na twarzy Aarona; domyśliła się, że poczuł się urażony jej podejrzeniami. No tak, sama zareagowałaby podobnie. Westchnęła ciężko.

- Zjedz coś - zwróciła się do Gila.

- A ty?

- Później.

Wróciła do Delili i zaczęła ją na nowo siodłać. Zwierzęta w zagrodzie powoli się uspokajały.

Pięć minut później, kiedy skończyła zaciągać popręg, Gil trącił ją lekko w ramię.

Kiedy obejrzała się, wyciągnął w jej stronę wielką bułkę wypełnioną mięsem.

- Trzymaj - burknął. - Jak nie będziesz jadła, to byle podmuch zrzuci cię z konia.

Wzruszona, wzięła bułkę i wbiła w nią zęby.

- Och, ty łobuzie! Co ja bym bez ciebie zrobiła? - wymamrotała z pełnymi ustami.

Ponieważ nikogo nie było w pobliżu i nikt się nie mógł z Gila potem wyśmiewać, wspięła się na palce i cmoknęła go w oba policzki. Chociaż sprawiła mu tym przyjemność, nie zamierzała okazywać radości. Odsunął się, przeklinając pod nosem. Jillian roześmiała się, ubawiona jego reakcją, po czym wsiadła na konia i pognęła przed siebie. Marzyła o samotności.

Najpierw ruszyła na zachodnie pastwisko. Tam, zwolniwszy, obejrzała naprawione ogrodzenie, następnie zaczęła liczyć pasące się bydło. Wkrótce przekonała się, że Gil trafnie ocenił wielkość stada. Brakowało mniej więcej stu sztuk. Usiłując się skupić i na spokojnie wszystko przemyśleć, na moment zamknęła oczy.

Zimą padło dwadzieścia krów; z takimi stratami mógł się liczyć każdy hodowca.

Teraz jednak winna była nie przyroda, lecz ludzka chciwość. Jillian wiedziała, że musi jak najszybciej dociec prawdy, zanim złodziej dopuści się kolejnych kradzieży. Sto sztuk...

Odbije się to na jej finansach. Nie, nie puści tego płazem.

Z zaciętą miną spięła Delilę do galopu. Musi działać w sposób świadomy i rozsądny, nie ulegać panice. Czyli najpierw powinna dokładnie obliczyć swoje straty, a dopiero później zawiadomić policję. Na razie jednak była brudna, zmęczona, pozbawiona energii.

Postanowiła zmyć z siebie kurz, trochę ochłonać.

Minął zaledwie tydzień od jej ostatniej wizyty nad stawem, ale w tym czasie drzewa jeszcze bardziej się zazieleniły. Zobaczyła wyrastające z ziemi byliny i dzikie róże, tak miłe dla oka, tak destruktywne dla pastwisk. Zerknęła na niebo; sądząc po pozycji słońca, zbliżała się druga po południu. Dobrze,

pomyślała. Godzina odpoczynku. Na tyle może sobie pozwolić, potem wróci do domu i postara się sprawdzić w księgach liczbę krów i ich lokalizację.

Zeskoczywszy na ziemię, przywiązała konia do gałęzi - niech sobie skubie trawę - sama zaś usiadła na głazie, położyła obok kapelusz i zaczęła się rozbierać.

Woda była rozkosznie chłodna. Wsluchując się w śpiew ptaków, Jillian powoli się w niej zanurzyła. Natychmiast poczuła się lepiej; zapomniała o obolałych mięśniach, o ponurych myślach, które nękały ją od rana. Sprawą kradzieży byłaby na pewno się zajmie, ale później.

Chciała na chwilę wyłączyć się ze wszystkiego. Słońce przygrzewało, wiał lekki, ciepły wietrzyk, w powietrzu unosił się słodki zapach dzikiej róży.

Aaron przeczuwał, że zastanie ją nad stawem, i nie mógł się powstrzymać, by tu nie przyjechać. Tkwił nieruchomo na koniu, przyglądając się dziewczynie. Unosiła się leniwie na wodzie, która zmywała z niej zmęczenie. Po raz pierwszy widział ją całkowicie odprężoną, pozbawioną napięcia, lęku, wahań. Odpoczywała, nabierała sił, a on - choć miał świadomość, że zakłóca jej intymność - nie mógł oderwać od niej oczu. Mleczna cera, szczupłe ramiona i talia, zaokrąglone biodra. Włosy płonące ogniście w blasku słońca.

Ciekaw był, czy Jillian zdaje sobie sprawę, jakie emocje wzbudza w mężczyznach.

Czy wie, jakie ma cudowne ciało, jak wspaniałe włosy, jak piękną twarz, wyrażającą jednocześnie delikatność i siłę, łagodność i odwagę. Nie, pomyślał, pewnie nie wie; pewnie jest nieświadoma własnej urody i zmysłowości. Może czas najwyższy, aby ktoś uzmysłowił

jej tę prawdę. Zsiadłszy z Samsona, przywiązał go do drzewa.

Jillian wynurzyła się z wody i ujrzała stojącego na brzegu Aarona. Po chwili zaskoczenie ustąpiło miejsca irytacji, a irytacja wściekłości. Jest przecież naga! Aaron uśmiechnął się pod nosem.

- Co tu robisz? - zawołała gniewnie. Mogłaby kucnąć, starać się ukryć swą nagość, ale nie zrobiła tego. Po co? I tak jest za późno. Uniosła dumnie głowę, patrząc na Aarona z wyzwaniem w oczach.

- Jak woda? - spytał, jakby nigdy nic. Przemknęło mu przez myśl, że inna kobieta zanurzyłaby się z powrotem albo zaczęłaby się nerwowo zasłaniać rękami. Ale nie Jillian.

- Normalna. Zimna. A teraz może byś wrócił tam, skąd przyszedłeś, i zostawił mnie w spokoju, żebym mogła sobie popływać?

- Mam za sobą długi, pracowity ranek...

- Przysiadł na głazie, na skraju stawu, i uśmiechnął się przyjaźnie.

Podobnie jak ona, ubranie miał brudne i lepkie od potu. Ciało też. Całkiem mu z tym do twarzy, pomyślała.

Zsunął z czoła kapelusz.

- Kusi mnie, żeby się ochłodzić.
- Byłam tu pierwsza - wysyczała przez zęby.
- Gdybyś miał krztynę przyzwoitości, poszedłbyś w cholerę!
- Wiem. - Schyliwszy się, zaczął ściągać buty.
- Na miłość boską, co robisz? - spytała, patrząc, jak buty jeden po drugim lądują w trawie.
- Pomyślałem sobie, że się zanurzę.
- Wykluczone. Nie zgadzam się. Podniósłszy się, zdjął kapelusz i przystąpił do rozpinania koszuli.
- Jestem na swoim terenie - oznajmił.

Zrzucił na ziemię koszulę. Oczom Jillian ukazał się wspaniały widok: śniady umięśniony tors, ciemne włosy porastające klatkę piersiową, płaski brzuch.

- Niech cię szlag trafi, Murdock! - mruknęła, usiłując ocenić odległość dzielącą ją od jej ubrania. Nie, leży za daleko.
- Nie denerwuj się - powiedział, wyraźnie ubawiony całą sytuacją. - Możemy udawać, że przez środek stawu biegnie ogrodzenie.

Rozpiął pasek u spodni. Nie spuszczał oczu z twarzy dziewczyny. W pierwszym odruchu zamierzała odwrócić spojrzenie, ale rozmyśliła się i w milczeniu obserwowała, jak Aaron się rozbiera. Sytuacja zaczęła ją bawić. Przełknęła ślinę. Psiakość, czy on musi być tak doskonale zbudowany? Gdy wszedł do wody, rozchodzące się drobne fale połaskotały ją w piersi. Zadrżała i zanurzyła się nieco głębiej. Każde z nich trzymało się swojej strony niewidzialnego ogrodzenia.

- Podoba ci się, prawda? - zapytała Jillian. Westchnął przeciągle, czując, jak woda zmywa z niego kurz i chłodzi rozgrzane ciało.

- Bardzo - przyznał. - Niby widok stąd mam mniej więcej taki sam jak z brzegu, ale...

Zresztą już wcześniej próbowałem sobie wyobrazić ciebie bez ubrania. Większość rudowłosych ma mnóstwo piegów...

- Mnie ich natura poskąpiła. - Uśmiechnęła się. Przynajmniej teraz są na równych prawach.

- Z kolei ty nie różnisz się budową od większości kowbojów: długie nogi, wąskie biodra. - Leniwie odgarniała ramionami wodę. - Spodziewałam się, że będziesz lepiej umięśniony - skłamała. Miała ochotę się z nim podrażnić.

Odrzuciwszy w tył głowę, wystawiła z wody piętę. Gdyby wysunął rękę, mógłby chwycić ją za stopę i przyciągnąć do siebie. Potarł dłoń o udo, próbując nie ulec pokusie.

- Często kąpiesz się na golasa?

- Nikt tu nigdy nie przychodzi - odparła, unosząc głowę. - A przynajmniej nie przychodził. Jeżeli też będziesz chciał korzystać ze stawu, musimy ustalić jakiś harmonogram.

- Mnie nie przeszkadza towarzystwo. - Podpłynął bliżej niewidocznej granicy.

- Trzymaj się swojej połowy, Murdock - ostrzegła go z uśmiechem. - Do obcych się strzela. - Chcąc udowodnić, że nic sobie nie robi z jego obecności, zamknęła oczy i wystawiła twarz do słońca. - Najchętniej przychodzę tu w niedzielne popołudnia, kiedy moi pracownicy siedzą przed swoim barakiem, rzucając podkowami do celu i opowiadając sobie niestworzone historie.

Po raz pierwszy widział ją tak zrelaksowaną. Ciekaw był, ile jeszcze tajemnic Jillian w sobie kryje.

- A ty nie lubisz słuchać niestworzonych historii?

- Bo ja wiem? Raczej nie lubię im przeszkadzać. W ciągu tygodnia traktują mnie jak faceta, bluzgają, nie przejmując się moją obecnością, a w niedzielę nagle dostrzegają we mnie kobietę i to ich zaczyna krępować...

- Tylko w niedzielę widzą w tobie kobietę?

- Pracując na polu albo czyszcząc boksy w stajni, nie zwraca się uwagi na czyjąś płęć.

Powiódł wzrokiem po jej unoszącym się na wodzie ciele, okrytym zaledwie parocentymetrową warstwą wody.

- Skoro tak twierdzisz...

- Zresztą potrzebują побыć sami, żeby sobie ponarzekać. - Opuściła nogi. - Na żarcie, na kiepskie wynagrodzenie, na ciężką pracę. A trudno narzekać, kiedy w pobliżu kręci się szefowa. - Rozgarniała rękami wodę, powodując lekkie fale. - A jak twoi pracownicy, Murdock? Też narzekają?

- Szkoda, że ich nie słyszałaś sześć czy siedem lat temu, kiedy moja siostra postanowiła odnowić ich barak. - Na samo wspomnienie zrobiło mu się wesoło. - Doszła do wniosku, że ściany trzeba pomalować na niebiesko, a w oknach zawiesić żółte koronkowe firaneczki.

- O mój Boże. - Jillian usiłowała sobie wyobrazić reakcję swoich pracowników, gdyby powiesiła im koronkowe firanki, i zaniosała się śmiechem. - Co oni na to?

- Nic. Po prostu nie zmywali, nie zamiatali, niczego nie wyrzucali. Po dwóch tygodniach barak zaczął przypominać miejskie wysypisko. I tak też cuchnąć.

- Dlaczego twój ojciec się nie sprzeciwił? To znaczy, genialnemu pomysłowi swojej córki?

- Jillian otarła łzy z twarzy.

- Bo ona przypomina z wyglądu Karen - odparł Aaron.

- Rozumiem. - Brzuch ją bolał od śmiechu.

- A oni co, pozbyli się firanek?

- Oni nie, za to ja... - Urwał. - Po prostu któregoś dnia firanki znikły.

Skinęła głową z aprobatą.

- Inny słowy, zdjęłeś je i spaliłeś?

- Skoro przez siedem lat trzymałem język za zębami, to nie zamierzam teraz puścić farby. W każdym razie panował tam taki bajzel, że uprzątnięcie wszystkiego zajęło tydzień. -

Uśmiechała się tak wdzięcznie i beztrosko, że ledwo się powstrzymał, aby nie przyciągnąć jej za nogę do siebie. - Oznakowałaś dziś sierotę?

- Tak. Mały został oznakowany, okolczykowany i zaszczepiony.

- Tylko?

Wyszczrzyła zęby, domyślając się, o co Aaron pyta.

- Przelecą dwa lata i zaczną wyręczać swojego ojca.

Wzruszyła ramionami. Im mniejszą zwracała uwagę na swoje ciało, tym bardziej fascynowało ono Aarona.

- Mam co do niego przeczucie - ciągnęła.

- Z cielaka, który może wyrosnąć na świetnego buhaja, szkoda byłoby zrobić wołka. -

Nagle oczy się jej zachmurzyły. - Przejechałam dziś wzdłuż zachodniej granicy, sprawdzając ogrodzenie. Nie zauważyłam więcej zniszczeń.

- Było tylko w jednym miejscu. - Wiedział, że czeka ich rozmowa na ten temat, ale był niepokieszony, że wybrała właśnie tę chwilę.

- Sześć naszych krów przeszło na twoją stronę. Słyszałem, że dwa razy więcej twoich przeszło na moją?

Przygryzła dolną wargę.

- Czyli pogłowie ci się zgadza?

Słyszając napięcie w głosie Jillian, przyjrzał się jej uważnie.

- Chyba tak. Dlaczego pytasz?

- Bo mnie brakuje około stu sztuk - oznajmiła cicho.

- Stu...? - Nieświadom tego, co czyni, chwycił ją za rękę. - Jesteś pewna?

- Że brakuje, to jestem pewna. A ile dokładnie, będę wiedziała jutro. Prosiłam Gila, żeby przeliczył zwierzęta, a ja przejrzę księgi.

Ich myśli biegły tym samym torem: że tyle krów nie może samodzielnie, bez czyjejś pomocy, zabłądzić czy się zawieruszyć.

- Ja też zarządzę jutro liczenie. Ale zauważyłbym, gdyby moje stado powiększyło się o sto sztuk.

- Wiem. Nie sędzę, by tam były moje krowy. Poglądził ją po policzku.

- Chciałbym ci pomóc. Służę ludźmi. I samolotem. Moglibyśmy obejrzeć teren z góry.

Może powędrowały w przeciwnym kierunku?

Poczuła, jak mięknie. Wzruszył ją delikatny dotyk dłoni na policzku i oferta pomocy.

- Dziękuję - powiedziała lekko drżącym głosem. - Ale nie wierzę, że to coś da.

- Chyba masz rację. - Odgarnął jej z twarzy mokre kosmyki. - Pójdziemy razem do szeryfa.

Przez chwilę milczała. Żadne z nich nie zdawało sobie sprawy, że centymetr po centymetrze przysuwają się do niewidzialnej granicy.

- Nie chciałabym cię fatygować. Poradzę sobie sama.

- Ale ja naprawdę chętnie ci pomogę... - Ależ ona jest krucha i delikatna, przemknęło mu przez myśl. Dlaczego wcześniej tego nie zauważył? Potarł kciukiem jej wargę. Zadrżała. -

Jillian...

Przywarł ustami do jej ust. Nie sprzeciwiła się.. Rozchyliła wargi i zaczęła leniwie odwzajemniać pocałunek. Nagle poczuła, że dzieje się z nią coś dziwnego: ból w trzewiach, rozprzestrzeniający się żar. Pragnęła być kochana. Tego domagało się jej ciało i serce. Serce, które waliło młotem, jakby chciało powiedzieć: oto mężczyzna, z którym warto spróbować.

Bała się zbliżyć do drugiego człowieka, wiedziała, że to może być ryzykowne i bolesne, ale przepełniała ją nadzieja.

Raptem otrząsnęła się. Czy rzeczywiście warto próbować? Ma zbyt wiele do stracenia.

Musiałyby być idiotką, żeby zapomnieć o tym, co ich dzieli - o latach kłótni i wrogości.

Oswobodziła się z ramion Aarona. Chyba oszalała! Jak może myśleć o kochaniu się, kiedy ktoś ją okrada? Czy naprawdę pod wpływem dotyku i czułego pocałunku gotowa byłaby machnąć ręką na swoje obowiązki i powinności?

- Psiakrew, Murdock, trzymaj się swojej połowy stawu! Nie żartuję. - Odwróciwszy się, wyszła z wody i wdrapała się na brzeg.

Obserwował ją, oddychając szybko. Jeszcze żadnej kobiety tak bardzo nie pragnął. Do żadnej nie czuł tego co do Jillian. Na żadnej tak bardzo mu nie zależało. A ona... po prostu go odepchnęła. Z ciężkim sercem podpłynął do brzegu.

- Twarda z ciebie sztuka, wiesz?

Usłyszała, jak Aaron wychodzi z wody. Pośpiesznie włożyła koszulę, nie otrzepując jej z kurzu.

- Owszem, twarda. Byłam głupia, myśląc, że mogę ci zaufać. - Zapinając guziki, zastanawiała się, dlaczego jej, która nigdy nie płacze, tak bardzo chce się płakać. - Piękną strzeliłeś gadkę o pomaganiu! Wszystko po to, żebyś mógł się do mnie dobrać, tak? - Stojąc do niego tyłem, wciągnęła majtki.

Zastygł z rękami na pasku od spodni. Ogarnęła go taka wściekłość, że z trudem nad nią panował.

- Uważaj, co mówisz, Jillian. Obróciła się; oczy płonęły jej gniewem.

- Nie mów mi, co mam robić. Od początku nie ukrywasz, do czego zmierzasz.

Poszedł do Samsona i poklepał go po szyi.

- Nie, nie ukrywam.

Jego spokojny głos jeszcze mocniej ją zirytował.

- Może umiałabym docenić twoją szczerłość, gdyby nie przecięte druty i brak stu sztuk bydła. Takie rzeczy się nie zdarzały, kiedy mieszkałeś w Billings i tam czekałeś, aż twój ojciec... - Urwała przerażona tym, co zamierzała powiedzieć.

Posiał jej mordercze spojrzenie.

- Aż mój ojciec...? - spytał niemal szeptem.

- Sam sobie na to odpowiedz.

Nie wykonał kroku w jej stronę. Bał się, że niechcący może wyrządzić Jillian krzywdę. Zacisnął dłonie na siodle.



- Nie mieszaj do rozmowy mojego ojca.

Wiele by dała, by cofnąć swą wypowiedź, tak przykrą i niepotrzebną. Ale było za późno.

- A ty trzymaj łapy przy sobie. Nie dotykaj mnie, najlepiej w ogóle się do mnie nie zbliżaj. Nie chcę twoich wyrazów współczucia ani sympatii. Nie udawaj mojego przyjaciela. -

Chwyciła z ziemi dzinsy.

Zadziałał instynktownie. Nie myślał o tym, co robi. Jej słowa dotknęły go do żywego, może dlatego, że była pierwszą kobietą, która wzbudziła w nim tak silne emocje. Jillian krzyknęła zaskoczona, kiedy spadła na nią lina i zacisnęła się mocno wokół jej talii.

Odwróciła się, próbując uwolnić uwięzione ręce.

- Co robisz, do diabła?

Pociągnął za sznur, przyciągając ją do siebie.

- To, co powinienem był zrobić już tydzień temu!

Skrepowana szamotała się bezradnie, ciskając oczami gromy.

- Zemszczę się, Murdock!

Nie wątpił w to, ale zupełnie się tym nie przejmował.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa, Jillian - szepnął, przytrzymując ją za mokrą głowę.

- Przez ciebie spędzam bezsenne noce. A dziś... najpierw jesteś słodka, miła, a zaraz potem warczysz. Skoro nie możesz podjąć decyzji, ja ją podejmę za ciebie.

Przytknął usta do jej warg, po czym podciął jej nogi. Po chwili leżała pod nim, na rozgrzanej słońcem trawie. Wierciła się, kopała, wrywała - wszystko nadaremnie. Ale potem zaczęła cicho jęczeć, odwzajemniać pocałunki, a ruchami bioder już nie próbowała zrzucić z siebie Aarona, lecz dopasować się do jego rytmu. Nie rozmawiali. Oddali się we władanie zmysłów.

Jego włosy pachniały wodą ze stawu, szyja miała słony smak potu. Palce rozpinały guziki, gładziły brzuch i piersi. Nagle ciałem Jillian wstrząsnął dreszcz. Oszołomiona, przez chwilę próbowała złapać oddech. Aaron uniósł się, usiłując zdjąć z niej koszulę. I wtedy zobaczył linę wrzynającą się w jej talię. Na miłość boską, opamiętaj się, stary! Przymknąwszy powieki, pokręcił głową. Boże! Ona - drobna, słaba, w dodatku związana, a on... Nie, jakim prawem się jej narzuca i zmusza ją do uległości? Przeklinając w duchu, uwolnił Jillian z uwięzi. Cisnął sznur na bok i popatrzył na nią.

Usta miała nabrzmiące od pocałunków, oczy zamknięte. Tak bardzo jej pragnął...

- Możesz się zemścić - szepnął, przewracając się na wznak.

Otworzyła oczy. Podczas gdy ją samą trawiło pożądanie, dookoła panował idealny spokój. W górze rozpościerał się błękit nieba, ptaki śpiewały, róże kwitły.

Tak, mogłaby się zemścić. Wystarczyłoby wstać i odejść. Tymczasem obróciła się na bok i przyłgnęła do Aarona.

- Zemszczę się... jeżeli nie dokończysz...

Tak cudownego szantażu nigdy dotąd nie usłyszał. Ubrania fruwały w powietrzu, ciało ocierało się o ciało, dłonie pieściły skórę, usta wpijały się w szyję, w ramiona.

Przyspieszonym oddechem wtórowały coraz głośniejsze jęki. Jillian miała wrażenie, że wszystko w niej wibruje. Przenieśli się w inną rzeczywistość, w inny świat.

Potem długo leżała bez ruchu, obejmując Aarona za szyję. Była szczęśliwa, spełniona, a zarazem czuła niedosyt. Nadal go pragnęła. Czy to tak powinno być? Nigdy dotąd z czymś podobnym nie miała do czynienia.

Tyle lat świadomie unikała jakiegokolwiek zaangażowania, a teraz... teraz pożąda mężczyzny, którego prawie nie zna. Któremu nie powinna ufać. A jednak mu ufała, i to ją najbardziej przerażało. Aaron Murdock sprawił, że zapomniała o pracy, o obowiązkach, o swojej dumie i po prostu stała się kobietą.

Uniósł głowę; po raz pierwszy w życiu czuł się niepewnie. Jillian Baron w jakiś cudowny sposób dotarła do miejsca, do którego nie trafiła żadna inna kobieta. Wypełniła bolesną pustkę. Uświadomił sobie, że nie chce jej puścić, nie chce, by wstała, odeszła, zostawiła go.

- Jillian... - Odgarnął z twarzy jej wilgotne włosy. - Dlaczego to wszystko jest takie skomplikowane?

- Nie wiem. - Przytuliła policzek do jego policzka. Chciała zapamiętać jego dotyk i zapach. - Muszę się skupić, pomyśleć...

- O czym?

Zamknawszy oczy, potrząsnęła głową.

- Nie wiem, o wszystkim. Puść mnie.

- Na jak długo? - Zacisnął palce na jej włosach.

Tak łatwo byłoby ją przytrzymać, pomyślał. Wystarczyłoby znów zbliżyć usta do jej ust. Przypomniawszy sobie mustanga: ile wysiłku kosztowało go schwytanie żyjącego na wolności konia i ile ponowne wypuszczenie na wolność. Bez słowa podniósł się z ziemi.

Ubierali się w milczeniu; nie potrafili zrozumieć, a tym bardziej ująć w słowa swoich uczuć.

Aaron pierwszy przerwał ciszę.

- Jeśli ci powiem, że to, co przeżyliśmy, wiele dla mnie znaczy i że nie spodziewałem się aż takich przeżyć... to uwierzysz mi?

Zwilżyła wargi.

- Dziś ci wierzę. Muszę się przekonać, czy jutro nadal będę ci wierzyła.

Podniósł z ziemi kapelusz.

- Następny krok należy do ciebie, Jillian.

Będzie czekał... ale niezbyt długo. - Popatrzył jej głęboko w oczy. - Jeśli ty do mnie nie przyjdiesz, ja przyjadę do ciebie. Przebiegł ją dreszcz.

- Jeśli nie przyjdę, to znaczy, że nie masz po co się fatygować.

Odwróciwszy się na pięcie, odwiązała klacz i zgrabnym ruchem przerzuciła nogę nad siodłem.

- Mylisz się - odparł i przyłożywszy palec do ronda kapelusza, przekroczył

niewidzialną granicę, za którą zostawił Samsona.

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

„Jeśli nie przyjdiesz, ja przyjadę do ciebie”. Słowa te dźwięczały jej w uszach. Nie była pewna, jak się do nich ustosunkować ani co sądzić o tym, co wydarzyło się pomiędzy nią a Aaronem nad stawem. To było coś więcej niż zabawa czy pożądanie. Ze zwykłym pożądaniem by sobie poradziła; może chwilę powierciłaby się niespokojnie w łóżku, ale w końcu by zasnęła. Ona zaś spędzała bezsenne noce, a rano wstawała nieprzytomna.

Jeśli nie przyjdiesz... Do kogo miałyby pójść? Do mężczyzny, o którym prawie nic nie wie. W jakim celu? Żeby przeżyć burzliwy romans, wejść w świat emocji, z którymi nie umie sobie poradzić. Czy istnieje ryzyko? Tak, olbrzymie. Chwila nieuwagi może sprawić, że zakocha się w Aaronie. Nie rozumiała tego. Po prostu to wszystko nie mieściło się jej w głowie.

Zawsze sądziła, że człowiek zakochuje się, bo marzy o miłości, bo czeka na nią z utęsknieniem. Ona kiedyś rzeczywiście marzyła, była gotowa na romantyczne uniesienia. Ale teraz... teraz, gdy serce znów jej waliło młotem... teraz się bała.

Gdyby poszła do Aarona... czy umiałaby zachować równowagę pomiędzy pracą, obowiązkami i uczuciem? Kiedy ją całował, zapominała o bożym świecie, o swoim ranczu, o kłopotach, z którymi ciągle musi się borykać.

Gdyby się w nim zakochała... czy potrafiłaby zaakceptować to, że on jej nie kocha, a jedynie pragnie? Czy za bardzo by nie cierpiała, kiedy uznałby, że czas się rozstać? Bo taki czas na pewno by nadszedł, nie miała wątpliwości. Tylko jeden mężczyzna, Clay Baron, był

jej wierny do samego końca.

Żyła w zawieszaniu; niemożność podjęcia decyzji nie pozwalała jej się dobrze wyspać.

Sprawy zawodowe nie wpływały na poprawę jej samopoczucia, okazało się bowiem, że stado zostało uszczuplone o pięćset sztuk. Liczby mówiły same za siebie: po prostu ktoś systematycznie ją okradał.

Odłożyła słuchawkę i potarła skronie; dokuczał jej potworny ból głowy.

- I co? - spytał siedzący po drugiej stronie biurka Joe Carlson.

- Samolot mogą dostarczyć najwcześniej pod koniec tygodnia - oznajmiła ponuro. -

Teraz to już nie ma większego znaczenia. Złodzieje nie są tacy głupi, żeby trzymać kradzione bydło gdzieś w pobliżu. Na pewno przetrzucili je z Montany do Wyoming.

- Niekoniecznie - mruknął Joe, wpatrując się w swój kapelusz. - To by było przestępstwo federalne.

- Ja bym tak zrobiła. Trudno ukryć stado liczące pięćset sztuk. - Wstała zza biurka i przeczesła ręką włosy. Pięćset sztuk! Psiakrew! Nie mogła się z tym pogodzić. Czuła się tak, jakby ktoś ją zdeptał, znieważył, chciał doprowadzić do ruiny. - Na razie sprawą zajmują się ludzie szeryfa, a ja... - Zacisnęła pięści. - Nienawidzę być taka bezradna i bezsilna!

- Jillian... - zaczął Joe i urwał. Ciszę przerywało tykanie zegara. - Czułbym się nie w porządku, gdybym o tym nie wspomniał - dodał po chwili. - Pięćset krów nietrudno byłoby ukryć w stadzie liczącym kilka tysięcy.

- Możesz wyrażać się jaśniej, Joe?

- Nie powinnaś zapominać, że został zniszczony fragment ogrodzenia wzdłuż zachodniej granicy. I że po drugiej stronie tej granicy leżą tereny należące do Murdocków.

- Wiem, do kogo należą - rzekła chłodno Jillian. - Ale wiem również, że potrzeba dowodów, aby oskarżyć kogokolwiek, a zwłaszcza Murdocków, o kradzież.

Joe wstał z krzesła. Otworzył usta, ale widząc nieprzejednany wyraz twarzy swej rozmówczyni, zamknął je z powrotem.

- Jasne - burknął. Rozzłościła ją jego reakcja.

- Aaron obiecał dokładnie przeliczyć swoje stado. Wiedziałyby, gdyby powiększyło się o pięćdziesiąt sztuk, a co dopiero o pięćset.

- Oczywiście. - Nie zamierzał się z nią kłócić.

- Do cholery, Joe, Aaron jest bogaty. Naprawdę nie musi mnie okradać.

- Posłuchaj, Jillian, tracisz pięćset sztuk i twój zysk spada niemal do zera. Jeśli stracisz drugie tyle, będziesz musiała sprzedać kawałek ziemi, żeby nie pójść z torbami. Ludźmi kierują różne powody, nie tylko chęć pomnożenia zysków.

Zacisnęła powieki i odwróciła się gwałtownie. Na taki pomysł sama również wpadła -  
i bardzo źle się z tym czuła.

- Gdyby chciał kupić moją ziemię, na pewno spytałby, czy nie jestem zainteresowana sprzedażą.

- Może by spytał, ale odpowiedziałabyś, że nie. Podobno kilka lat temu marzył o własnym ranczu. Potem zmienił plany, ale to nie znaczy, że jest zadowolony z wielkości rancza, jakie posiada jego ojciec.

Nie mogła wykluczyć, że Joe ma rację, ale nie chciała wierzyć w podły charakter i podstępne działania Aarona.

- Prowadzenie dochodzenia zostaw szeryfowi. To jego praca.

Joe, urażony jej ostrym tonem, skierował się ku drzwiom.

- Słusznie. A ja wracam do mojej. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

- Przepraszam, Joe - powiedziała, zanim opuścił gabinet. - Wiem, że powoduje tobą troska o Utopię.

- Także o ciebie, Jillian.

- Doceniam to, naprawdę. - Podniosła z biurka zniszczoną rękawicę roboczą. - Ale muszę tę sprawę rozwiązać po swojemu. Tylko że na razie nic sensownego nie przychodzi mi do głowy.

- W porządku. - Włożył kapelusz, po czym przysunął palce do ronda. - W każdym razie gdybyś potrzebowała pomocy, możesz na mnie liczyć.

- Dziękuję.

Przystanąła na środku pokoju. Boże, najchętniej zaczęłaby panikować, załamywać ręce, krzyczeć, że sobie nie poradzi, że ma tego dość.

Gdyby miała kogoś, komu mogłaby się wyżalić! Kogoś, kto by ją wysłuchał, pocieszył, pokierował nią. Ale jest zdana wyłącznie na siebie. Ranczo należy do niej, zatem kłopoty z nim związane musi sama rozwiązywać; nikt jej w tym nie wyręczy.

Chwyciła kapelusz. Czeka ją mnóstwo pracy. Nawet gdyby zostało jej tylko sto krów, to pracy i tak miałaby w bród. Krok po kroku zaczęłaby odbudowywać hodowlę. Bądź co bądź ma ziemię oraz odziedziczoną po dziadku determinację.

Otworzywszy drzwi, zobaczyła, jak pod dom podjeżdża Karen Murdock. Zawahała się, zaskoczona

niespodziewaną wizytą, po czym wyszła na werandę.

- Dzień dobry. Nie gniewasz się, kochanie, że wpadam bez zapowiedzi?

- Oczywiście, że nie. - Jillian uśmiechnęła się. - Miło mi panią widzieć.

- Zdaje się, że przyjechałam nie w porę? - Kobieta zerknęła na rękawice robocze, które Jillian ścisnęła w dłoni.

- Ależ nie, zapraszam. - Jillian wetknęła rękawice do kieszeni. - Napije się pani kawy?

- Z przyjemnością. Tylko błagam, mów mi po imieniu. - Idąc za Jillian do kuchni, Karen rozglądała się z zaciekawieniem po domu. - Boże, ileż to lat minęło, odkąd tu byłam!

Kiedyś często odwiedzałam twoją babcie. - Uśmiechnęła się smutno. - Oczywiście Clay z Pauliem dobrze o tym wiedzieli, ale nikt z nas głośno nie poruszał tego tematu. Powiedz, Jillian, jaki jest twój stosunek do starych, ciągnących się latami waśni?

Kilka miesięcy temu jej lekko ironiczny ton pewnie by zirytował dziewczynę. Teraz tylko pokręciła z uśmiechem głową.

- Ostatnio bardzo się zmienił.

- Cieszę się. - Karen usiadła przy kuchennym stole, podczas gdy Jillian zajęła się parzeniem kawy. - Wiem, że tamtego dnia, kiedy u nas byłaś, Paul powiedział kilka niemiłych rzeczy. Czasem robi to specjalnie. Twoja reakcja go zachwyciła.

Jillian obejrzała się przez ramię.

- Chyba są bardziej do siebie podobni, on i Clay, niż przypuszczałam - rzekła z uśmiechem.

- Tak, są ulepiani z tej samej gliny... Jillian, słyszeliśmy o twoich krowach. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo nam przykro. Jeżeli w jakikolwiek sposób moglibyśmy ci pomóc, to błagam, nie wahaj się o tym powiedzieć.

Wzruszywszy ramionami, Jillian skupiła się ponownie na parzeniu kawy. Nie chciała słuchać wyrazów współczucia.

- No cóż, każdemu to się może przytrafić. Szeryf bada sprawę...

- Każdemu się może przytrafić - powtórzyła Karen. - To prawda. Dlatego wszyscy się z tobą solidaryzujemy. - Zawahała się, świadoma, że porusza delikatny temat. - Kochanie, Aaron wspomniał mi o przeciętym drucie; ojcu o tym nie mówił...

- Ogrodzenie nie ma tu nic do rzeczy - rzekła cicho Jillian. - Nie jestem głupia. Wiem, że Aaron nie ma z kradzieżą nic wspólnego.

- On się bardzo o ciebie martwi.

- Niepotrzebnie. - Sięgnęła do szafek po filiżanki i nalała do nich kawę. - To mój problem; sama muszę go rozwiązać.

- I nie chcesz niczyjej pomocy?

Jillian westchnęła głośno. Postawiła filiżanki na stole, usiadła naprzeciw Karen Murdock i spojrzała jej w oczy.

- Przepraszam, nie chciałam być nieuprzejma. Chodzi o to, że prowadzenie rancza nie należy do prostych zadań, a kiedy jest się kobietą... Żeby osiągnąć sukces, kobieta musi być dwa razy lepsza od mężczyzny. Wciąż żyjemy w męskim świecie, a ja... nie zamierzam się poddać.

- Rozumiem. - Karen upiła łyk kawy i rozejrzała się po kuchni. - Nikomu nie musisz nic udowadniać, kochanie.

Widząc dobroć w oczach starszej kobiety, Jillian poczuła, jak mur, za którym się skryła, kruszeje.

- Strasznie się boję - szepnęła. - Staram się o tym nie myśleć, bo inaczej bym zwariowała.

Ale tak wiele zależy od tego, czego uda mi się w tym roku dokonać. Poczyniłam pewne inwestycje, licząc na to, że się szybko zwrócą. Jednakże strata pięciuset sztuk... -

Pokręciła smętnie głową. - Obiecałam sobie, że się nie poddam, tyle że chwilę potrwa, zanim znów stanę na nogi. Karen poklepała ją po ręce.

- Może krowy się jeszcze znajdą.

- Nie bardzo w to wierzę. - Przez moment Jillian siedziała bez ruchu, po czym sięgnęła po filiżankę. - Tak czy inaczej, nadal jestem właścicielką Utopii. Clay przekazał mi ranczo w spadku. Muszę udowodnić sobie i jemu, że nie popełnił błędu, obdarzając mnie zaufaniem.

- Sobie i jemu?

- Głównie jemu. Zawdzięczam mu wszystko: dom, ziemię, zwierzęta, wiedzę i umiejętności.

- Nie powinnaś żyć wyłącznie Utopią - powiedziała łagodnie Karen. - Paul by się zezłościł, gdyby słyszał, co mówię. Ale to prawda. Aaron... - Oczy pojaśniały jej z dumy. -

Aaron odziedziczył wiele cech po swoim ojcu, ale na szczęście nie jest tak pryncypialny ani rygorystyczny. Nie możesz pozwolić, aby ziemia zawładnęła całym twoim życiem, Jillian.

- Poza nią niczego nie mam.

- Och, nie wierzę. Na pewno się mylisz. Zresztą... - ciągnęła po chwili, gdy Jillian nie odpowiedziała - gdybyś ją straciła, nawet gdybyś została bez kawałka ziemi, wymyśliłabyś sobie inne zajęcie. Jesteś

odważna i przebojowa. I nie poddajesz się. Tak jak mój syn.

- On jednak miał inne możliwości. - Jillian wstała, żeby dolać im obu kawy.

- Masz na myśli ropę? - Karen wpatrywała się w milczeniu w swoje ręce, jakby wahała się, czy powiedzieć Jillian prawdę. - Zrobił to dla mnie, a także dla Paula - rzekła w końcu. - Obym nigdy więcej nie musiała go prosić o tak wielką przysługę.

Jillian wróciła do stołu.

- Nie rozumiem...

- Paul popełnił błąd. To dobry człowiek, ale... - Starsza kobieta uśmiechnęła się smutno. - Dawno temu obiecał Aaronowi, że jeżeli ten swoją pracą i postawą zasłuży na ranczo, to MM przypadnie mu w udziale. Aaron niewątpliwie na nie zasłużył. - Na moment zamilkła. - Kiedy Aaron wrócił do domu po skończeniu studiów, Paul jeszcze nie był gotów przekazać mu ziemi. Umówili się, że przez trzy lata syn będzie wykonywał polecenia ojca, a potem sam przejmie wszystkie obowiązki.

- Słyszałam... - zaczęła Jillian, ale ugryzła się w język; nie chciała powtarzać plotek. -

Myślę, że jak się całe życie czemuś poświęciło, trudno jest przekazać ster w inne ręce, nawet w ręce własnego syna.

- Ale należało tak zrobić. Może Paul dotrzymałby słowa, gdyby... - Karen westchnęła, jakby zła na siebie, że w ogóle o tym mówi. - W każdym razie odmówił, a Aaron wpadł w furję. Strasznie się pokłócili. Obaj są nieprzejednani. Aaron postanowił wyjechać do Wyoming, kupić ziemię, zacząć od zera. Kochał rodzinne ranczo, ale nie zamierzał czekać w nieskończoność.

- Jednak nie wyjechał.

- Nie, bo go o to poprosiłam. Lekarze nie dawali Paulowi szans na wyzdrowienie.

Powiedzieli, że zostały mu najwyżej dwa lata. Paul... On zawsze przewycięzał wszystkie przeszkody, jakie stawały mu na drodze, a teraz... Był wściekły, że nie potrafi pokonać ułomności własnego ciała.

Jillian przypomniała sobie dumne spojrzenie Murdocka i jego drżące ręce.

- Tak, to przykre... - szepnęła.

- Nie chciał, aby ktokolwiek wiedział o jego chorobie, nawet Aaron. Na palcach jednej ręki mogę policzyć, ile razy sprzeciwiłam się mężowi. - Spuściła wzrok. Przyglądając się starszej kobiecie, Jillian uświadomiła sobie, że potulność Karen wynika z jej siły i inteligencji, a nie ze słabości. - Wiedziałam, że jeśli Aaron wyjedzie, Paul przestanie walczyć, podda się. A kiedy prawda wyjdzie na jaw, Aaron nie wybaczy sobie, że zostawił ojca w potrzebie. Więc odbyłam z synem poważną rozmowę, powiedziałam mu wszystko, poprosiłam, żeby zrezygnował z własnych pragnień i ambicji. I tak zrobił. Pojechał do Billings. Nie wiem, czy lekarze by się ze mną zgodzili, ale moim zdaniem



podarował

swojemu ojcu pięć lat życia. Jillian odwróciła oczy.

- Powiedziałam mu kilka nieprzyjemnych rzeczy - szepnęła.

- Podejrzewam, że nie ty pierwsza. Aaron wiedział, co ludzie o nim mówią. Ale nigdy nie przejmował się opinią innych. Przynajmniej do tej pory - dodała cicho Karen.

- Nie mogę go przeprosić. Byłby wściekły, gdyby wiedział, że poznałam prawdę.

- Widzę, że świetnie znasz mojego syna.

- Wcale nie. W ogóle go nie znam. Nie rozumiem go. Nie wiem... - Jillian urwała zaskoczona; tak niewiele brakowało, aby się przed Karen wygadała.

- Jestem jego matką - rzekła Karen, trafnie odgadując speszzenie swojej młodej rozmówczyni. - Ale jestem również kobietą, która doskonale rozumie, co to znaczy kochać mężczyznę trudnego w pożyciu. Miałam zaledwie dwadzieścia lat, kiedy poznałam Paula. On miał czterdzieści kilka. Przyjaciele ostrzegali go przede mną; sądzili, że lecę na jego pieniądze. - Roześmiała się. - Oczywiście trzydzieści lat temu to wcale nie wydawało mi się śmieszne. Posłuchaj, kochanie, nie chcę wtrącać się do twoich spraw sercowych. Po prostu ofiaruję ci wsparcie.

Jillian popatrzyła na piękną kobietę, na emanującą z jej oczu siłę i dobroć.

- Nie wiem, czy potrafię je przyjąć.

Karen wstała i położyła ręce na ramionach Jillian. Boże, jaka ona młoda, pomyślała; i jaka poważna.

- A gdybym ci zaofiarowała przyjaźń?

- Bardzo bym się ucieszyła.

- Doskonale. - Ścisnęła Jillian za ramię. - Jadę, bo na pewno masz mnóstwo pracy. Ale pamiętaj: gdybyś kiedyś chciała porozmawiać z kobietą, a wszystkie mewamy czasem taką potrzebę, to zadzwoń.

- Dobrze. Będzie mi miło.

- Mnie również. Wiesz, ponad trzydzieści lat żyję w męskim świecie. - Pogładziła Jillian po policzku. - Tęsknię za córką.

Aaron stał na werandzie, obserwując, jak księżyc wtacza się na niebo. Dookoła panowała tak głęboka cisza, że słyszał przelatującego nad głową jastrzębia. W powietrzu unosił się zapach kwiatów; czuć było, że zbliża się lato.

Pociągnął łyk zimnego piwa. Zaczynał się niecierpliwić. Psiakość, jak długo jeszcze można czekać?

Minał tydzień, odkąd ją widział. Każdej nocy marzył o tym, by wziąć ją w ramiona i wypełnić pustkę, która tkwiła w nim od dawna, lecz z której istnienia dopiero teraz zdał sobie sprawę.

Jeszcze żadnej kobiety nie pragnął tak jak Jillian. Żadna inna nie potrafiła go zranić. A Jillian owszem. Nie wiedział, jak temu zapobiec. Mógłby się z nią nie widywać, ale to nie wchodzi w grę.

Ona mu nie ufa, a on nie miał zamiaru udawać, że to go nie boli. Chciał, żeby nabrała do niego przekonania, by zwierzyła mu się ze swoich przemyśleń i przyjęła jego pomoc.

Wyobrażał sobie, jak bardzo musi jej być ciężko. Ale zawzięta się. Może nadszedł czas, aby to on wykonał jakiś krok.

Rozdrażniony, skierował się ku schodkom. I znieruchomiał. Najpierw usłyszał szum silnika, a po chwili dojrzał w ciemności blask reflektorów jadącego wolno samochodu.

Czując narastające napięcie, postawił niedopitą puszkę na balustradzie. Chociaż korciło go, aby zbiec na dół, otworzyć drzwi samochodu i porwać Jillian w objęcia, powstrzymał się.

Była pewna, że zdenerwowanie ustąpi w trakcie drogi. Myliła się. Czowała klucie w żołądku, serce waliło jej jak oszalałe, w gardle zaschło. Od czasu wizyty Karen nie potrafiła przestać myśleć o Aaronie. Cały dzień męczyła się, zanim w końcu podjęła decyzję. Wciąż nie wiedziała, czy słuszną.

Przez moment stała przy samochodzie, przypatrując się postaci na werandzie oświetlonej księżycowym blaskiem. Potem na drżących nogach, ale z wysoko uniesionym czołem, skierowała się w stronę schodów.

- To błąd - powiedziała cicho. - Mój przyjazd to błąd.

Aaron stał nieruchomo, oparty o słupek.

- Tak myślisz?

- Moje życie jest obecnie wystarczająco skomplikowane.

- Nie spieszyłaś się - zauważył. Zaciśnął dłonie w pięści, żeby nie móc pogłodzić jej po twarzy.

- Nie przyjechałabym, gdybym zdołała się powstrzymać.

- Tak? - Nie spodziewał się tak szczerego wyznania. Powoli zaczął się odprężyć. - Ale skoro już jesteś, może podejdź bliżej.

Zdała sobie sprawę, że niczego nie będzie jej ułatwiać. Zresztą wcale by tego nie chciała. Nie odrywając oczu od Aarona, powoli zmniejszała dzielący ich dystans.

- Czy to wystarczająco blisko? - spytała, kiedy ich ciała się stykały.

- Nie. - Uśmiechnął się.

Objęła go za szyję i dotknęła jego ust.

- A teraz?

- Jeszcze bliżej. - Położywszy rękę na jej plecach, wolno przesunął ją do góry. W jego oczach radość mieszała się z triumfem i pożądaniem.

- Trafimy do pudła za obrazę moralności - szepnęła.

- Nie martw się, wyjdziemy za kaucją.

- Zamknij się, Murdock.

Nie była w stanie dłużej wytrzymać. Te wszystkie emocje, jakie od kilku dni się w niej kumulowały, wreszcie znalazły ujście. Schyliwszy się, Aaron zgarnął ją w ramiona i ruszył w stronę siatkowych drzwi.

- Co...

Nie zdołała dokończyć pytania. Zamknął jej usta pocałunkiem. Po chwili pchnął

drzwi, pozwalając, by się z hukiem zatrzasnęły.

- Aaron, puść mnie! - zawołała ze śmiechem.

- Mogę sama iść.

Bez słowa zaczął się wspinać po wąskich schodach prowadzących na piętro.

- Rozumiem. W ten sposób wyrażasz swoją męską dominację.

- Mylisz się, kotku. W ten sposób wyrażam swoją romantyczną naturę. Męską dominację wyrażam... o tak! - Bezceremonialnie przerzucił ją sobie przez ramię.

- Hm! - mruknęła, kiedy ochłonęła po pierwszym szoku. - Nie liczyłam ani na jedno, ani na drugie.

Chociaż powiedziała to lekkim tonem, wyczuł w jej głosie powagę. Opuścił ją powoli, tak by ich ciała cały czas się o siebie ocierały. Podniosła oczy; płonął w nich ogień pożądania.

- Nie lubisz romantycznych uniesień, Jillian?

- Nie po to tu przyjechałam - odparła, wyciągając do niego rękę.

Chwycił ją za nadgarstki.

- Szkoda - szepnął jej do ucha. - Bo ja jestem w romantycznym nastroju. Uważasz, że bezpieczniej będzie ograniczyć się do namiętności, do pożądania?

Wciągnęła gwałtownie powietrze, gdy zaczął obsypywać ją pocałunkami.

- Mmm - zamruczał, pieszcząc wargami jej obojczyk, potem ramię. - Jakie mięciutkie, jakie delikatne.

Poczuł, jak nogi się pod nią uginają; stawała się coraz bardziej uległa, traciła nad sobą kontrolę. Na myśl, że lekkimi pieszczotami potrafi ją doprowadzić do takiego stanu, ogarnęło go jeszcze większe podniecenie.

Przeniósł ją na łóżko. Leżała drżąca, bez ruchu, kiedy odpinał guziki jej bluzki. Nie śpieszył się. Ona też się nie śpieszyła, ściągając z niego ubranie. Zanim przyjechała do Aarona, wszystko dokładnie przemyślała. Była spragniona seksu.

Nie zamierzała słuchać żadnych czułych słówek, które były miłe, lecz nic nie znaczyły. I na pewno nie zamierzała się zakochać; póki słucha głosu ciała, a nie głosu serca, jest bezpieczna.

Ale kiedy Aaron zaczął ją pieścić, ciepłymi dłońmi gładzić jej skórę, zapomniała o swoich niezłomnych postanowieniach, zacisnęła powieki i oddała się rozkoszy. Tak było dobrze. Miała wrażenie, że unosi się nad łóżkiem, że patrzy z góry na wyciągnięte dwie postaci, że widzi, jak z twarzy dziewczyny - jej twarzy - powoli znika napięcie.

Czuła zapach świeżo wykapanego ciała. Czuła cudowne drapanie, gdy nieogolonym policzkiem potarł o jej policzek. Wzdychając błogo, marzyła, by dzisiejszy wieczór nigdy się nie zakończył.

Nie przypuszczał, że sprawianie przyjemności drugiej osobie może dawać tyle satysfakcji. Pragnął Jillian, pragnął razem z nią wznieść się na szczyty rozkoszy, a jednocześnie chciał jak najdłużej ją pieścić i całować, czuć jej całkowitą uległość.

Nie rozumiała jego fascynacji jej ciałem. Zawsze sądziła, że jest za chuda, zbyt umięśniona od pracy fizycznej, za mało kobieca, Aaron jednak nie podzielał jej opinii. Pieścił

ją, szeptem wyrażając aprobatę i podziw. Kiedy zsunął się pomiędzy jej uda, zamarła w oczekiwaniu na rozkosz. Czuła, jak się zbliża. Jeszcze kilka sekund...

Aaron jednak nie pozwolił, by tak szybko nastąpił koniec. Raz po raz doprowadzał ją na skraj rozkoszy, a ona wiała się, gotowa przysiąc mu wszystko i spełnić każdą jego prośbę.

- A teraz... - szepnął jej do ucha - powiedz, jak bardzo mnie pragniesz.

- Tak. - Zacisnęła nogi wokół jego bioder. - Pragnę. Och, jak strasznie pragnę -

szepnęła i zatraciła się w rozkoszy.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Powoli do jego świadomości zaczął docierać zapach jej włosów. Aaron otworzył oczy.

Leżał z twarzą wtuloną w rude loki. Pachniały podobnie do kwiatów, które matka zrywała w ogrodzie i stawiała w porcelanowym wazonie na parapecie. Mmm, były takie miękkie i jedwabiste. Mógłby je wachać całą noc.

Jillian wciąż leżała pod nim, oddychając głęboko. Może zasnęła? Kiedy jednak przycisnął usta do jej szyi, objęła go mocniej. Uniósłszy głowę, popatrzył na nią z uśmiechem.

Powieki miała przymknięte, oczy podkrążone. Zauważył to już wcześniej, na werandzie.

- Nie najlepiej ostatnio sypiasz, prawda?

- spytał, marszcząc czoło.

Zaskoczona zarówno pytaniem, jak i nutą zatroskania w głosie, uniosła brwi. Po tym, co przeżyli, spodziewała się czegoś wesołego albo romantycznego. Aaron zaś wpatrywał się w nią z dezaprobatą. Nie była pewna, dlaczego to ją tak rozśmieszyło.

- Nic mi nie jest - odparła lekkim tonem.

- Kłamiesz. - Ujął ją palcami za brodę. - Widzę, że się zadręczasz.

Jak łatwo byłoby się zwierzyć, pomyślała. Opowiedzieć o wszystkim, co ją gnębi: o wahaniach, lękach, problemach, które narastały szybciej, niż potrafiła sobie z nimi poradzić.

Poczułaby się lepiej. Lżej.

Wcześniej zwierzyła się Karen, ale... Zupełnie co innego jest dopuścić do swoich tajemnic kobietę, a co innego ujawnić swoje słabości przed mężczyzną. Wraz z nadejściem świtu ona i Aaron przestaną być kochankami. Znow będą sąsiadami, których od niemal stu lat dzielą rodzinne spory.

- Aaron, przyjechałam tu, żeby...

- Wiem, po co przyjechałaś - przerwał jej.

- Bo nie mogłaś beze mnie wytrzymać. Rozumiem. Ale to pociąga za sobą także pewne konsekwencje.

Trudno oburzać się z godnością, kiedy się leży nago pod kochankiem, ale Jillian prawie się to udało.

- Konsekwencje, powiadasz? Czy wolno spytać jakie?

W jego oczach pojawił się błysk rozbawienia.

- Podoba mi się twój ton. „Czy wolno spytać jakie?” Zupełnie jakbym słyszał swoją wychowawczynię z trzeciej klasy podstawówki.

Kąciki jej warg zadrżały.

- Moja matka tak mówiła - przyznała. - Pewnie to po niej odziedziczyłam. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Szaleję za tobą - oznajmił i zobaczył, jak Jillian otwiera usta ze zdziwienia.

Najwyraźniej nie spodziewała się takiego wyznania. Prawdę mówiąc, on też nie za bardzo wiedział, co z tym fantem począć, dlatego postanowił potraktować wszystko z humorem. -

Oczywiście od dziecka mam słabość do kłótliwych, wybuchowych żołą. - Po chwili spoważniał. - Zamierzam ci pomóc, Jillian. Czy tego chcesz, czy nie.

- Obawiam się, że nie zdołasz. Nawet gdybym bardzo chciała.

W milczeniu ułożył poduszki u wezłowania łóżka, następnie oparł się o nie i przyciągnął Jillian do siebie. Na moment zeszywniała, po czym się odprężyła. W geście Aarona było coś władczego, a zarazem niebywale opiekuńczego.

Wyczuł jej wahanie, ale go nie skomentował.

Kiedy pragnie się zdobyć zaufanie drugiej osoby, wskazana jest cierpliwość.

- Powiedz mi, co dotąd zostało zrobione - poprosił łagodnie.

- Aaron, nie chcę cię do tego mieszać.

- Proszę cię, Jillian. To mnie też dotyczy. Choćby dlatego, że po drugiej stronie ogrodzenia, które zniszczono, ciągną się moje pastwiska.

Miał rację. Zamknęła oczy.

- Przeliczyliśmy pogłowie. Okazało się, że w sumie brakuje pięciuset sztuk, w tym około pięćdziesięciu cielaków. Na wszelki wypadek natychmiast oznakowaliśmy pozostałe. I zawiadomiliśmy szeryfa.

- Znalazł jakieś ślady?

- Nie. - Wzruszyła ramionami. - Nie wiadomo, dokąd złodzieje uprowadzili swoją zdobycz. Jeżeli gdzieś jeszcze przecięli ogrodzenie, to je potem starannie załatali. Wygląda na to, że kradzież odbywała się ratami. Zabierano po kilkanaście, kilkadziesiąt sztuk naraz.

- Dziwne, że skoro tak wszystko latali, to nie naprawili przeciętych drutów w zachodnim sektorze.

- Może nie zdążyli.

- A może chcieli skierować twoje podejrzenia na mnie.

- Może. - Wtuliła twarz w jego ramię. - Aaron, przepraszam za to, co powiedziałam o twoim ojcu.

Nie chciałam. Po prostu byłam zdenerwowana i...

- Wiem, nie przejmuj się. Odchyliwszy głowę, popatrzyła mu w oczy.

- Nie umiem.

- Postaraj się. - Pocałował ją w usta. - Słyszałem, że kupiłeś samolot.

- Tak. - Ponownie oparła głowę o jego ramię. - Ale dostarczą mi go dopiero w przyszłym tygodniu.

- Więc polatamy moim.

- Ale...

- Nie kwestionuję spostrzegawczości szeryfa, ale ty masz lepsze rozeznanie w swoim terenie.

- Aaron, nie chcę być twoim dłużnikiem. Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, ale...

- Więc nie tłumacz. - Obrócił ją twarzą do siebie. - Posłuchaj, Jillian. Zawsze robię to, co uważam za potrzebne lub słuszne. Możesz się temu sprzeciwić, możesz ze mną walczyć.

Może czasem uda ci się mnie pokonać, ale na pewno mnie nie powstrzymasz.

Oczy Jillian załśniły gniewnie.

- Dlaczego próbujesz mnie zezłościć? Chwycił ją w pasie i się obrócił. Zanim zdążyła zareagować, leżeli w poprzek łóżka.

- Lubię, jak się irytujesz. A boję się, kiedy stajesz się miła i potulna.

- Miła i potulna? Przy tobie? Nie obawiaj się. Wzbudzasz we mnie dość gwałtowne emocje.

- To dobrze. - Pocałował ją. - Zostań na noc.

- Nie... - zaczęła, ale nie mogła dokończyć. Od namiętnego pocałunku zakręciło się jej w głowie.

- Tę noc spędzisz ze mną - oznajmił Aaron tonem nieznoszącym sprzeciwu. Po czym udowodnił jej, dlaczego nie mogą się rozstać.

Obudził ją śpiew ptaków. Latem, mniej więcej przez dwa, trzy tygodnie, słońce wschodziło tak wcześnie, że ptaki budziły się, kiedy ona jeszcze spała. Wzdychając cicho, przez chwilę leżała bez ruchu.

Wciąż zamroczona snem, usiłowała sobie przypomnieć, co ją dzisiaj czeka. Najpierw, zanim pójdzie do koni, musi zajrzeć do małego. Na pewno cielak będzie głodny; trzeba mu dać butelkę. Przeciągnąwszy się, przewróciła się na drugi bok i rozejrzała po pokoju. Po sypialni Aarona. Tę rundę wygrał on.

Wróciła myślami do poprzedniego wieczoru. Spędziła w ramionach Aarona całą noc.

Oboje mieli świadomość piętrzących się przed nimi trudności. Jillian jednak nie przypuszczała, że ta noc tak mocno się na niej odciśnie. Po raz pierwszy w życiu spała z mężczyzną - nie kochała się, ale właśnie spała; po raz pierwszy leżała z kimś w mroku, dzieląc się poduszką, kołdrą, ciepłem, przestrzenią. Była naiwna, wierząc, że można mieć romans bez zaangażowania emocjonalnego.

Ale przecież nie kocha Aarona. Na szczęście zachowała resztki zdrowego rozsądku.

Zamknęła oczy. Boże, oby tak było! Wyciągnęła w bok rękę, ale nikogo nie znalazła.

Zaintrygowana ptasim śpiewem, uniosła głowę i popatrzyła w stronę okna. Do środka wdzierały się promienie słońca. Nagle przypomniała sobie, że lato jeszcze nie nastąpiło. Więc dlaczego leży w łóżku, kiedy na dworze jest tak jasno? Wściekła na siebie, spuściła nogi na podłogę. W tym momencie drzwi się otworzyły. Do pokoju wszedł Aaron z kubkiem kawy.

- Jaka szkoda, że już nie śpisz - rzekł, podchodząc do niej. - Marzyłem o tym, żeby cię obudzić.

- Muszę wracać. - Odgarnęła z twarzy włosy.

- Od dawna powinnam być na nogach. Przytrzymał ją za ramię, nie pozwalając wstać.

- Powinnaś pospać co najmniej do południa - oznajmił, przyglądając się jej badawczo.

- Ale i tak wyglądasz już trochę lepiej.

- Całe ranczo jest na mojej głowie.

- Nic złego się nie stanie, jeśli pojawisz się tam dopiero jutro. - Przysiadł na materacu i podał jej kubek. - Wypij kawę.

Złościł ją jego rozkazujący ton, ale zanim zdążyła się sprzeciwić, poczuła zapach kawy. Złość wyparowała.

- Która godzina? - spytała między jednym a drugim łykiem.

- Kilka minut po dziewiątej.

- Po dziewiątej? - Wytrzeszczyła oczy. - Rany boskie, muszę wracać!

- Najpierw wypij kawę - powiedział. - Potem zjesz śniadanie.

Posłała mu zniecierpliwione spojrzenie.

- Przestań mnie traktować, jakbym miała osiem lat.

- Hm, kusząca propozycja - rzekł, przesuwając wzrok ku jej niedbale przysłoniętym piersiom.



- Czy rozmawiając ze mną, mógłbyś mi patrzeć w oczy? - spytała ze śmiechem. -

Słuchaj - ciągnęła po chwili poważniejszym tonem. - Jestem wdzięczna za kawę, ale nie mogę siedzieć u ciebie do południa.

- Kiedy ostatni raz przespałaś osiem godzin? Odpowiedziało mu wzruszenie ramion.

- A byłoby tych godzin więcej, gdybyś mnie nie rozpraszała, kiedy sam próbowałem zasnąć.

Uniosła brwi.

- Ja cię rozpraszałam?

- Raz po raz.

Nagle coś w jej twarzy, jakiś wyraz niepewności czy wahania, przykuło jego uwagę.

Czy to możliwe, aby po tak szalonej, upojonej nocy Jillian potrzebowała zapewnienia, że go nie zawiodła? Pochyliwszy się, pocałował ją lekko w czoło.

- Nawet nie musiałaś się zbytnio wysilać - szepnął i zanim zdołał się pohamować, przesunął wargi ku jej skroni. - Gdybyś chciała się przekonać, jaką masz nade mną moc, to...

- Nie, Aaron. - Głos jej zadrżał. - Chyba dziś rano zlituję się nad tobą.

- Jak chcesz. - Wziął w palce koniec kołdry, którą była przykryta, i zaczął ją lekko ciągnąć.

- Ale ja nie lubię litości.

- Aaron... - Trzymała kołdrę przy piersiach.

- Sam mówiłeś, że jest dziewiąta.

- Pewnie kwadrans po.

- Mam mnóstwo pracy. Ty pewnie też.

- Psujesz zabawę - rzekł tonem rozkapryszonego dziecka.

Parsknęła śmiechem, po czym odstawiła na bok pusty kubek.

- Hej, wynocha! Chciałabym się umyć i ubrać.

- No widzisz? Psujesz zabawę - powtórzył, wstając z łóżka. - W porządku, ubierz się, a ja przygotuję śniadanie. A potem - dodał szybko, zanim zdążyła oznajmić, że nie jest głodna

- zaproszę cię do mojego samolotu. Trochę polatamy.

- Aaron, nie chcę ci zajmować czasu... Wsunąwszy ręce do kieszeni spodni, tak długo się jej przyglądał, że poczuła się nieswojo. Wreszcie pokiwał głową.

- Jak na inteligentną kobietę, wykazujesz niebywałą tępotę umysłową - stwierdził. -

Jeśli to ci cokolwiek ułatwi, po prostu powtarzaj sobie, że kradzież bydląt może dotknąć każdego z nas.

Widziała, że jest zirytowany. Również w jego głosie słyszała nutę rozdrażnienia.

- Nie rozumiem.

- Wiem. - Westchnął z rezygnacją. - Trudno. Skierował się do drzwi. Patrzyła za nim zmieszana.

- Ja... - zaczęła. Co, do licha, chciała powiedzieć? - Muszę zawiadomić Gila. Będzie się zastanawiał, gdzie przepadłam.

- Wysłałem kogoś do Utopii. - Stanąwszy w drzwiach, odwrócił się. - Gil wie, gdzie jesteś.

- Wie... Gil wie, że spędziłam tu noc?

- Owszem.

Nerwowym ruchem przeczesła włosy.

- Wiesz, co sobie pomyśli?

- Nie zastanawiałem się nad tym - oznajmił chłodno. - Nie przyszło mi do głowy, że dwoje dorosłych, wolnych ludzi musi się ukrywać.

Zamknął za sobą drzwi, nie dając jej się wytłumaczyć. Miała ochotę cisnąć kubkiem w ścianę. Po chwili, wściekła, odstawiła go z powrotem na stolik i wstała z łóżka. Psiakość, powinna była ugryźć się w język. Skąd Aaron mógł wiedzieć, że nie przemawia przez nią wstyd, lecz niepewność? Zresztą może lepiej, że tego nie wiedział.

Chętnie by ją udusił. Tak, zacisnąłby ręce na jej szyi i... Wrzucił na patelnię pokrojoną szynkę. Sam jest sobie winien, pomyślał, słuchając skwierczącego tłuszczu. Tak, to jego wina. Nie powinien był pozwolić, aby sprawy wymknęły mu się spod kontroli. W najlepszym wypadku Jillian czuje do niego sympatię. Podejrzewał, że nic z tego nie wyniknie. To, że on nagle zapragnął czegoś więcej... no cóż, to już był jego problem. Zawsze dotąd wystarczał mu niezobowiązujący romans, a teraz... Teraz po prostu musi się wziąć w garść.

Nalał sobie mocnej, czarnej kawy. Był dojrzałym, doświadczonym przez los mężczyzną; ktoś taki jak on nie traci głowy dla dziewczyny, której nie zależy na poważnym związku. Zresztą tak naprawdę to jemu też na tym nie zależy. Po prostu dał się ponieść emocjom.

Kawa podziałała na niego kojąco. W lepszym nastroju wyciągnął z lodówki karton jajek. W

porządku, postara się pomóc Jillian odnaleźć skradzione bydło, a przynajmniej odkryć, kto stoi za kradzieżą. Poza tym mogą się spotykać, sypiać ze sobą, miło spędzać razem czas. Nie muszą snuć planów na przyszłość.

Kiedy kilka minut później weszła do kuchni, obejrzał się przez ramię. Była wypoczęta, włosy miała wilgotne, oczy lśniące. Promieniała zdrowiem.

W tym momencie uświadomił sobie, że ją kocha. I wystraszył się. Na miłość boską, co ma począć?

Zamierzała coś powiedzieć o rozchodzącym się pysznym zapachu, ale słowa uwięzły jej w gardle. Dlaczego Aaron patrzy na nią tak, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu?

Speszona, przestąpiła nerwowo z nogi na nogę. Wyglądał dziwnie, jakby był lekko oszołomiony.

- Co się stało? - spytała, a kiedy nie zareagował, uśmiechnęła się niepewnie. -

Pytałam, co się stało. Bo sprawiasz wrażenie, jakbyś odpłynął gdzieś myślami.

Podrapał się po brodzie. Nie chciał, aby Jillian poznała prawdę.

- Nic - odparł pośpiesznie. - Jakie lubisz jajka?

- Sadzone.

Zrobiła krok w jego stronę, po czym zawahała się. Fizyczne okazywanie komuś sympatii przychodziło jej z trudem. Zbyt często spotykała się z chłodną reakcją. Zebrawszy się na odwagę, podeszła do Aarona i położyła dłoń na jego ramieniu. Zesztywniał. Opuściła rękę.

- Aaron... - Zdumiało ją, że potrafi mówić tak spokojnie. No ale sztukę ukrywania bólu miała opanowaną do perfekcji. - Nie umiem przyjmować pomocy.

- Zauważyłem. - Rozbił jajko.

Zamrugnęła, usiłując pohamować łzy. Weź się w garść, nakazała samej sobie; nie okazuj słabości.

- Ja... ja naprawdę doceniam, co dla mnie robisz. Słowo honoru.

Rozbił kolejne jajko i dorzucił na patelnię.

- W porządku. Nie mówmy o tym.

Cofnęła się. Czego się spodziewałaś? Nie należysz do osób, które wzbudzają w ludziach instynkty opiekuńcze. I bardzo dobrze.

- Jasne. Nie mówmy. - Sięgnąwszy po dzbanek, naląła sobie kawy. - A ty nie będziesz jadł?

- Już jadłem - odparł, przysuwając talerz. Przyjrzała mu się z niechęcią w oczach.

- Na pewno masz wiele obowiązków. Może któryś z twoich ludzi mógłby ze mną polatać?

- Powiedziałem, że sam to zrobię. Przełożył jajka z patelni na talerz i postawił go na stole. Jillian usiadła i podniosła sztucce.

- Jak sobie życzysz.

- Właśnie tak sobie życzę - warknął i ni stąd, ni zowąd przywarł ustami do jej ust w długim gorącym pocałunku.

Gdy się wyprostował, ręce jej drżały.

- Mężczyzna powinien być ostrożny - rzekła, krojąc bułkę - kiedy kobieta trzyma w ręce nóż.

Roześmiawszy się, usiadł naprzeciwko niej.

- Jakoś przy tobie zapominam o ostrożności. - Pijąc kawę, przyglądał się, jak Jillian opróżnia talerz.  
- Wiesz, już kilka lat temu powinnaś była kupić samolot, a nie dopiero teraz -

powiedział, świadom, że jego słowa ją rozzłoszczą. Wolno uniosła wzrok znad talerza.

- Czyżby?

- Tylko dureń nie idzie z duchem postępu.

- Hm... - Postukała widelcem o talerz. - Fascynujące spostrzeżenie - oznajmiła słodko.

- Może masz więcej sugestii, jak mogłabym lepiej zarządzać Utopią?

- Owszem... - Dopił kawę. - Mógłbym podsunąć ci kilka pomysłów.

- Ach tak? - Odłożyła widelec, żeby przypadkiem nie wyrządzić nim Murdockowi krzywdy. - Powiedzieć ci, co możesz zrobić ze swoimi pomysłami?

- Później. - Wstał od stołu. - A teraz ruszajmy. Póki jeszcze widno.

Zgrzytając zębami, Jillian wyszła za nim na dwór. Co za drań, pomyślała.

Dwuosobowy samolocik nie wzbudził jej zaufania. Jillian zajęła miejsce, po czym podejrzliwym wzrokiem rozejrzała się po kabinie. Zdecydowanie bardziej wolała środki lokomocji mające cztery kończyny lub cztery koła. W samochodzie lub na koniu miała kontrolę nad szybkością i kierunkiem jazdy; w powietrzu zaś będzie zdana wyłącznie na Aarona. Nie okazując zdenerwowania, zapięła pasy. Po chwili zawarczał silnik.

- Latałaś kiedyś taką maszyną? - Włożywszy okulary słoneczne, ruszył po wąskim asfaltowym pasie.

- Tak, choćby tą, którą kupiłam. - Nie wspomniała o tym, ile najadła się strachu. Ale w głębi duszy

wiedziała, że Aaron ma rację: w obecnych czasach samolot stanowi niezbędny element życia na ranczu.

Ryk silnika przybrał na sile i wkrótce oderwali się od ziemi. No cóż, będzie musiała przyzwycząić się do latania. Zresztą zamierzała nauczyć się pilotażu. Położyła ręce na kolanach i starała się zignorować napięcie, które czuła.

- Czy tylko ty jeden umiesz prowadzić tę maszynę? - Tę latającą puszkę, dodała w myślach.

- Nie, jeszcze dwóch moich pracowników ma licencję pilota. To niedobrze, gdy tylko jedna osoba potrafi wykonywać jakąś czynność.

- Fakt. - Skinęła głową. - Od miesiąca pracuje u mnie facet, który umie latać, ale chyba sama też zapiszę się na kurs.

- Jak chcesz, mogę cię nauczyć. - Zauważył, że Jillian zaciska palce na kolanach. Hm, boi się, przemknęło mu przez myśl. - Te samolociki są bardzo wygodne. Łatwo się je pilotuje.

Jeśli trzeba, można wylądować na polu i nawet krowy się zbytnio nie wystraszą.

- Strasznie ciasne w środku - mruknęła.

- Wyjrzyj przez okno. Uczucie ciasnoty zaraz minie.

Marzyła o tym, żeby znaleźć się bezpiecznie na ziemi, ale nigdy by się do tego na głos nie przyznała. Gdy spojrzała za okno, napięcie, które towarzyszyło jej, odkąd wsiadła do samolotu, rzeczywiście znikło, a ciało się odprężyło.

W dole rozpościerał się widok jak z bajki: świeże połacie zieleni poprzecinane równymi pasami brązu i żółci; kręty niebieski strumyk płynący przez Utopię i dalej przez ranczo Murdocków; bydło, które z powietrza wyglądało jak plamy czerni, brązu i czerwieni; dwa baraszkuje żrebaki oraz kilka dorosłych klaczy skubiących trawę. Niekiedy w polu widzenia ukazywali się mężczyźni na koniach. Czasem któryś zdejmował kapelusz i machał

nim na powitanie. W odpowiedzi Aaron przechylał lekko samolot, machając skrzydłami.

Jillian popatrzyła przed siebie na ciągnące się po horyzont pola i góry.

- Ależ tu pięknie! - westchnęła. - Wprost nie mogę uwierzyć, że to wszystko należy do mnie.

Aaron skinął ze zrozumieniem głową.

- Mam to samo uczucie. Ten widok chyba nigdy mi się nie znudzi.

Oparła czoło o szybę. Uświadomiła sobie, że Aaron kocha swoje ranczo nie mniej niż ona Utopię. Pięć lat, które spędził w Billings, musiało być dla niego mordęgą. Ilekroć o tym myślała, o latach, które poświęcił dla ojca, narastał w niej podziw i szacunek dla niego.

- Coś ci powiem, ale nie śmieję się. - Zobaczyła jego zaciekawione spojrzenie. - Kiedy przyjechałam tu po raz pierwszy w życiu... byłam wtedy małą dziewczynką... wyrwałam z ziemi kilka kęp trawy i schowałam do pudełka, które zabrałam do domu. Oczywiście trawa wkrótce uschła, ale to nie miało znaczenia.

Boże, czasem jest tak rozbijająca, że aż zapiera mu dech.

- Jak długo trzymałaś tę wyschniętą trawę?

- Dopóki moja mama jej nie znalazła i nie wyrzuciła.

Chciał powiedzieć coś o głupocie i braku wrażliwości dorosłych, ale ugryzł się w język.

- Nie rozumiała cię, prawda?

- Zupełnie nie. - Roześmiała się. Matka żyła w innym świecie, wyznawała inny system wartości. - Zobacz, ciężarówka Gila! - zawołała nagle.

Nie zauważyła gniewnej miny Aarona. Jego relacje z ojcem różnie się układały, raz lepiej, raz gorzej, ale zawsze miał poczucie, że doskonale się ze staruszką rozumieją.

- Opowiedz mi o swojej rodzinie - poprosił. Skierowała wzrok na jego twarz. Nie była pewna, czy mu może zaufać, tym bardziej że oczy miał zasłonięte okularami słonecznymi.

- Nie teraz - rzekła i ponownie wyjrzała przez okno. - Psiakość, żeby chociaż wiedziała, czego szukać...

Krążyli w górze już od jakiegoś czasu i powoli on też zaczął tracić nadzieję.

- Po prostu obserwuj wszystko uważnie. Może coś ci wpadnie w oko... Nie wiesz przypadkiem, czy w którymś sektorze były większe straty niż w innych?

- Zdaje się, że w północnym. Naprawdę nie pojmuję, jak mogłam być taka ślepa.

Pięćset sztuk to przecież dużo.

- Nie tobie pierwszej i nie ostatniej przydarzyła się taka historia. Zastanów się, dokąd wyprowadziłabyś bydło z północnego pastwiska?

- Gdybym była złodziejem? Załadowałabym je do ciężarówek i wywiozła poza granicę stanu.

Zawahał się, niepewny, czy przedstawiać jej inny wariant.

- Paczkowaną wołowinę łatwiej przetransportować niż żywe sztuki.

Obróciła się w jego stronę. Sama też na to wpadła. Ale odsuwała od siebie ten pomysł.

Bo gdyby zwierzęta zarżnięto, straciłaby resztki nadziei na ich odzyskanie.

- Wiem - oznajmiła spokojnie. - I dlatego tym bardziej chcę znaleźć winowajców. Nie puszczę im tego płazem.

Dumny z niej, uśmiechnął się pod nosem.

- Dobrze. Skupmy się. Dorosłe krowy są warte znacznie więcej niż cielaki, a wśród skradzionych pięciuset sztuk jest, jak sama mówiłaś, sporo cieląt. Może więc złodzieje zamierzają przewieźć zwierzęta na jakieś odległe pastwisko. No, chyba że mamy do czynienia z bandą kretynów.

- Banda kretynów nie działałaby tak sprawnie i sprytnie - zauważyła Jillian.

- To prawda - przyznał Aaron. - Zatem złodzieje mogliby zarżnąć kilkanaście sztuk, na przykład wołki, żeby zdobyć gotówkę na bieżące wydatki, a potem już spokojnie zastanowić się, co zrobić z resztą.

- Myślę, że mieli z góry opracowany plan. Na ich miejscu, gdybym wywoziła bydło partiami, korzystałabym z drogi biegnącej przez kanion.

Aaron skierował maszynę na północ.

- Dobra, nie zaszkodzi sprawdzić. Chociaż krajobraz w dole wciąż zapierał dech w piersiach, Jillian już nie potrafiła się nim zachwycać. Uważnie wpatrywała się w nierówny, wznoszący się teren oraz ciągnącą się między zboczami dwupasmową szosę. Górne partie zamieszkiwały kojoty i rysie, które trzymały się z dala od siedlisk ludzkich. Tak, pomyślała Jillian, przeszukując wzrokiem strome zbocza, ostre szczyty i płaskie kaniony; na miejscu złodziei wybrałaby ten teren do dokonania rzezi - nadawał się idealnie. Nagle zobaczyła krążące w dole sępy i zrobiło jej słabo.

- Lądujemy - oznajmił Aaron.

Nie odpowiedziała; zaczęła zastanawiać się, co ją czeka, jeżeli potwierdzą się jej najgorsze przypuszczenia. Na pewno będzie musiała wprowadzić drastyczne oszczędności przed zimą, nawet jeśli pod koniec lata uda się jej dokonać paru korzystnych transakcji na aukcji bydła. Starego dżipa odda do naprawy, ale z kupnem nowego wstrzyma się do przyszłego roku. Może też sprzeda dwa żrebaki. Nie pozwoli na to, by księgi rachunkowe zaczęły wykazywać zadłużenie.

- Poczekaj tu, a ja się rozejrzę - zaproponował Aaron, gasząc silnik.

- Nie, to moje bydło - powiedziała, wyskakując z samolotu.

Ziemia była twarda, sucha, o lekko metalicznym zapachu. Nieduży kanion, z trzech stron otoczony szarymi skałami, gdzieniegdzie porastały niskie krzewy. Brak drzew sprawiał, że słońce mocno przygrzewało. Nieopodal rozległ się trzepot skrzydeł - potężny sęp przeleciał

w powietrzu i przysiadł na głazie. Nagle Jillian zaskoczył cichy, melodyjny szum. Strumyk musiał być maleńki, w przeciwnym razie poczułaby zapach wody. A czuła jedynie...

Stanąwszy w pół kroku, wydała z siebie jęk.

- O Chryste...

W tej samej chwili Aaron poczuł duszny, mdły odór.

- Jillian...

Potrząsnęła głową. Wiedziała, że to koniec; nie potrzebowała słów pociechy.

- Cholera jasna. Ciekawe, ile sztuk zarżnęli. Za głazem natknęli się na kości, które jakiś kojot wygrzebał z ziemi i ogryzł do czysta. Aaron zaklął siarczyście pod nosem.

- W samolocie mam łopatę - rzekł. - Możemy sami sprawdzić, co tu zostało zakopane.

Albo możemy wrócić z szeryfem.

- Wolalabym wiedzieć - szepnęła Jillian, wycierając o dzinsy spocone ręce.

Nie proponował, aby poczekała przy samolocie. Na jej miejscu zachowałby się identycznie. Bez słowa udał się po łopatę.

Kiedy kroki Aarona ucichły, zacisnęła pięści. Czowała się taka bezsilna! Miała ochotę wyć z wściekłości. Ktoś ją okradł, a zwierzęta zabił i sprzedał na mięso. Tak ciężko pracowała, a złodziej po prostu przywłaszczył sobie jej własność. Teraz już nie odzyska swojego stada. Ale nie daruje tym bandytom. Zemści się. Zrobi wszystko, aby dosięgła ich sprawiedliwość.

Pięć minut później, kiedy Aaron wrócił z łopatą, oczy Jillian płonęły gniewem. Przyjął to z zadowoleniem; lepszy gniew od rozpacz.

- Przekonajmy się. Kiedy nabierzemy pewności, udamy się po szeryfa.

Skinęła głową na znak zgody. Jeżeli znajdą choć jedną skórę...

Aaron przystąpił do pracy. Nie musiał długo kopać. Już po kilku minutach trafił na pierwszą stertę. Zerknął na Jillian; jej twarz nie zdradzała żadnych emocji. Mimo potwornego smrodu, jaki wzbił się w powietrze, Jillian kucnęła; chwilę później wskazała na literę U, jaką znakowano na ranczu jej zwierzęta.

- To chyba wystarczający dowód - szepnęła, nie ruszając się z miejsca. Miała ochotę oprzeć czoło na kolanach i wybuchnąć płaczem. - Ciekawe, ile...

- Niech szeryf się tym zajmie - przerwał jej Aaron, równie wstrząśnięty i oburzony znaleziskiem jak ona.

Przeklinając głośno, przeciągnął łopatą po luźno ubitej ziemi; pod wierzchnią warstwą trafił na jakiś



dziwny przedmiot. Jillian schyliła się. Była to brudna rękawica wykonana z dobrej jakościowo skóry. Tego typu rękawic używali kowboje naprawiający druciane ogrodzenia. Jillian ogarnęło podniecenie.

- Któryś z nich musiał ją zgubić podczas zakopywania skór. - Wyprostowała się, trzymając rękawicę oburącz. - Zapłaci mi ten drań! Nie puszcze tego płazem! Większość moich pracowników umieszcza po wewnętrznej stronie swoje inicjały... - Odwinęła brzeg rękawicy i ujrzała wyryte w skórze litery.

Aaron patrzył, jak krew odpływa jej z policzków. Po chwili podniosła powieki i, blada jak kreda, bez słowa podała mu utyłaną w ziemi rękawicę. Skierowawszy wzrok na wywiniętą krawędź, zobaczył inicjały: AM.

Z kamiennym wyrazem twarzy przeniósł z powrotem wzrok na twarz Jillian.

- Zdaje się, że znów jesteśmy w punkcie wyjścia - rzekł chłodno, oddając jej rękawicę.

- Trzymaj. To dowód rzeczowy.

Jej oczy płonęły gniewem.

- Uważasz mnie za idiotkę? - spytała. - Naprawdę myślisz, że uwierzę, że miałeś z tym cokolwiek wspólnego?

Obróciła się na pięcie i odeszła, zanim zdążył zareagować. Przez kilka sekund stał bez ruchu i nagle wszystko zrozumiał. Dogonił Jillian, kiedy przelażała przez głązy na skraju kanionu, i chwycił ją za łokieć. Oddech miał szybki, urywany.

- Może faktycznie tak myślę. - Przytrzymał ją mocniej, kiedy usiłowała mu się wyrwać. - Może chcę, żebyś mi powiedziała, dlaczego nie wierzysz w moją winę.

- Bo... wiele rzeczy w twoim zachowaniu nie podoba mi się, ale... - Głos jej zadrżał.

Przełknęła ślinę, próbując zapanować nad emocjami. - Ale prawość nie musi iść w parze z uprzejmością. Jesteś uczciwy; nie przeciąłbyś mojego ogrodzenia i nie poćwiartował moich krów.

Słowa Jillian poruszyły go do głębi, jeszcze bardziej poruszyły go łzy w jej oczach.

Nie umiał pocieszać płaczących kobiet. Niezdarnie wyciągnął rękę i pogładził ją po policzku.

- Jillian...

- Nie! Nie uzalaj się nade mną. Usiłowała się odwrócić, ale jej nie puścił. Biło od niego ciepło, zrozumienie. Poczula się bezpieczna, ale trochę się też wystraszyła: co będzie później, kiedy Aaron zabierze swoje silne, opiekuńcze ramiona?

- Nie walcz - szepnął, gładząc ją po włosach. - Oprzyj się. Nie zrobię ci krzywdy.

Nienawidziła łez, ale nie umiała ich powstrzymać: po prostu trysnęły jej z oczu. Stali w suchym, skalistym kanionie, w ciepłych promieniach słońca; ona wstrząsana gwałtownym szlochem, on tuląc ją do siebie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nie miała czasu uważać się nad sobą. W kanionie wykopano ponad dwieście bydłęcych skór, wszystkie z wypalonym znakiem Utopii. Jillian rozmawiała z szeryfem, z przedstawicielami Związku Hodowców Bydła, z licznymi sąsiadami, którzy dzwoniли z wyrazami współczucia lub składali jej wizyty. Łzy i rozpacz ustąpiły miejsca wściekłości -

uczuciu znacznie bardziej użytecznemu, które pomogło jej przetrwać kolejne dni.

Przez dwa tygodnie o niczym innym nie mówiono, zarówno u niej na ranchu, jak i w całej okolicy. Nic dziwnego, była to największa kradzież bydła od trzydziestu lat. Dopiero gdy rozmowy na ten temat ucichły, Jillian zaczęła dochodzić do siebie. Ale z każdym mijającym dniem coraz mniej wierzyła, że dochodzenie przyniesie zadowalające rezultaty.

Pogodziła się ze stratą bydła, bo co innego mogła zrobić, jednakże nie umiała pogodzić się z myślą, że złodziejom ujdzie wszystko bezkarnie.

Byli sprytni, musiała im to przyznać. Nawet najstarsi ranczerzy mówili, że o tak sprawnie przeprowadzonej akcji dawno nie słyszeli. Przecięte ogrodzenie, podrzucona rękawica... wszystko po to, aby skierować jej podejrzenia na Murdocka. Tym sposobem złodzieje chcieli zyskać czas, by zatrzeć po sobie ślady.

Pocieszała się, że przynajmniej to jedno im się nie udało - od początku nie wierzyła w winę Aarona.

Przyjęła za to jego pomoc i wsparcie. Po prostu nie miała wyboru. Kiedy doszła do siebie po ataku płaczu tam w kanionie, próbowała się opierać; twierdziła, że sama sobie poradzi, lecz Aaron okazał się równie uparty jak ona. Zabrał ją do szeryfa, dotrzymywał jej towarzystwa w Związku Hodowców, a któregoś wieczoru wyciągnął ją do kina odległego o sześćdziesiąt kilometrów. Przez cały czas traktował ją normalnie, nie jak kalekę życiową, nad którą trzeba się litować. I chyba za to była mu najbardziej wdzięczna.

Żyła dniem dzisiejszym, starając się nie myśleć o przyszłości. Miała mnóstwo zajęć i obowiązków, które nie pozostawiały jej czasu na rozpacz. Najważniejszą sprawą było krycie Deliii.

Nadszedł długo oczekiwany dzień. Aaron przybył do Utopii z Samsonem oraz dwoma swoimi ludźmi. Razem z Gilem i jego pomocnikiem mieli przytrzymać ogiera za przypięte do uprzęży pasy. Wiadomo było, że gdy Samson poczuje zapach klaczy w rui, stanie się równie nieokiełznany, jak jego wiąjący na wolności przodkowie.

Wyprowadziwszy na padok Delilę, Jillian zerknęła na reproduktora. Co za wspaniałe zwierzę! Silne, piękne, nie całkiem oswojone. Następnie przeniosła wzrok na Aarona.

Wysoki, szczupły, o wystających spod kapelusza ciemnych włosach, sprawiał wrażenie odprężonego, ale wiedziała, że pod tą spokojną powierzchownością tkwi siła, namiętność i żar.

Pasowali do siebie - mężczyzna i koń. Mężczyzna, mój kochanek... Serce zabiło jej mocniej. Nie potrafiła zapomnieć nocy, którą spędziła w jego domu, ani przestać marzyć o następnych. Dzięki Aaronowi przestała tłumić w sobie emocje. Aż się bała tej zmiany, jaka się w niej dokonała, ale kiedy patrzyła na Aarona, strach gdzieś zniknął.

Powietrze było ciężkie i parne, jak pięć minut przed burzą, a Delila drżała z podniecenia.

Samson wierzgał, próbował zerwać się z pasów, za które trzymali go mężczyźni.

Zarzucał łbem na boki i rżał, wzywając do siebie klacz. Jillian zacisnęła mocniej dłoń na uździe. Nie była pewna, czy Delila wierci się nerwowo ze strachu przed tym, co ją czeka, czy z niezadowolenia, że ktoś ogranicza jej swobodę. Szeptem starała się uspokoić klacz. Nic to nie dało. Delila zarżała w odpowiedzi na długie, przeciągłe rżenie Samsona, po czym stanęła dęba, niemal wyrywając uzdę z ręki Jillian. Patrząc na uniesione kopyta, Aaron poczuł, jak mu ciarki przechodzą po krzyżu.

- Niech któryś pomoże jej przytrzymać klacz - polecił swoim pracownikom.

- Nie! - Jillian poprawiła uchwyt na uździe. Koszula lepiła się jej do pleców. - Ona nikomu poza mną nie ufa. Po prostu bierzmy się do roboty.

Ogier szalał; sierść miał lśniąca od potu, spojrzenie dzikie. Pięciu mężczyzn próbowało go okiełznać. Wreszcie stanął na dwóch tylnych nogach, na moment znieruchomiał w tej pozycji i pokrył klacz.

Zwierzęta nie zważały na obecność ludzi; kierował nimi pierwotny, potężny instynkt.

Jillian zapomniała o bolących ramionach, o strugach potu lejących się po twarzy; całą siłę i uwagę skupiła na tym, aby Delila nie zrobiła sobie krzywdy.

Kopulacja dużych, zdrowych zwierząt była pięknym i fascynującym zjawiskiem, choć dość powszechnym dla kogoś, kto się wychował na ranczu. Jillian wielokrotnie widywała, jak samiec z samicą się parzą, i nieraz pomagała, gdy krycie odbywało się pod nadzorem człowieka, ale dopiero teraz, po raz pierwszy w życiu, zdała sobie sprawę z ogromnej siły popędu płciowego. I zrozumiała, że popęd odczuwany przez ludzi może być równie silny i gwałtowny.

Zaczęło padać. Duże ciężkie krople omywały jej twarz. Któryś z mężczyzn zaklął: skórzane pasy stawały się śliskie.

Napotkała wzrok Aarona. Serce zaczęło jej bić szybciej. Miała ochotę się z nim kochać. Uświadomiwszy to sobie, zaczerwieniła się po uszy. Uśmiechnął się: odgadł jej pragnienia. Kolana się pod nią ugięły; ogromnym wysiłkiem woli wzięła się w garść, musi przecież sprawować kontrolę nad Delilą. Nie odwróciła jednak oczu.

Po chwili podniecenie ustąpiło miejsca cichej satysfakcji. Pomagają stworzyć nowe życie. Wiedziała, że odtąd pomiędzy nią a Aaronem będzie istniała nierozzerwalna więź.

Konie wreszcie się rozdzieliły. Boki im falowały, deszcz spływał po ich grzywach i grzbietach. Gil zaśmiał się, rozbawiony czymś, co powiedział któryś z mężczyzn. Jillian, skupiona na klaczy, nie zwracała na nich uwagi. Przemawiając do niej czule, odprowadziła Delilę do stajni i zaczęła ją szczotkować; robiła to tak długo, dopóki klacz się nie uspokoiła.

- No co, moja śliczna... - Przytuliła twarz do końskiej szyi. - Niełatwo zapanować nad popędem, prawda?

- Tobie też?

Obejrzawszy się przez ramię, w drzwiach boksu zobaczyła przemokniętego do nitki Aarona. Zdawał się zupełnie swym stanem nie przejmować. Przyglądał się jej badawczo, jakby szukał na jej twarzy śladów napięcia.

- Ależ ja nie jestem koniem - odparła lekko i ponownie skupiła uwagę na Delili.

Aaron wszedł do boksu i poklepał klacz po zadzie.

- Już ochłonęła?

- Tak. Swoją drogą dobrze, że nie puściliśmy ich samopas. Ona i Samson są tak pełni temperamentu, że mogliby sobie wyrządzić krzywdę - dodała ze śmiechem. - A źrebak wyrośnie na czempiona. Czuję to. Skojarzenie dwóch tak wspaniałych istot musi zaowocować czymś niezwykłym.

Impulsywnie zarzuciła ręce na szyję Aarona i pocałowała go w usta. Zaskoczony, na moment znieruchomiał. Po raz pierwszy odkąd się poznali, Jillian spontanicznie okazała mu swą sympatię. Pragnął jej do bólu, ale... Tak, na pewno czuł coś więcej niż zwykły fizyczny pociąg.

Cofnęła się, wciąż szczęśliwa i uśmiechnięta. Zanim zdołała spostrzec jego poważną minę, przyciągnął ją z powrotem do siebie. Westchnęła błogo.

- Nie powinieneś zająć się Samsonem? - spytała cicho.

- Moi ludzie pewnie już go odprowadzili na ranczo.

Potarła policzkiem o mokrą koszulę. Ucieszyła się, że będą mieli chwilę dla siebie.

- Zaparzę nam kawy.

- Świetnie. - Objął ją ramieniem i ruszyli ku domowi. - Szeryf się odzywał?

- Tak, ale nie ma dla mnie żadnych nowych wiadomości.

- W całej okolicy ludzie tylko o tym gadają.

- Wiem. I może to coś da. Wszyscy ranczerzy w promieniu setek kilometrów obiecali mieć oczy i uszy otwarte. - Przystanęli w sieni, by zdjąć zabłocone buty. Jillian przeczesła ręką włosy,

strząsając z nich krople deszczu. - Zastanawiam się nad wyznaczeniem nagrody dla osoby, która doprowadzi do ujęcia złodziei.

- Niezły pomysł.

Deszcz bębnił w okna i dach, Jillian parzyła kawę, a Aaron siedział przy stole, rozglądając się po ciepłej, słabo oświetlonej kuchni i myśląc o tym, że właśnie tak mogłoby być, tak sielsko i dobrze, gdyby mieszkali razem. Gdyby nie musieli się rozstawać.

Nagle ocknął się. Zrozumiał, co mu chodzi po głowie. Małżeństwo. Wspólne życie z Jillian. Wspólny dom. Przez chwilę tkwił bez ruchu, próbując się oswoić z tą myślą. O dziwo, nie miał z tym najmniejszych problemów.

- Wiesz co? Ja to zrobię - oznajmił, wstając. - Wyznaczę nagrodę.

Zamierzała się sprzeciwić, ale nie dał jej dojść do słowa.

- Nie protestuj. Wysłuchaj mnie. Kiedy mój ojciec dowiedział się o przeciętym ogrodzeniu, strasznie się rozzłościł - ciągnął patrząc, jak Jillian wyjmuje z szafki kubki. -

Ludzie wciąż pamiętają opowieści o starych waśniach między Murdockami i Baronami.

Niektórzy gotowi są pomyśleć, nawet jeśli się do tego głośno nie przyznają, że Paul Murdock chce się wzbogacić na twojej wołównie.

Jillian nalala kawę do kubków i podeszła do stołu.

- Ja tak nie myślę.

- Wiem. - Wyciągnął do niej rękę. Kiedy podała mu kubek, odstawił go na stół, po czym ścisnął jej dłoń. - I nawet sobie nie wyobrażasz, ile to dla mnie znaczy.

Nie wiedziała, jak zareagować, więc nic nie mówiła, tylko patrzyła mu w oczy.

- Ta kradzież źle wpłynęła na stan zdrowia ojca. Kilka lat temu ucieszyłoby go, gdyby wszyscy myśleli, że postąpił nieetycznie lub bezprawnie. Ale dziś jest stary i chory. Twojego dziadka uważał za wroga, lecz rozumiał go i szanował. Byli podobni do siebie. Wydaje mi się, że lepiej by się poczuł, gdyby mógł w jakiś sposób pomóc jego wnuczce. Podobnie jak ty, nie lubię nikogo prosić o przysługę...

Skierowała wzrok na ich złączone ręce: opalone, silne, spracowane.

- Bardzo go kochasz, prawda?

- Bardzo - potwierdził bezbarwnym głosem, takim samym jak wtedy, gdy jej powiedział, że jego ojciec umiera.

Tamtego dnia jego ton zdziwił Jillian. Dziś już nie. Dziś znała Aarona dużo lepiej.

- Byłabym szczęśliwa, gdybyś wyznaczył nagrodę. Dolać ci kawy?

- Nie. - Oczy zaśniły mu figlarnie. - Pomyślałem sobie, że powinnaś zrzucić mokre ubranie. Jeszcze się przeziębisz...

Roześmiewszy się wesoło, usiadła przy stole.

- Wiesz, że zamierzam cię pokonać podczas zawodów w Dniu Niepodległości?

- Tak? Zobaczymy, czy dasz radę.

- Lubisz hazard?

- Owszem.

- Stawiam pięćdziesiąt dolarów, że w tym roku mój buhaj Casanova zdobędzie błękitną wstążkę.

Aaron wpatrywał się w fusy na dnie kubka z taką miną, jakby dumał nad jej propozycją. Wiedział jednak, że jeśli opowieści, które słyszał, są prawdziwe, to przyjmując zakład, z góry skazuje się na przegraną.

- Dobrze. - Uśmiechnął się. - A ja stawiam pięćdziesiąt, że w konkursie wiązania cieląt uzyskam lepszy czas.

- Świetnie.

- W czymś jeszcze startujesz?

- Chyba nie. - Przeciągnęła się. Nieczęsto zdarzało jej się siedzieć beczynnie w środku dnia. - Wyścig w beczkach mnie nie interesuje, a jazdy na oklep nie zamierzam próbować z dwóch powodów.

- Z jakich?

- Po pierwsze faceci zaczęliby narzekać, że jest to typowo męska konkurencja, a po drugie - wzruszyła ramionami - nie chcę złamać sobie karku.

Przyszło mu do głowy, że jeszcze tydzień temu nie przyznałaby się do tego.

Pochyliwszy się nad stołem, pocałował ją gorąco.

- Wszystko przez twoje usta... - szepnął Aaron, przytrzymując ją za szyję. - Kiedy się do nich przysysam... mmm... nie potrafię się odessać.

Oddech miała przyśpieszony.

- Jest środek dnia...

- Wiem. To co, zaprosisz mnie w końcu do swojej sypialni?

Jej w półprzymknięte oczy otworzyły się. Ujrzał w nich pożądanie i zażenowanie, niezwykle podniecającą mieszankę.

- Muszę... muszę sprawdzić...

- Co? - spytał, nie przerywając pieszczoty. Jęknęła cicho. Czowała, jak po całym jej ciele rozchodzi się żar.

- Nie wiem... Nie potrafię jasno myśleć.

Tego właśnie pragnął. Żeby nie myślała, a raczej żeby myślała wyłącznie o nim. Nie o ranczu, nie o skradzionych krowach, nie o swoich planach i ambicjach, lecz o nim. Może wtedy pokocha go równie mocno jak on ją.

- Nie myśl - szepnął. - Czuj.

Objęła go za szyję. I nagle zaląła ją silna fala emocji, od której nie było ucieczki.

- Chcę się z tobą kochać. - Przytuliła się mocniej. - Nawet nie wiesz, jak bardzo.

- Co takiego? - spytał z łobuzerskim uśmiechem. - W środku dnia?

- Tak. Teraz. Natychmiast. - Opuściwszy ramiona, podeszła do szafki, na której stał ekspres do kawy, wyłączyła go, po czym wróciła do Aarona i podskoczywszy, otoczyła go nogami w pasie. - Wiesz, gdzie są schody?

- Znajdę je.

Przycisnęła usta do jego ucha.

- Pierwsze piętro, drugie drzwi na prawo... Zastanawiała się, jak by zareagował, gdyby wiedział, że jest jej pierwszym kochankiem. Bo raptem uświadomiła sobie, że tamten mężczyzna, z którym poszła do łóżka pięć lat temu, był nic nieznaczącym, jednorazowym incydentem w jej życiu. Ale nie chciała rozmawiać z Aaronem o przeszłości; nie chciała też mówić mu o namiętności, jaką w niej rozbudził. Po prostu nie była pewna własnych uczuć.

Oparła głowę na jego ramieniu i zamknęła oczy. Zamierzała cieszyć się życiem i nie martwić o konsekwencje.

- Coś kiepsko z twoją formą, Murdock - zażartowała. - Nie przypuszczałam, że po wejściu na pierwsze piętro serce będzie ci tak mocno walić.

- Twoje też niezgorzej stuka, mimo że zostałam wniesiona.

Rozejrzał się z zaciekawieniem po sypialni. Pokój urządzony był skromnie - proste meble, goła podłoga, stonowane barwy; na stoliku nocnym pozytywka, na ścianie akwarelka przedstawiająca zachód słońca. Jillian zdecydowanie nie należała do osób, które lubią zagracać swoją przestrzeń.

- Niewiele jest tu do zobaczenia - powiedziała, widząc, jak Aaron wodzi wzrokiem po ścianach. - Spędzam na górze bardzo mało czasu.

- Ale cały pokój pachnie tobą.

Zaczęła rozpinać mu koszulę. Po chwili opadli na łóżko. Na zewnątrz wciąż padał

deszcz; bębnił w szyby, w dach. A oni jeszcze nie zdążyli wyschnąć. W mokrym ubraniu, z mokrymi włosami, czuli się niemal tak, jakby leżeli na polu, w zraszanej deszczem trawie.

Tkwiał bez ruchu, podczas gdy ona dłońmi i językiem pieściła jego ciało. Nie przypuszczała, że to może być takie podniecające.

- Co to? - spytała, dotykając blizny na biodrze Aarona.

- Pamiątka po brahmie.

- Jeździłeś na byku?

- Tak, na rodeo. Kiedy byłem młody i głupi.

Zamilkła. Skoncentrowana na zwiedzaniu, wędrowała coraz niżej. Ciszę przerywał

rytmiczny szum deszczu za oknem oraz dwa przyśpieszone oddechy. Leniwe pieszczoty stawały się coraz bardziej intensywne. Krew dudniła w skroniach, płomień trawił trzewia, żar pochłaniał ciała. Splecione ręce i nogi, usta zwarte w pocałunku, skóra lśniąca, mokra od potu. Świat ograniczony do tu i teraz, emocje sięgające zenitu.

Aaron uważnie obserwował twarz Jillian, na której malowały się przeróżne uczucia: radość, satysfakcja, euforia, wreszcie upojenie.

Nie umiała dłużej powstrzymać rozkoszy. On również nie. Wstrząsani serią dreszczy, wzniesli się w przestworza pełne grzmotów i huków błyskawic. A potem nastąpiła cisza.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Długa męcząca droga do miasta i wysokie temperatury nie mogły przyćmić podniecenia Jillian. Dzień Niepodległości wszyscy hucznie świętowali. W Montanie, jak co roku, zorganizowano wielki festyn połączony z rodeo.

Od samego rana panowało duże ożywienie. Z każdą minutą przybywało coraz więcej ranczerów i kowbojów z żonami i narzeczonymi, a także tych samotnych, szukających dla siebie pary. Wystawiano do konkursu zwierzęta, na ocenę sędziów czekały ręcznie szyte narzuty na łóżka,



wypieki, konfitury oraz marynaty. W powietrzu wyczuwało się nastrój oczekiwania.

Kowboje paradowali w czystych koszulach, wyprasowanych dżinsach, paskach z lśniącymi klamrami, wypastowanych butach i eleganckich kapeluszach trzymany na specjalne okazje. Dzieci miały na sobie świeżo wyprane stroje, które pod koniec na ogół były czarne od brudu.

Dla Jillian był to pierwszy od dłuższego czasu dzień wolny od pracy. Na dwadzieścia cztery godziny zamierzała zapomnieć o kłopotach, zmartwieniach, księgach rachunkowych i obowiązkach, jakie ciążyły na niej, odkąd została właścicielką Utopii. Postanowiła cieszyć się słońcem, atmosferą współzawodnictwa i zabawy; po prostu beztrudnie spędzić dzień.

W pobliżu padoków i stajni słychać było podniecone głosy. Powietrze wypełniał

zapach zwierząt. Z drugiego końca placu dolatywały dźwięki skrzypiec. Po zachodzie słońca zawsze przygrywał zespół muzyczny, były tańce. Wcześniej organizowano różne konkursy i zawody, zarówno dla dzieci, jak i dla dorosłych. Przez cały dzień głodnych wabiły najrozmaitsze potrawy. Nagle Jillian poczuła, jak ślina napływa jej do ust. Obejrzawszy się, zobaczyła kobietę z koszem pełnym pachnących, jeszcze ciepłych bułeczek z jabłkami.

Nie skusiła się. Ruszyła w stronę zagrody, w której byki czekały na ocenę sędziów.

Zgłoszonych było sześć zwierząt, ciężkich, masywnych, o lśniących rogach i zadbanej sierści.

Jillian wodziła po nich badawczo wzrokiem, odnotowując ich mocne i słabe strony. Nie uległo wątpliwości, że najgroźniejszym rywalem Casanovy będzie buhaj wystawiony przez Murdocków, który trzy lata z rzędu zdobywał główną nagrodę.

Ale w tym roku nie zdobędzie, pomyślała Jillian; w tym roku mój zwycięży. Czas na nowego czempiona. Może tamten ważył odrobinę więcej, za to Casanova był szerszy w grzbiecie, miał doskonale umaszczenie i idealny kształt łba.

Zadowolona z siebie, wsunęła ręce do kieszeni. Tak, pierwsze miejsce i błękitna wstęga przynajmniej częściowo wynagrodzą jej problemy, z jakimi borykała się od paru tygodni.

- Potrafisz rozpoznać zwycięzcę? Chociaż głos, który zadał pytanie, był słaby, to jednak brzmiały w nim resztki dawnej siły. Jillian obróciła się. Jej oczom ukazał się Paul Murdock, blady jak ściana, opierający się na lasce. Ale w jego żywych oczach kryło się wyzwanie.

- Owszem, potrafię - odparła, kierując wzrok na swojego byka.

Starzec roześmiał się i również utkwił spojrzenie w Casanovie. Tak, on też umiał

bezbłędnie wskazać, które zwierzę zdobędzie nagrodę. Po jego twarzy przemknął cień zazdrości.

Przez krótki moment żałował, że nie można cofnąć czasu. Gdyby znów był mężczyzną w kwiecie wieku, gdyby miał pięćdziesiąt lat i był właścicielem tego wspaniałego buhaja...

- Całkiem niezły ten twój byczek - mruknął. Jillian uśmiechnęła się pod nosem.

- Drugie miejsce to też powód do dumy - oznajmiła lekkim tonem.

- Proszę, proszę! - Oczy starca się śmiały.

- Clay byłby z ciebie dumny. Kto by pomyślał, że takie młode dziewczę będzie potrafiło zarządzać tak dużym ranczem? Ale cóż, czasy się zmieniają.

Wyczuła smutek w jego głosie. Właściwie to rozumiała starego człowieka, jego niechęć do postępu i tęsknotę za dawnymi czasami.

- Ta kradzież... - Zamilkł. - To rzecz haniebna! Niewybaczalna! Dawniej za takie przestępstwo skazywano na stryczek.

- Nawet najgorsza kara dla winowajcy nie sprawi, że odzyskam to, co moje.

- Wiem. Aaron mówił, co znaleźliście w kanionie. - Murdock wpatrywał się w byki; w znacznej mierze od nich zależał zysk ranczerów. Po chwili przeniósł z powrotem spojrzenie na dziewczynę. - Posłuchaj. Twój dziadek i ja często się kłóciliśmy. To był stary zadziorny drań, w dodatku uparty jak osioł.

- Zgadza się - przyznała Jillian. - Dlatego tak świetnie się rozumieliscie.

- Owszem, rozumieliscie się. Gdyby któregoś z nas okradziono, to mimo wzajemnej wrogości staralibyśmy się sobie pomóc. Prywatnie właśnie zeszyby na dalszy plan... Jesteśmy ranczerami. - W głosie starca pobrzmiwała duma. - Ranczer nie okrada ranczera.

- Wiem. I ani przez moment nie wierzyłam, że Murdockowie pokusili się na moje bydło - oznajmiła. - Gdybym tak myślała, odczułby to pan na własnej skórze, panie Murdock.

Pokiwał z uznaniem głową.

- Dobrze cię stary Clay wychował, moje dziecko. Nadal jednak uważam, że babie na ranczu przydałby się facet.

- Oj, panie Murdock! A już zaczynałam pana lubić.

Zadowolony z riposty, wybuchnął gromkim śmiechem.

- Starca o konserwatywnych poglądach nie sposób zmienić.

Zmrużył oczy, dosłownie o parę milimetrów, w identyczny sposób, jak jego syn.

Widząc to, Jillian pomyślała sobie, że za czterdzieści lat Aaron też taki będzie: silny psychicznie, trochę złośliwy.

- Doszły mnie słuchy, że wpadłaś w oko mojemu synowi - kontynuował po chwili Paul Murdock. - Muszę przyznać, że chłopak ma dobry gust.

- Wierzy pan we wszystko, co słyszy?

- Jeśli to nieprawda, to znaczy, że mam syna durnia - stwierdził starzec. - Mężczyzna potrzebuje kobiety, żeby się ustatkować.

- Czyżby?

- Och, nie irytuj się, dziecino! Dawniej spralbym synowi tyłek, gdyby choć spojrział na Baronównę, ale czasy się zmieniają - rzekł ze smutkiem w głosie. - Czy tego chcemy, czy nie, nasze rancza graniczą ze sobą od stu lat.

Niedbałym gestem Jillian otrzepała rękaw.

- Nie szukam mężczyzny, którego mogłabym ustatkować, panie Murdock. I nie interesuje mnie scalenie naszych rancz.

- Czasem dzieją się rzeczy, które nas samych wprawiają w zdumienie. - Przyjrzał się jej badawczo. - Na przykład moja Karen. Nigdy w życiu nie przypuszczałem, że zakocham się w tak pięknej, mądrej kobiecie. A tym bardziej, że ona mnie zechce.

Jillian roześmiała się wesoło, po czym wzięła starca pod rękę, zaskakując ich oboje.

- Coś mi się wydaje, że próbuje pan zakopać topór wojenny - zauważyła lekkim tonem. - Nie, nie, niech się pan nie denerwuje - dodała, czując, jak starzec napina mięśnie. -

Gotowa jestem zaryzykować rozejm. Aaron i ja... doskonale się rozumiemy. Lubię pańską żonę, a pana... pana chyba zdołam polubić.

- Jakbym słyszał twoją babkę. Bardzo mi ją przypominasz.

Wolnym krokiem ruszyli przed siebie. Jillian zauważyła, że ludzie przyglądają się im z zaciekawieniem. No tak, Baron z Murdockiem pod rękę; czasy faktycznie się zmieniły.

Zastanawiała się, jak by Clay zareagował, gdyby ją teraz zobaczył, i uznała, że byłby zadowolony. Zwłaszcza gdyby widział zaskoczone miny innych.

Na widok ojca z Jillian zbliżających się do areny Aaron przerwał rozmowę z zaprzyjaźnionym kowbojem. Jillian pochyliła się w stronę starca i szepnęła mu coś na ucho.

Starzec wybuchnął tubalnym śmiechem. Gdyby Aaron jeszcze jej nie kochał, zakochałby się w tym momencie.

- Czy to nie Jillian Baron idzie z twoim ojcem?

- Co? A tak, ona - potwierdził Aaron, nie patrząc na swego rozmówcę.

- Fajna dziewczyna - kontynuował kowboj. - Słyszałem, że wy... - Urwał, zmrożony spojrzeniem, jakie Aaron mu posłał. - No bo... bo ludzie gadają. Nie mogą się nadziwić, skoro od tylu lat Murdockowie z Baronami mają na pieńku.

- Niech się dziwią.

Kowboj odetchnął z ulgą. Murdockowie, pomyślał; człowiek nigdy nie wie, czego się po nich spodziewać.

- Własnym oczom nie wierzę. - Aaron uśmiechnął się do idącej pod rękę pary. - I co, nie polala się krew?

- Twój ojciec i ja doszliśmy częściowo do porozumienia - oznajmiła Jillian, a starzec przekonał się, że plotki na temat jego syna i wnuczki Claya nie są żadnym wymysłem.

Ludziom naiwnie się wydaje, że jeśli nie będą się dotykać, zdołają ukryć, co ich łączy, ale to się rzadko udaje.

- Karen wrobiła mnie w sędziowanie jakiejś mało ważnej konkurencji - mruknął

starzec. - Ale potem usiądziemy na trybunach i będziemy wam kibicować. - Zerknął na Jillian. - Obojgu wam będziemy kibicować - dodał.

Podpierając się na lasce, odszedł w kierunku stanowiska sędziów. Jillian schowała ręce do kieszeni. Chciała podtrzymać starca, przypilnować, aby go nikt nie potrącił, ale wiedziała, że nie może narzucać się z pomocą.

- Spotkaliśmy się przy boksach - rzekła, kiedy Paul Murdock był już poza zasięgiem słuchu. - Chyba specjalnie tam przyszedł, żeby ze mną porozmawiać. To dobry człowiek.

- Niewiele osób by go tak określiło.

- Niewielu miało takiego dziadka jak Clay Baron.

- Jak się miewasz? - Pokusa była zbyt wielka. Leciutko pogładził ją po twarzy.

- A co, źle wyglądam?

- Przeciwnie. Wyglądasz przepięknie. Roześmiała się szczęśliwa.

- Słońce świeci, a w Święto Niepodległości nie trzeba pracować...

- Spędzisz go ze mną? - Wyciągnął rękę. Wiedział, że jeżeli poda mu swoją w miejscu publicznym, na oczach ludzi uwielbiających plotki, będzie to czymś w rodzaju przypieczętowania uczucia, jakie się między nimi narodziło.

- Już się bałam, że mnie o to nie poprosisz - odparła ze śmiechem, biorąc go za rękę.

Robili to, co robią ludzie na festynach: pili lemoniadę, spacerowali, oglądali zawody.

Czas płynął spokojnie i leniwie. Dzieciaki ganiały z balonami, nastoletnie dziewczynki przekomarzały się z nastoletnimi chłopcami, starcy żuli tytoń i opowiadali niestworzone historie. W powietrzu unosił się zapach jedzenia i zwierząt, a ubrania wciąż były czyste.

Aaron z Jillian podeszli objęci do ogrodzenia, za którym odbywał się konkurs łapania świń. Wysmarowana olejem maciora biegła po błocie, umykając pięciu facetom usiłującym ją dogonić. Tłum kibicował, ryczał ze śmiechu, czasem coś doradzał. Świnia kwiczała, wyslizgiwała się z rąk mężczyzn, oni zaś padali twarzą w błoto i wesoło przeklinali.

- Nie lubisz takich zabaw? - spytała Jillian, widząc lekko zde gustowaną minę Aarona.

- Wolę inne - odparł, odciągając ją od ogrodzenia. - Na przykład w sianie...

Wyrwała mu się i odbiegła kilka metrów. Przez chwilę stał niezdecydowany, nie wiedząc, jak zareagować, ale błysk w jej oczach przesądził sprawę. Dopadł Jillian w dwóch susach, zgarnął ją w ramiona i pocałował. Za nimi rozległy się pełne zachęty okrzyki. Kiedy wreszcie Jillian zdołała się oswobodzić i obejrzała się za siebie, zobaczyła grupę kowbojów, między innymi dwóch własnych pracowników.

- Dziś jest święto - przypomniał jej Aaron. - Wszyscy się bawią.

Zmrużyła oczy. Och, jaki był z siebie dumny! No dobrze, pomyślała; ja też cię zaskoczę.

Widząc uśmiech błakający się po jej twarzy, zastanawiał się, co Jillian knuje.

- Chcesz się bawić?

Nie dając mu szansy odpowiedzieć, zarzuciła mu ręce na szyję i dotknęła wargami jego ust. O ile jego pocałunek był przyjacielski, jej był gorący i namiętny. Aaron nie słyszał

aplauzu ani okrzyków zachęty, ale nie zdziwiłby się, gdyby ziemia się zatrzęsała.

- Tęskniłam wczoraj za tobą - szepnęła, odrywając wreszcie wargi. Cofnęła się krok i z szelmowskim uśmiechem na twarzy sięgnęła po rękę swego kochanka.

Aaron nabrał w płuca powietrza, po czym wolno je wypuścił.

- Dokończymy później.

- Mam nadzieję - powiedziała ze śmiechem. - Chodź, zobaczymy, czy w tym roku Gilowi również uda się wygrać zawody w jedzeniu bułek z jabłkami.

Chodził posłusznie wszędzie tam, gdzie ona chciała, i cieszył się jak chłopiec na pierwszej randce.

Jillian zachowywała się zupełnie inaczej niż zazwyczaj; była pogodna, wesoła, jakby zrobiła sobie jednodniowy urlop od zmartwień i kłopotów. Chociaż chwilami -

niczym prymuskę, która wybrała się na wagary - gryzły ją wyrzuty sumienia, że bawi się tak dobrze.

Gotowa była przysiąc, że słońce nigdy nie świeciło tak jasno, że niebo nigdy nie było tak błękitne i że ona sama nigdy aż tyle się nie śmiała. Ponieważ wiedziała, że taki dzień się szybko nie powtórzy, starała się wykorzystać go w pełni.

Wreszcie rozpoczęło się rodeo. Jillian kręciło się w głowie ze szczęścia, albowiem kilka minut wcześniej Casanova zdobył główną nagrodę.

- Jesteś mi winien pięć dych - powiedziała do Aarona, ściskając w dłoni błękitną wstęgę.

- Zgadza się. - Siedział na ziemi, zmieniając buty. - Ale z wypłatą poczekajmy na rozstrzygnięcie drugiego zakładu.

Oparta o beczkę, słuchała tłumu wiwatującego na trybunach. Czują, że szczęście się do niej uśmiechnęło. Że nie ma takiej rzeczy, z którą by sobie nie poradziła.

Wielu zawodników zebrało się już na zapleczu. Chociaż starali się zachować spokój i nie dać po sobie nic poznać, panowała atmosfera nerwowego podniecenia. Kiedy ogłoszono pierwszą kobiecą konkurencję - jazdę na oklep - Jillian podeszła do ogrodzenia, żeby mieć lepszy widok na arenę.

- Aż dziw, że się nie zgłosiłaś - powiedział Aaron, stając przy niej.

Przechyliła głowę, tak by czołem potrzeć jego ramię.

- Nie, to zbyt... hm, energiczna konkurencja. - Roześmiała się cicho. - A ja zamierzam rozkoszować się dziś lenistwem. - Popatrzyła na niego spod runda kapelusza. - Zauważyłam natomiast, że ty się zgłosiłeś do jazdy na mustangu.

Wzruszył ramionami.

- A co, martwisz się, że nabiję sobie parę guzów?

- W razie czego mam dobrą maść. Wystarczy posmarować obolałe miejsca...

Połąskotał ją lekko w szyję.

- Nie kuś, kusicielko. - Obróciwszy się, płynnym ruchem zgarnął ją w ramiona. -

Wiesz, niewiele trzeba, żebym zrezygnował z tych zawodów. - Zaczął obsypywać ją pocałunkami, nie przejmując się tym, że wokół krąży mnóstwo ludzi. - Droga powrotna na ranczo nie zajęłaby nam dużo czasu. A tam cisza, spokój. Bylibyśmy całkiem sami. No, pomyśl: ciepło, słońko przygrzewa, moglibyśmy się wykapać w stawie...

- Chciałbyś? - Popatrzyła mu w oczy.

- O tak. Popływalibyśmy w chłodnej wodzie, potem wysuszyli się na trawie...

- Dobrze - szepnęła. - Po konkurencji łapania cieląt.

Wolała obserwować zawody, stojąc przy boksach, niż siedząc na trybunach.

Nieopodal młoda dziewczyna w pięknym skórzanym kostiumie denerwowała się przed wyścigiem w beczkach. Obok stary kowboj natłuszczał rękawicę. Od strony budek z jedzeniem wiatr niósł zapach grillowanego mięsa.

Jillian uśmiechnęła się pod nosem. Co jak co, ale jej rodzina na pewno nie czułaby się dobrze w takim miejscu. Drażniłby ją kurz, zapach potu i mięsiwa, przechwałki kowbojów, sprośne dowcipy. Matka z ojcem byłiby tu równie spięci jak ona, Jillian, w operze. Ich dom był w mieście, jej na wsi. W Montanie ludzie akceptowali ją, traktowali normalnie. Całe dzieciństwo sądziła, że jest jakaś wybrakowana, a wcale tak nie było. Po prostu różniła się od brata i rodziców.

Oglądając jazdę na byku, najbardziej niebezpieczną i widowiskową konkurencję rodeo, podziwiała odwagę jeźdźców próbujących utrzymać się przepisowe osiem sekund na wierzgającej masie mięsa. Oczywiście co rusz zdarzały się upadki, a wtedy do akcji przystępowali kłowni, którzy próbowali odciągnąć uwagę byka od leżącego na ziemi zawodnika. Oparta o ogrodzenie Jillian patrzyła, jak prychnący gniewnie byk, który zrzucił

jeźdźca, biega po arenie, a jednocześnie przysłuchiwała się rozmowie, jaką Gil prowadził z Aaronem. Docierały do niej tylko strzępy, bo wokół panował niesamowity hałas. Otóż podobno Aaron wylosował kasztankę o nadzwyczaj ognistym temperamencie. Jillian uśmiechnęła się w duchu. Chętnie sobie popatrzy na zmagania Aarona, ale najpierw pokona go w konkurencji łapania cieląt i wygra kolejne pięćdziesiąt dolarów.

Była szczęśliwa, odprężona, wolna od zmartwień; pewnie już kiedyś w życiu czuła się tak beztrosko, ale nie umiała sobie przypomnieć kiedy. Tym bardziej więc delectowała się tym ciepłym słonecznym dniem i atmosferą radosnej rywalizacji.

Wszystko stało się tak nagle, że nie miała czasu pomyśleć; po prostu rzuciła się na ratunek.

Słyszała wesoły dziecięcy śmiech; widziała też, jak coś czerwonego przelatuje nad ogrodzeniem, a następnie odbija się o ziemię. A potem zobaczyła chłopczyka, który przeciska się między żerdziami i wbiega po piłkę. Nie zastanawiając się, co robi, Jillian przeskoczyła przez ogrodzenie i pognąła za dzieckiem. Dotarł do niej krzyk przerażonej matki, a także pełen gniewu lub strachu głos Aarona wołającego jej imię.

Kątem oka spostrzegła, jak zwierzę zawraca. Krew zastygła jej w żyłach. Po chwili napotkała wściekle spojrzenie byka, ale nie zwolniła kroku. Skoncentrowana na ratowaniu dziecka, nie słyszała ryku na trybunach, poczuła jednak, jak ziemia drży: byk ruszył do ataku.

Nie było czasu na nic. Kierując się instynktem, skoczyła naprzód. Opadła na twardej gruntu,

zakrywając sobą chłopca. Byk przemknął tuż obok.

Leż nieruchomo, powtarzała w myślach, bezlitośnie gniotąc sobą dziecko. Nie ruszaj się, nawet nie oddychaj. Dochodziły ją podniesione głosy, krzyki. Bała się unieść głowę, obejrzeć za siebie. Przynajmniej jestem w jednym kawałku, pocieszała się. Bo gdyby byk ją stratował albo nadział na rogi, chyba by o tym wiedziała.

Ktoś potwornie przeklinał. Zamknęła oczy. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek uda jej się wstać. Dziecko płakało. Przygniotła je mocniej, próbując stłumić wydobywający się spod niej dźwięk.

Kiedy czyjeś ręce chwyciły ją pod pachy, zaczęła się bronić.

- Idiotko, przestań!

Rozpoznawszy głos, przestała się szamotać. Przewróciłaby się, gdyby Aaron jej nie podtrzymał.

- Cholera jasna, kaskaderstwa ci się zachciewa? - Błady jak trup, potrząsnął ją za ramiona. - Nic cię nie boli? Nie zrobiłaś sobie krzywdy?

- Co?

Ponownie nią potrząsnął, tym razem dlatego, że ręce mu drżały. Kręciło się jej w głowie, tak jak wtedy, gdy pierwszy raz zapaliła papierosa. Po chwili zorientowała się, że ktoś ściska jej dłoń. Stała lekko skołowana, słuchając podziękowań zapłakanej matki; obok w ramionach ojca chłopczyk, którego uratowała, darł się wniebogłosy. Boże, to synek Simmonsów! - uświadomiła sobie. Chłopczyk często bawił się na podwórzu, kiedy jego matka wieszała pranie, a ojciec znakował bydło w Utopii.

- Nic mu nie jest, Joleen - zwróciła się do przejętej matki. - Może poza kilkoma siniakami, które mu zrobiłam.

Aaron odciągnął ją na bok, z trudem hamując się, by nie powiedzieć rodzicom, by złoili gówniarzowi skórę.

Jillian trzymała się za głowę; wszystko wirowało jej przed oczami.

- ...zaprowadzić do punktu medycznego.

- Co?

- Powiedziałem, że trzeba cię jak najprędzej zaprowadzić do punktu medycznego.

- Nie trzeba. - Na moment świat pociemniał, potem znów wszystko wróciło do normy.

- Nic mi nie jest.

- Jak będę tego na sto procent pewien, to uduszę cię własnymi rękami.



Oswobodziła się z jego uścisku.

- Przesadzasz. Naprawdę nic mi nie jest - powtórzyła. Ledwo skończyła mówić, osunęła się na ziemię.

Najpierw poczuła, jak żdźbła trawy łaskoczą ją w nadgarstek. Potem poczuła na twarzy coś mokrego. Jęknęła niezadowolona, bo strużki wody spływały jej za kołnierz.

Otworzywszy oczy, zobaczyła jasne i ciemne plamy, jakby grę światła i cieni. Zaciśnęła powieki, po czym maksymalnie skupiona znów otworzyła oczy.

Aaron, blady i posepny, uniósł ją do pozycji półsiedzącej i podetknął jej do ust szklanek wody. Przeniosła wzrok na Gila, który ściskając w dłoni kapelusz, Przeprowadzał z nogi na nogę.

- Nic jej nie będzie - rzekł do Aarona tonem, który miał przekonać wszystkich, a najbardziej jego samego, że nie wyrządziła sobie krzywdy. - Po prostu zemdląca. Kobiety czasem mdleją.

- Guzik prawda - mruknęła Jillian. Nagle zorientowała się, że Aaron podtyka jej nie szklanek z wodą, lecz piersiówkę z koniakiem. Z miejsca oprzytomniała. - Wcale nie zemdlalam.

- W takim razie jesteś świetną aktorką, bo wszystkich oszukałaś - burknął Aaron.

- Ludzie, odsuńcie się; biedne dziecko nie ma czym oddychać. - Spokojny głos Karen Murdock sprawił, że tłum się rozstał. Kobieta uklękła u boku leżącej. Cmokając ze zniecierpliwieniem, zdjęła jej z czoła mokrą ściereczkę i porządnie ją wyżeła. - Faceci nie znają umiaru... - Uśmiechnęła się. - No, kochanie, wzbudziłaś niemałą sensację.

Krzywiąc się, Jillian usiadła.

- Serio? - Przycisnęła głowę do kolan. Siedziała tak, dopóki nie nabrała pewności, że świat znów nie zawiruje jej przed oczami. - Nie mogę uwierzyć, że straciłam przytomność.

Aaron zaklął pod nosem, po czym pociągnął łyk z piersiówki.

- Psiakrew, o mało nie ginie pod kopytami byka, a martwi się, jak chwilowa utrata przytomności wpłynie na jej wizerunek ranczerki.

- Słuchaj, Murdock... - zaczęła gniewnie.

- Już dość narozrabiałaś - przerwał jej, zakręcając butelkę. - Jeśli dasz radę wstać, odwiozę cię do domu.

- Oczywiście, że dam radę! - oburzyła się. - Ale do domu nie jadę.

- Jestem pewna, że nic jej nie dolega - oznajmiła Karen, posyłając synowi ostrzegawcze spojrzenie. Jak na mądrego mężczyznę, zachowywał się wyjątkowo głupio. Z

drugiej strony zakochani mają to do siebie, że myślą sercem, a nie głową.

- Tylko pamiętaj, kochanie... - zwróciła się do Jillian - że znalazłaś się w centrum uwagi.

- Wskazała wzrokiem na zgromadzony wokół tłum. - Jak ci każdy zacznie rękę ścisnąć i gratulować odwagi, będziesz tu tkwiła do wieczora.

Jej słowa trafiły Jillian do przekonania.

- Może masz rację. - Jillian wstała. Szok mijał, powoli narastał ból. Nie chcąc się do niego przyznać, zaczęła strzepywać kurz ze spodni.

- Ale ty, Aaron, nie musisz mnie odwozić. Doskonale sobie sama...

Wbiwszy palce w jej ramię, zaczął ją ciągnąć w stronę placu, na którym stały samochody.

- Chryste, Murdock! O co ci chodzi? - zezłościła się. - Nie zamierzam znosić twoich...

- Uspokój się - warknął.

Tłum rozstępował się. Nawet jeżeli ktoś miał ochotę podejść do Jillian, sroga mina Aarona działała zniechęcająco. Na parkingu Aaron otworzył drzwi furgonetki i wepchnął

Jillian do środka. Nasunęła kapelusz głęboko na oczy i skrzyżowała ręce na piersi. Godziną drogę do domu zamierzała odbyć w milczeniu. Łypnęła gniewnie na Aarona.

O co się wściekał? O to, że dygotała ze strachu, leżąc na środku areny, po której biegał

rozjuszony byk? Że stłukła sobie kolano? Że zemdląca na oczach wszystkich? Psiakrew, zachowywał się tak, jakby popełniła zbrodnię! Ostrożnie pomacała łokieć, z którego zdarła skórę. Hm, zbrodni nie popełniła, za to uratowała dzieciakowi życie. Na myśl o tym uniosła dumnie głowę.

- Któregoś dnia napytasz sobie biedy. Nacisnął mocniej pedał gazu. Strzałka szybkościomierza przekroczyła setkę.

Odwróciwszy się, Jillian wbiła wzrok w jego profil.

- Słuchaj, naprawdę nie wiem, o co ci chodzi. Może wyłożysz wszystko kawa na ławę, bo nie mam ochoty na jakieś uszczypliwe komentarze.

Tak gwałtownie skręcił na pobocze, że straciwszy równowagę, uderzyła o drzwi.

Zanim się pozbierała, Aaron wysiadł z auta i szybkim krokiem ruszył w pole. Pocierając obolałe ramię, Jillian pobięła za nim.

- Do jasnej cholery, co ty wyprawiasz? - Zdyszana, chwyciła go za rękaw. - Jeśli zamierzasz

prowadzić jak wariat, wrócić do domu autostopem.

- Zamknij się.

Oswobodził rękaw. Musiał się od niej oddalić i uspokoić. Wciąż widział rogi, dosłownie kilka centymetrów od ciała Jillian. Gdyby nie trafił lassem, wtedy... Nie, to zbyt przerażające. Nie potrafił o tym myśleć. Potrzeba było trzech solidnych sznurów i kilku par silnych rąk, zanim udało się odciągnąć byka od leżącej na ziemi dziewczyny oraz dziecka.

Boże, o mało nie zginęła! Tak niewiele brakowało...

- Ja? Mam się zamknąć? - Złapała go za poły koszuli. Kapelusz zsunął się jej na plecy.

Oczy płonęły jej furją. - W porządku! Nie zamierzam dłużej znosić twojego towarzystwa.

Możesz sobie wrócić do samochodu i jechać, dokąd zechcesz. Najlepiej do stu diabłów!

Obróciła się napięcie, ale zanim zdołała odejść, porwał ją w objęcia. Wściekła, zaczęła się wyrywać. Nie puszczał. Dopiero kiedy przestała się szamotać, zdała sobie sprawę, że Aaron drży na całym ciele. Delikatnie pogładziła go po plecach.

- Aaron...?

Potrząsnął głową i wtulił twarz w jej włosy. Nie, nie potrzebował oddalenia. Chciał trzymać ją w ramionach, wiedzieć, że jest bezpieczna, że z tego jej nie grozi.

- Boże, Jillian, wiesz, co mi zrobiłaś? Czując, jak łomocze mu serce, nie przestawała gładzić go po plecach.

- Przepraszam - szepnęła, choć prawdę mówiąc, nie wiedziała za co.

- Tak niewiele brakowało. Pięć, może osiem centymetrów. W pierwszej chwili nie byłem pewien, czy cię nie dźgnął.

Byk. Chodzi mu o byka. A zatem Aaronem wcale nie powoduje złość, lecz strach.

Ogarnęło ją wzruszenie.

- Cii. Na szczęście nic mi nie zrobił. To tylko tak groźnie wyglądało.

- Tylko tak wyglądało? - Ujął w dłonie jej twarz. - Nie, Jillian. Był rozjuszony. W ostatniej chwili zarzuciłem mu lasso na łeb. Jeszcze sekunda, dwie, i...

Z trudem przełknęła ślinę.

- Nie... nie wiedziałam. - Krew odpłynęła jej z policzków.

Podniósł jej dłonie do ust, pocałował jedną, potem drugą.

- No dobrze, nie wracajmy już do tego - powiedział trochę spokojniejszym głosem. -

Może trochę zbyt gwałtownie zareagowałem, ale... - Widząc, jaka jest spięta, uśmiechnął się.

- Bardzo bym nie chciał, żeby byk cię podziurawił.

Odprężywszy się nieco, odwzajemniła jego uśmiech.

- Ja też nie. Dzięki Bogu, że skończyło się na obtarciach i siniakach.

Pochylił się i pocałował ją tak delikatnie, że z wrażenia znów zakręciło się jej w głowie. Ale tym razem nie zemdląca. Czowała, że ten pocałunek jest inny, że... Nie potrafiła tego określić.

Po chwili Aaron oderwał od niej usta. Wiedział, że musi powiedzieć Jillian prawdę, wyznać jej miłość. Ale jeszcze nie teraz. Ponieważ była jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek kochał i z którą pragnął spędzić resztę życia, postanowił zaczekać z oświadczeniami na odpowiedni moment.

Ruszyli z powrotem do stojącej na poboczu furgonetki.

- Najpierw przygotuję ci gorącą kąpiel - rzekł, asekurując ją przy wsiadaniu. - A potem zrobię kolację.

- Hm, zaczynam dostrzegać korzyści płynące z utraty przytomności - powiedziała ze śmiechem.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

W drodze na rancho Jillian myślała o troskliwej opiece, jaką Aaron ją otaczał.

Dotychczas nikt nigdy się nad nią nie trząsał. Zawsze była zdrowym i silnym dzieckiem. Kiedy coś jej dolegało, rodzice dzwonili po lekarza. Wcześniej w życiu nauczyła się, że im mniej marudzi i narzeka, tym większa szansa, że lekarz nie wyciągnie z torby igły ze strzykawką.

Dziadek z kolei traktował guzy i obtarcia jak coś normalnego. Uważał, że należy je przemyć i wracać do pracy.

Nieraz się zastanawiała, jak to jest, kiedy ktoś się nad człowiekiem użala, kiedy z czułością opatruje jego rany i delikatnie całuje obolałe miejsca...

Może tu, na ranchu, ominie ją atmosfera zabawy, może nie obejrzy innych konkurencji, może cisza będzie dzwonić w uszach, ale... Ale we dwoje też można się wspaniale bawić; niepotrzebna do tego wrzawa, głośna muzyka i tłum.

W Utopii panował spokój, bezruch i cisza. Upłynie wiele godzin, zanim ktokolwiek zakłóci tę cudownie senną atmosferę.

- Wiesz, chyba nigdy nie byłam tu sama - powiedziała Jillian.

Przez moment siedziała w furgonetce, rozkoszując się spokojem. Przyszło jej do głowy, że mogłaby wrzasnąć na całe gardło i nikt by jej nie usłyszał. W końcu wysiadła, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

- Zawsze ktoś kręci się w pobliżu, jeden pracuje, inny gra w karty, czyjaś żona wiesza pranie lub zbiera warzywa w ogródku, dzieci ganiają po polu... Jak się zastanowić, tworzymy tu taką małą społeczność.

- Niezależną i samowystarczalną - dodał Aaron. Były to cechy, które charakteryzowały także Jillian. Między innymi dlatego tak bardzo go pociągała.

- To prawda. Ale musimy być samowystarczalni. Tak łatwo zostać odciętym od reszty świata. - Uśmiechnęła się. - To dobrze, że wielu moich pracowników ma żony i dzieci. Wolę takich usatkwanych niż sezonowych, którzy ciągle wędrują z miejsca na miejsce.

Rozejrzała się wkoło. Jakoś nie miała ochoty wejść do środka. Coś ją powstrzymywało, coś jakby było nie tak, ale nie wiedziała co. Może ta cisza tak dziwnie na nią działa?

Aaron zauważył wyraz skupienia na jej twarzy.

- Co się stało?

- Nie wiem, mam jakieś złe przeczucie... - Wzruszyła ramionami. - Pewnie wyobraźnia płata mi figla. - Wyciągnąwszy rękę, nasunęła Aaronowi kapelusz na czoło.

Podobało jej się, jak rondo ocienia mu twarz. - Wspominając o gorącej kąpieli, nie mówiłeś, że chciałbyś umyć mi plecy, co?

- Nie, ale dam się namówić. Przytuliwszy się, popatrzyła mu w oczy.

- A czy ja ci mówiłam, jaka jestem oboląa?

- Nie, ani słowem o tym nie napomknęłaś.

- Bo nie lubię narzekać...

- No, ponarzekaj.

- Dobrze. A więc mam jedno czy dwa miejsca, które strasznie mnie pieką.

- Ból likwiduje pocałunek. Chciałabyś, żebym je pocałował?

- Mmm - westchnęła. - Jeśli to nie za duży problem.

- Skądże. Lubię pomagać w potrzebie. Zaczął ją prowadzić w stronę ganku. Po paru krokach Jillian stanęła jak wryta, po czym wyrwała się z objęć Aarona i rzuciła pędem do zagrody.

- Jillian! - Aaron pognał za nią.

Jak to możliwe, że wcześniej tego nie zauważyła! Dysząc ciężko, oparła się o płot. W środku było pusto. Pusto! Zacisnąwszy pięści, popatrzyła na zawieszoną w cieniu butelkę. Poidło z wodą lśniło w słońcu. Zboże, które zostawiła w wiadrze, było prawie nietknięte.

- Co się dzieje?

- Mały... Zabrali małego. - Uderzała rytmicznie ręką o płot. - Weszli na moje podwórze, niemal pod sam dom, i znów mnie okradli.

- Może któryś z pracowników zamknął go w oborze?

Wciąż uderzając ręką o płot, potrząsnęła przecząco głową.

- Pięćset sztuk to za mało! Musieli jeszcze tu przyjść i ukraść cielaka. Powinnam była zostawić na straży Joego. Proponował. Albo sama zostać.

- Chodź, zajrzyjmy do obory - powiedział Aaron.

Popatrzyła na niego smętnym wzrokiem.

- Jego tam nie ma.

Wolałby, żeby płakała, ciskała przekleństwa, niż żeby mówiła tak zrezygnowanym tonem.

- Może nie ma, ale trzeba się upewnić. Potem sprawdzimy, czy coś jeszcze zginęło, i zawiadomimy szeryfa.

- Szeryfa! - Parsknęła śmiechem. Tępym wzrokiem wpatrywała się w pustą zagrodę. -

Szeryfa...

- Jillian...

Otoczył ją ramieniem. Odsunęła się.

- Nie, nie rozkleję się. - Głos jej zadrzał, ale oczy miała suche. - Nie dam im tej satysfakcji.

Może byłoby lepiej, gdyby się rozplakała, pomyślał Aaron. Ale widział po jej minie, że podjęła decyzję i jej nie zmieni.

- Dobrze. Zajrzyj do obory, a ja sprawdzę stajnię.

Tak jak się spodziewała, boks małego był pusty. We wpadających ukosem promieniach słońca unosiły się cząsteczki kurzu. Ponownie zacisnęła pięści. Ktoś ukradł jej cielaka. Dopadnie tego

bandytę! Obróciwszy się na pięcie, wyszła na dwór. Po chwili dołączył do niej Aaron. Nie musiał nic mówić ani o nic pytać. Razem weszli do domu.

Wiedział, że Jillian nie puści tego płazem. Przyglądał się jej z podziwem, ale i z troską. Owszem, wciąż była blada, ale kiedy rozmawiała z szeryfem, głos już jej nie drżał. Pobrzmiewała w nim siłą i determinacją. Nie, ta kradzież nie ujdzie złodziejom na sucho.

Przed oczami stanął mu obraz Jillian tulącej nowo narodzone cielę. Ilekroć opowiadała o małym, na jej twarzy malowała się tkliwość. Niby wiedziała, że nie powinno się podchodzić emocjonalnie do hodowanych przez siebie zwierząt, że to błąd, za który można srogo zapłacić, ale czasem człowiek popełnia błędy.

Pogrążony w zadumie, zaczął parzyć kawę. Zastanawiał się, co kierowało złodziejem.

Chciał zabić cielaka na mięso? Zysk mały, ryzyko duże. Z drugiej strony żaden ranczer w okolicy nie kupiłby młodego hereforda, którego tak łatwo można by zidentyfikować. Złodziej musi być albo chciwy, albo głupi. Tak czy inaczej łatwiej go będzie złapać.

Jillian, oparta o ścianę w kuchni, rozmawiała przez telefon. Nie przerywając rozmowy, skinieniem głowy podziękowała za kubek z kawą. Aaron pociągnął łyk z własnego kubka i stanął przy oknie. Spoglądając na pola, dumał nad tym, jak powinno się postępować z piękną, upartą i niezależną kobietą, która ma więcej odwagi i waleczności niż niejeden facet.

- Obiecał, że natychmiast przystąpi do działania - oznajmiła, odwieszając słuchawkę. -

Wyznaczę oddzielną nagrodę za małego. - Jednym haustem opróżniła pół kubka. - Jutro znów się wybiorę do Związku Hodowców. Będę nalegać, żeby coś zrobili. Złodzieje nie mogą być bezkarni. - Zerknęła do kubka, po czym opróżniła go do dna. - Dopadnę ich, Aaron. Ta kradzież to zuchwałstwo. A taki człowiek, zuchwały i arogancki, prędzej czy później wpadnie w zastawione na niego sidła.

- Masz rację - powiedział, odwracając wzrok od okna.

- Co tak szczerzysz zęby?

- Bo pomyślałem sobie... na miejscu złodziei, gdybym widział twoją minę, to zwiewałbym gdzie pieprz rośnie.

Uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Dziękuję. - Wstawiła kubek do zlewu.

- Jesteś głodna? Przyłożyła rękę do brzucha.

- Sama nie wiem.

- To idź się wykąp, a ja przygotuję coś do jedzenia.

Podeszła do niego i na moment się przytuliła. Jak to możliwe, że Aaron tak dobrze ją zna? Instynktownie wyczuł, że chce побыć sama, choć przez kilka minut, aby poukładać sobie wszystko w głowie.

- Dlaczego jesteś dla mnie taki dobry? - spytała szeptem.

- Diabli wiedzą. - Potarł brodą o jej włosy. - No, leć.

Uściskawszy go, ruszyła posłusznie na górę. Żałowała, że nie potrafi wyrazić słowami swej wdzięczności. Bo rzeczywiście nie potrafiła, a przecież chciała powiedzieć Aaronowi, jak bardzo docenia to, że jest przy niej, lecz się nie narzuca. Potrzebowała czasu, aby się przekonać, z jak wyjątkowym mężczyzną ma do czynienia. Teraz już wiedziała.

Rozbierając się, odkryła, że ma znacznie więcej obolałych miejsc na ciele, niż sądziła.

Może to i lepiej, pomyślała, napełniając wannę wodą. Rozsądniej skupić się na zewnętrznych ranach i obtarciach, niż pogrążyć w rozterkach duchowych. Wiedziała, że to głupie, ale nie umiała pozbyć się wyrzutów sumienia. Dziadek zostawił jej ogromne ranczo, a ona nie potrafiła ochronić zwierząt przed złodziejami. Gdyby Clay Baron żył, gdyby ją porządnie zrugął...

Krzywiąc się z bólu, zanurzyła się w wodzie. Kto mógł dopuścić się tak haniebnego czynu? Któryś z jej pracowników? Całkiem możliwe. Wystarczyłoby podjechać do zagrody ciężarówką, załadować do skrzyni cielaka...

Postanowiła, że sama również rozpocznie dochodzenie. Może ktoś coś zauważył? A może złodzieje, wierząc w swoją bezkarność, stali się nieostrożni i zaczęli szastać pieniędzmi?

Biedny cielaczek. Kto go teraz będzie drapał po uszach, kto będzie do niego czule przemawiał?

Leżała w wannie, starając się o niczym nie myśleć. Ciepła woda działała cuda: ból minął, przygnębienie też. Dopiero po godzinie Jillian opuściła łazienkę. Docierające z dołu zapachy sprawiły, że poczuła się głodna.

Weszła do kuchni, zamierzając coś powiedzieć, kiedy nagle zorientowała się, że kuchnia jest pusta. W stojącym na piecyku rondlu coś bulgotało. Nie mogąc się oprzeć pokusie, uniosła pokrywkę i wciągnęła w nozdrza zapach. Mmm, gęste, aromatyczne chili.

Ślinka napłynęła jej do ust.

Sięgnawszy po drewnianą łyżkę, zaczęła mieszać w garnku. Może by skosztować?

- Za coś takie mama biła mnie po łapie. Podskoczyła, a pokrywka z brzękiem wypadła jej z ręki.

- Psiakość, Murdock. O mało nie dostałam przez ciebie za... - Urwała, spostrzegłszy bukiet polnych kwiatów.

Niektórzy mężczyźni wyglądaliby śmiesznie, trzymając w wielkiej, spracowanej ręce delikatne polne



kwiatki. Inni mogliby się czuć nieswojo. Aaron ani śmiesznie nie wyglądał, ani nie czuł się niezręcznie. Stał, uśmiechając się szeroko.

Najwyraźniej wprawił ją w zdumienie. Bardzo dobrze, pomyślał zadowolony.

Splótłszy dłonie, zaczęła nerwowo wyłamywać sobie palce. Aaron przyglądał się jej z zafascynowaniem. Gdyby wiedział, że tak zareaguje na widok kwiatów, już dawno by ją nimi obsypał.

- Kąpiel pomogła? - Podszedł bliżej.

- Ogromnie - rzekła, cofając się.

- Coś nie tak? - spytał z poważną miną, ale oczy mu się śmiały.

- Nie, skądże. To chili pachnie wspaniale.

- Nauczyłem się je przyrządzać parę lat temu. Na spędzie. - Schyliwszy głowę, pocałował Jillian w policzek. - Nie chcesz kwiatów?

- Nie.. ja... - Wyciągnęła rękę i wzięła bukiet.

- Są śliczne.

- Pachną tak jak twoje włosy - szepnął. Nagle dostrzegł lęk w jej oczach i coś go tknęło. - Czy nikt ci nigdy nie dał kwiatów?

Dal, wieki temu, w eleganckim pudełku ozdobionym kokardą.

- Owszem - odparła ze wzruszeniem ramion.

- Czerwone róże.

W jej głosie pobrzmiwała ostrzegawcza nuta. Delikatnie owinął wokół palca miękką kosmyk rudych włosów.

- Róże są dla grzecznych dziewczynek. Popatrzyła na bukiet barwnych kwiatów.

- Wiem. Wydawało mi się, że... - zamilkła. Pociągnął ją za kosmyk. Podniosła wzrok.

- Że co? Że taka właśnie jesteś? Nie odpowiedziała.

- Kochałaś go? - Nie był pewien, dlaczego draży ten temat, ale nie umiał przestać.

- Aaron...

- Kochałaś?

Westchnęła ciężko, po czym napełniła wazon wodą.

- Byłam bardzo młoda, a on pod wieloma względami przypominał mojego ojca. Ojciec kochał mnie, bo musiał, nie dlatego, że chciał.

- Wstawiła kwiaty do wody. - Wydawało mi się, że jeśli zdołam uszczęśliwić chłopaka, to ojciec też będzie szczęśliwy. Głupia byłam.

- Nie odpowiedziałś na moje pytanie. - Zdumiał się, że zazdrość ma tak gorzki smak.

- Bo chyba sama nie znam odpowiedzi.

- Wciągnęła nosem powietrze. Zapach jedzenia mieszał się z zapachem kwiatów. - To co, jemy?

Zesztywniała, czując ręce Aarona na ramionach. Obrócił ją twarzą do siebie. Przez moment bała się, że powie coś miłego, tkliwego, co mogłoby ją doprowadzić do łez. Na szczęście tylko objął ją w pasie i pocałował. Zarzuciła mu ręce na szyję i odwzajemniła pocałunek. Czowała klucie w sercu, ale tłumaczyła sobie, że ono nic nie znaczy, że to tylko pożądanie.

- Jemy - odparł. - Ale szybko. Bo od kilku godzin marzę o tym, żeby się z tobą kochać.

- Hm, już nie jestem głodna.

- O nie, nie! - zawołał ze śmiechem. - Kiedy ja gotuję dla kobiety, ona musi zjeść. -

Klepnął ją przyjaźnie w pupę. - Gdzie trzymasz miski?

Podawała mu dwie i patrzyła, jak nakłada całkiem spore porcje.

- Pachnie wspaniale. Masz ochotę na piwo? Kiedy skinął głową, wyjęła z lodówki dwie puszki i przelała ich zawartość do szklanek.

- Jeśli ci się kiedykolwiek znudzi hodowla bydła, mogę cię zatrudnić jako kucharza.

- Dzięki. Miło mieć coś w odwodzie.

- Teraz dla pracowników Utopii gotuje niejaka ciotka Sally... - Podniosła widelec do ust i nagle poczuła, jak całe podniebienie ją piecze.

- Sporo dałeś ostrych papryczek.

- Za dużo?

- Ostrości nigdy nie za wiele.

Roześmiał się wesoło. Jillian jadła ze smakiem, od czasu do czasu chłodząc język zimnym piwem.

- Biedacy na festynie nie wiedzą, co tracą - powiedziała, opróżniwszy miskę do czysta.

- Nieczęsto się zdarza tak pyszne jedzonko.

- Dokładka?

- Och, nie, dzięki. Kolejna porcja wypaliłaby mi trzewia. Ale naprawdę bardzo mi smakowało.

- Kiedy byłem dzieckiem, pracował u nas pewien Meksykanin. Facet był piekielnie zdolny, znał się na hodowli bydła jak mało kto. Któregoś roku spędziłem z nim na prerii całe lato. Kiedyś przyrządę ci placki meksykańskie według jego przepisu.

Oparła łokcie na stole, a brodę na dłoniach. Aaron ciągle ją czymś zadziwiał.

- Co się z nim stało? Z tym Meksykaninem?

- Odkładał zarobione pieniądze, potem wrócił do Meksyku i kupił własne ranczo.

- Udało mu się spełnić swoje marzenie...

- A inni miesięczne zarobki przegrywają w pokera.

Pokiwała głową.

- Grywasz w karty? - spytała.

- Zdarza mi się. A ty?

- Grywałam z dziadkiem. I zamierzam wykorzystać kilka pokerowych sztuczek do walki ze złodziejami.

Przyjrzał się jej uważnie.

- To znaczy?

- Ludzie stają się mniej ostrożni, kiedy myślą, że cię pokonali. Ale łaszcząc się na małego, złodzieje popełnili duży błąd. Bo ja go znajdę. Wynajmę prywatnego detektywa.

Wolę zapłacić komuś nawet duże pieniądze, byleby ukrócić ten proceder.

Podeszła do zlewu i zaczęła zmywać naczynia.

- Ile cię to kosztowało, Jillian? Obejrzała się przez ramię.

- Na detektywa jeszcze mnie stać.

- Związek Hodowców na pewno by cię wspomógł.

- Może, ale musieliby być wtajemniczeni w moje plany. A im mniej osób będzie wiedziało o prywatnym dochodzeniu, tym większa szansa, że zakończy się sukcesem.

- Chciałbym ci jakoś pomóc. Wzruszona, objęła go za szyję.

- Już to zrobiłaś. I nigdy tego nie zapomnę.

- Słuchaj, mógłbym oddelegować paru swoich ludzi, żeby patrolowali twój teren...

- Aaron, nie...

- Widzisz, jaka jesteś paskudna? - przerwał jej w pół słowa. - Mógłbym też sam pracować u ciebie, dopóki się sprawa nie wyjaśni.

- Nie, to wyklu... - Nie dokończyła, bo zamknął jej usta pocałunkiem.

- Nie chcę patrzeć, jak się zadręczasz - szepnął, przesuwając dłonie po jej plecach. -

Cierpię, widząc cię taką nieszczęśliwą.

Starła się skupić na słowach Aarona, ale nie potrafiła. Jego pocałunki i pieszczoty pozbawiały ją zdolności logicznego myślenia. Zamknęła oczy, czując, jak budzą się w niej wszystkie zmysły. Może by próbowała się bronić, ale nie mogła wykrzesać z siebie sił.

Wiedział, że tylko w ten sposób pomoże jej choć na chwilę zapomnieć o problemach.

Nie działał z wyrachowania, nie podjął świadomej decyzji, po prostu pragnął tej kobiety jak żadnej w życiu. Zgarnął ją w ramiona i wyszedł z kuchni. Chciała zaprotestować, ale... ale Aaron nie robił nic wbrew jej woli.

- Pragnę cię... - szepnął jej do ucha, a jej po krzyżu przebiegł dreszcz.

Powinien ją zanieść do łóżka, ale sypialnia była za daleko. Powinien ją pieścić wolno, delikatnie, ale nie potrafił opanować podniecenia. Z ustami złączonymi w pocałunku, opadli na kanapę w salonie...

Bała się romantycznych gestów, blasku świec, czułych słówek, kwiatów. Ale pożądanie rozumiała. Pożądanie było czymś normalnym, prawdziwym, czego nie można udawać.

Odplynęła. Razem przenieśli się w inny wymiar czasu i przestrzeni. Każdy pocałunek oddalał ją od świata, w którym dotąd szukała szczęścia. Kiedyś pragnęła spokoju i samotności, teraz pragnęła jedynie Aarona. Zrzucili ubranie na podłogę. Jego usta ją piekły, dotyk palił.

- Nie sprawiam ci bólu? - Przypomniał sobie o jej sińcach.

- Nie. - Przyciągnęła go z powrotem. - Nie jestem z porcelany...

Zmienił taktykę. Teraz każdy dotyk był muśnięciem, lekkim jak tchnienie wiatru. Jej podniecenie narastało. Miała wrażenie, że fruwa, że unosi się w powietrzu. Uwielbiała szorstkość zarostu Aarona, odciski na jego dłoniach, zapach jego skóry. Z trudem oddychała, serce waliło jej jak

młotem.

Stracili poczucie czasu. Dawali i czerpali rozkosz, pieścili nawzajem swoje ciała.

Słońce chyliło się coraz niżej, zapadał zmierzch. Ciszę panującą w domu zakłócały jedynie westchnienia, przyspieszony oddech - i wreszcie krzyk rozkoszy. Potem leżeli przytuleni, wpatrując się w ciemniejące niebo. To było jak sen, pomyślała Jillian; jak cudowny sen, który stał się prawdą. Złękła się własnych uczuć.

- Mmm, jesteś taka ciepła i mięciutka...

- Jeszcze nigdy nie było mi tak dobrze - szepnęła.

- Będzie jeszcze lepiej.

Ze strachu przed nieznanym i przed własną chęcią poddania się miłości, wysunęła się z objęć Aarona.

- Nigdy nie wiem, jak cię traktować - powiedziała, siląc się na lekki, żartobliwy ton.

- Dlaczego?

Sięgnęła po koszulę i zaczęła się ubierać.

- Mam wrażenie, że jest w tobie kilka różnych osób. Kiedy wydaje mi się, że już cię znam, nagle stajesz się kimś innym.

- Nieprawda. - Chwycił ją za poły koszuli i przyciągnął do siebie. - Jestem wciąż sobą, a zmienne nastroje... każdy je ma.

- Wiem. - Przycisnęła usta do jego nadgarstka. - Ale nie umiem cię rozgryźć.

- A chciałabyś?

- Tak. Mam prostą, nieskomplikowaną naturę, więc...

- Chyba żartujesz?

- Bynajmniej - odparła lekko speszona, ubierając się. - Lubię wiedzieć, na czym stoję, jakie mam opcje, czego inni ode mnie oczekują. Po prostu lubię jasne sytuacje; wtedy mogę skupić się na pracy, nie zastanawiać, co by było, gdyby... Nie spuszczał z niej wzroku, podniósł z podłogi spodnie.

- Najważniejsza dla ciebie jest praca?

- Akurat na tym się znam. Na prowadzeniu rancza. Kocham ziemię, przyrodę...

- A co z ludźmi?

- Ludzi nie rozumiem. Przynajmniej większości z nich.

Włożył koszulę.

- Mnie też nie?

- Czasami - przyznała. - Najlepiej rozumiem cię wtedy, kiedy jestem na ciebie zła.

Kiedy indziej zaś... - Urwała; za głęboko w to brnęła.

- Kiedy indziej zaś...? Dokończ - poprosił, wyciągając do niej rękę.

- Kiedy indziej sama nie wiem. Nie sądziłam, że ty i ja...

- Że co, Jillian? - Delikatnie gładził ją palcem w zgięciu łokcia.

- Że zostaniemy kochankami. Nie spodziewałam się... - Dlaczego serce waliło jej tak mocno? Wzięła głęboki oddech, chcąc spowolnić jego bicie. - Nie spodziewałam się, że będę cię tak bardzo pragnąć.

- Serio? - Coś w jej spojrzeniu sprawiło, że postanowił zaryzykować i wyznać jej prawdę.

- A ja cię zapragnąłem od pierwszej chwili. Odkąd zobaczyłem, jak galopujesz na tej swojej klaczy. Nie spodziewałem się natomiast czegoś innego: że odkryję w tobie takie pokłady czułości.

- Aaron...

Potrząsnął głową, nie dając sobie przerwać.

- Myślę o tobie w dzień i w nocy. Na samo wspomnienie tego, jak wymawiasz moje imię, robi mi się ciepło na sercu.

- Aaron, nie... Poczuł, jak Jillian drży.

- Właśnie że tak. Najwyższy czas, abyś to usłyszała. Kocham cię.

Wpadła w popłoch.

- Och, nie, nie musisz tego mówić! Wcale tego nie oczekuję. Ja naprawdę... -

trajkotała bez opamiętania.

- No, uspokój się. - Potrząsnął nią. - Wiem, co muszę, a czego nie muszę. I nie obchodzi mnie, czego ty oczekujesz, a czego nie. Po prostu mówię, że cię kocham.

Z trudem panowała nad złością. Bała się takich deklaracji, takich pustych frazesów; ludzie nadużywają słowa „kocham”.

- Aaron, uprzedzałam cię: nie jestem romantyczką i nie lubię romantycznych uniesień.

Cokolwiek jest między nami...

- Cokolwiek jest między nami... - Nie znał dotąd tak wielkiego bólu; nawet nie przypuszczał, że można tak bardzo cierpieć. Przed chwilą po raz pierwszy w życiu powiedział

kobiecie, że ją kocha. A ona... - Więc co, twoim zdaniem, jest między nami? - Przejechał

dłonią po lekko wgniecionych poduchach na kanapie. - Tylko pożądanie?

- Ja... - Toczyła zawziętą walkę z samą sobą. - Myślałam, że ty niczego więcej... -

Wystraszona, wsunęła ręce we włosy. Dlaczego to zrobił? Dlaczego się tak zachował? Akurat teraz, gdy zaczynała rozumieć, czego on chce i czego ona oczekuje. - Nie wiem, na co liczysz.

Ale nie mogę ci dać nic więcej.

Rozluźnił palce zaciśnięte na jej ramieniu i opuścił dłoń, po czym wolno zaczął

zapinać guziki koszuli.

- Nie chce mi się wierzyć, że masz serce jak sople lodu, Jillian. Ale jeśli tak jest, jeśli do szczęścia wystarczy ci ciepłe ciało, do którego można się przytulić w zimną noc, bez trudu je znajdziesz. Ja pragnę czegoś więcej.

Odprowadziła go wzrokiem do drzwi, a potem ciszę przerwał warkot silnika. Na zachodnim niebie zgasły ostatnie promienie słońca.

## **ROZDZIAŁ DWUNASTY**

Harował od świtu do nocy, poganiał bydło, wdychał kurz, pił za dużo, jadł za mało, spał niewiele. Czasem - ale tylko czasem! - udawało mu się nie myśleć o Jillian.

Po trzech tygodniach wszyscy mieli go dość; nie sposób było z nim wytrzymać. Gdy tylko oddalał się parę kroków, pracownicy zaczynali narzekać. To przez kobietę, mówił jeden drugiemu. Tylko baba może doprowadzić faceta do takiego stanu. Jillian. No cóż, Murdockowie nigdy nie potrafili dogadać się z Baronami, więc nic dziwnego, że panna Baron złamała serce Aaronowi. Tego się można było spodziewać.

Aaron ignorował plotki. Dołączył do kowbojów na obozowisku po to, by pracować bez wytchnienia, tak długo, aż zdoła zapomnieć o Jillian. Nie zamierzał się przed nią płaszczyć; miał swój honor i swą dumę. Wyznał jej miłość, a ona ją odrzuciła. Jasno dała mu do zrozumienia, że nie powinien liczyć na wzajemność.

Zlany potem, ustawił w dołku kolejny słup. Owszem, Jillian była pierwszą kobietą, w której się zakochał, ale to nie znaczy, że już żadnej innej nie pokocha. Z całej siły walczył

młotkiem, wbijając słup głębiej w ziemię.

Tamtego dnia nie miał zamiaru mówić jej o swoich uczuciach; jakoś tak samo wyszło.

Może Jillian spodziewała się piękniejszych słów, może... Zresztą nieważne. Zaczął rozciągać drut między słupami. Jillian Baron jest zimna i uparta, bardziej troszczy się o swoje bydło niż o uczucia ludzi.

Boże, jak strasznie ją kochał!

Ścisnął drut tak mocno, że kolce przebiły skórzaną rękawicę i zraniły go w dłoń.

Zaklął siarczyście. No trudno, musi przejść nad wszystkim do porządku dziennego. I zająć się własnym ranczem.

Przerwawszy na moment pracę, popatrzył przed siebie. Miał wrażenie, że wokół

rozciąga się ocean soczystej, falującej na wietrze zieleni. Niebo było bezchmurne, słońce przygrzewało.

Posiadał tysiące akrów ziemi i tysiące sztuk tłustego, zdrowego bydła. Oddałby połowę swojego majątku, żeby choć przez jeden dzień móc nie myśleć o Jillian.

Po zachodzie słońca zmył z siebie pot i kurz. Przez otwarte okno chaty dolatywał

zapach smażonego mięsa. Ktoś brzdąkał na gitarze, śpiewając piosenkę o nieszczęśliwej miłości. Aaron nie był głodny; bardziej miał ochotę na piwo niż na stek, ale wiedział, że nie można pracować o pustym żołądku, więc posłusznie zjadł przydziałową porcję. Potem wypił

jedno piwo, drugie, a kiedy inni przystąpili do gry w pokera, wziął sześciopak i usiadł na wąskim, drewnianym ganku.

Na niebie zapalały się gwiazdy. W pewnym momencie kojot zawył do księżyca. W

powietrzu, niewiele chłodniejszym niż za dnia, czuć było zapach koniczyny i dzikiej róży.

Wsparty o drewnianą balustradę, Aaron starał się opróżnić głowę z wszelkich myśli. Bez skutku.

Przed oczami przesuwały mu się różne obrazy. Widział Jillian nad stawem, ubraną i wściekłą; widział ją roześmianą, leżącą na plecach, z włosami rozsypnymi na ziemi; widział

ją szlochającą po ich dramatycznym odkryciu w kanionie. Była zmienna: raz słodka i czuła, kiedy indziej spięta i drażliwa. Nie miała łatwego charakteru, ale kochał tylko ją. I tylko ona potrafiła zadać mu ból.

Hm, źle to rozegrał. Za szybko się poddał. Ale po raz pierwszy w życiu znalazł się w takiej sytuacji. Zsunąwszy z czoła kapelusz, popatrzył z zadumą na rozgwieżdżone niebo.



Czas najwyższy dać Jillian nauczkę. Nie, nie zamierzał jej o nic błagać. Lecz będą razem, to wiedział na pewno.

Obejrzał się, kiedy za jego plecami zaskrzypiały siatkowe drzwi.

- Prześladowuje mnie pech.

Po barczystej sylwetce Aaron rozpoznał Jennsena. Facet pracował u niego dopiero pierwszy sezon, lecz wykazywał się sporym doświadczeniem. Był małomówny, trzymał się na uboczu. Mógł mieć zarówno trzydzieści pięć, jak i pięćdziesiąt lat; trudno było odgadnąć.

- Co, karta nie idzie? - spytał Aaron, patrząc, jak kowboj skręca papierosa. Zauważył, że palce mu drżą.

- I to od kilku tygodni - przyznał Jennsen. Skinieniem głowy podziękował za piwo i usiadł na pierwszym stopniu. - Kłopot w tym, że kusi mnie hazard. - Pociągając łyk piwa, zerknął na Aarona. Od pewnego czasu chciał z nim pogadać i może teraz, po paru piwach, wreszcie zdobędzie się na odwagę. - Tobie w kartach szczęście sprzyja?

- Czasem tak, czasem nie - odparł Aaron, podejrzewając, że Jennsen zaraz poprosi go o zaliczkę.

- Szczęście to dziwna rzecz. - Wierzchem dłoni kowboj przetarł usta. - Jeden traci, drugi zyskuje. Na przykład Jillian Baron straciła tyle sztuk bydła, a złodziej się wzbogacił.

W głosie swego rozmówcy Aaron wychwycił nutę goryczki. Jakby nigdy nic, podał mu kolejną butelkę piwa.

- Łatwo się wzbogacić cudzym kosztem. Swoją drogą tej kradzieży dokonano po mist-rzowsku.

- Fakt. - Jennsen zaciągnął się skrętem. Słyszał plotki na temat Murdocka i Jillian Baron, ale nie bardzo w nie wierzył. Krążyły też opowieści o waśniach trwających dziesiątki lat. Nic nie wskazywało na to, by się wkrótce miały zakończyć. - Murdockowie pewnie nie wylewają łez z powodu zarżniętych krów Baronów...?

Aaron wysunął przed siebie nogi i skrzyżował je w kostkach. Opuścił kapelusz, tak by rondo przysłoniło mu oczy.

- Każdy powinien pilnować własnych interesów.

Jennsen zwilżył wargi.

- Podobno twój dziadek przywłaszczał sobie ich bydło?

Aaron zmrużył oczy; z trudem pohamował gniew.

- To plotki. Nie ma żadnych dowodów. Jennsen pociągnął kolejny łyk piwa.

- Podobno ktoś podjechał ciężarówką pod samą zagrodę, załadował cielaka do skrzyni i zwyczajnie w świecie odjechał.

- Czasem najprostsza metoda bywa najskuteczniejsza. - Aaron starał się nie okazywać emocji. Czuł, że Jennsen bada grunt, i to bynajmniej nie w celu poproszenia o zaliczkę. -

Mam tylko nadzieję, że cielaka nie zarżnięto. Szkoda by było. Może wyrosnąć na świetnego rozplodnika...

- Czasem słyszy się różne rzeczy - mruknął Jennsen, przyjmując trzecią butelkę piwa.

- Podobno sam byłeś zainteresowany kupnem buhaja?

Aaron skinął z uśmiechem głową.

- Zawsze jestem zainteresowany powiększeniem stada o silne, zdrowe jałówki i byki.

Nie wiesz przypadkiem, gdzie mógłbym takowe znaleźć?

Jennsen przyjrzał mu się uważnie.

- Może i wiem - odparł w końcu.

Jillian zwolniła, mijając biały drewniany dom. Wokół nie było żadnych oznak życia.

Nic dziwnego, pomyślała. Nawet jeśli Aaron wrócił, to nie siedzi beczynnio w domu, tylko pracuje. Zresztą ona też powinna pracować, a nie przyjeżdżać na ranczo Murdocków. Ale nie mogła się powstrzymać. Jeżeli Aaron wkrótce się nie pojawi, to sama pojedzie do obozowiska i...

I co? Wciąż dręczyła ją rozterka: nie wiedziała, czego chce, co czuje, na co liczy. Ale jedno wiedziała ponad wszelką wątpliwość: że nigdy nie była tak nieszczęśliwa jak podczas ostatnich trzech tygodni.

Kiedy Aaron odszedł, miała wrażenie, jakby coś w niej umarło, coś, z czego istnienia nie zdawała sobie wcześniej sprawy. Była przekonana, że się w nim nie zakocha; powtarzała to sobie niezliczoną ilość razy, nawet potem, gdy już się zakochała. Ale skoro się zakochała, dlaczego nie była tego świadoma?

Może trudno jest rozpoznać ten stan, kiedy nigdy się go wcześniej nie doświadczyło?

Zresztą czy samodzielna, przyzwyczajona do wydawania poleceń kobieta może zakochać się w mężczyźnie równie upartym i niezależnym jak ona i łudzić się, że to miłość do grobowej deski?

Może Aaron wcale nie kłamał, mówiąc, że ją kocha? Może naprawdę mu na niej zależało? Westchnąwszy, zatrzymała dżipa przed domem Murdocków. Ale jeśli mu zależało, to dlaczego go tu nie ma? Wystraszył się? Zniechęcił? Gdyby tylko mogła zamienić z nim parę słów...

- Zamierzasz tam tkwić cały ranek?

Obejrząwszy się, zobaczyła, jak Paul Murdock przystaje na skraju werandy. Czym prędzej wysiadła, zastanawiając się nerwowo, jaki podać powód swojego przyjazdu.

- No chodź - powiedział starzec, zanim cokolwiek sensownego wymyśliła. - Karen przygotowuje mrożoną herbatę.

Czując się niezręcznie, Jillian weszła na werandę i przysiadła na krawędzi huśtawki.

- Aaron jeszcze nie wrócił - kontynuował mężczyzna. - Nie rób takiej zdziwionej miny

- warknął, zajmując miejsce na fotelu bujanym.

- Może jestem stary, ale nie ślepy. O co się posprzeczaście?

- Paul! - oburzyła się Karen, która wyłoniła się z domu ze szklankami i oszronionym dzbanem herbaty. - Jillian ma prawo do prywatności.

- Do jakiej prywatności?! Ona ugania się za moim synem.

- Ugania? - Jillian poderwała się na nogi.

- W życiu się za nikim ani niczym nie uganiałam. Jeżeli coś chcę, po prostu sobie biorę i już!

Starzec złapał się za brzuch i zaśmiewał do łez.

- Lubię cię, mała. Naprawdę cię lubię. Ma ładną buźkę, prawda, Karen? - zwrócił się do żony.

- Owszem, bardzo ładną. - Karen podała Jillian szklankę mrożonej herbaty.

- Dziękuję. - Jillian ponownie usiadła na huśtawce. - Wpadłam powiedzieć Aaronowi, że klacz miewa się dobrze. Obejrzał ją wczoraj weterynarz.

- Nic lepszego nie potrafiłaś wymyślić?

- Paul... - Karen usiadła na oparciu fotela i położyła rękę na ramieniu męża.

- Nie mam ochoty słuchać bajeczek - mruknął starzec, po czym wskazał laską na Jillian. - A może chcesz mi powiedzieć, że nie interesuje cię mój syn?

- Panie Murdock, mnie i Aarona łączą sprawy zawodowe - oznajmiła chłodno. - My...

- Słuchaj, komuś, kto stoi nad grobem, szkoda czasu na słuchanie takich bzdur -

przerwał jej Murdock. - Spójrz mi w oczy i powiedz, że nic nie czujesz do mojego syna.

Wtedy zaczniemy gadać o pogodzie.

Jillian otworzyła usta, po czym bezradnie potrząsnęła głową.

- Kiedy Aaron wróci? - spytała szeptem. - Nie ma go już trzy tygodnie.

- Wróci, jak zmądrzeje. Oboje jesteście siebie warci.

- Nie wiem, co robić - powiedziała, zaskakując samą siebie. Jeszcze nigdy na głos się do czegoś takiego nie przyznała.

- A czy wiesz, czego chcesz? - zapytała Karen.

Jillian przeniosła wzrok ze starca na jego piękną żonę. Dłoń Karen spoczywała na ręce męża. Stykali się ramionami. Rzadko, pomyślała, widuje się tak kochające małżeństwo.

Poczuła ukłucie zazdrości. I lęku. Bo uświadomiła sobie, że właśnie tego chce: takiej miłości.

I mężczyzny, z którym mogłaby dzielić życie. Ale nie wszystko zależy od niej.

- Powoli nabieram coraz większej pewności - odparła cicho.

Paul Murdock wskazał głową dżipa.

- Jeśli ten pojazd ma napęd na cztery koła, bez trudu mogłabyś dojechać do obozowiska.

- Nie. - Uśmiechnąwszy się smutno, Jillian odstawiła szklanekę. - To nie wchodzi w grę.

- Jesteś uparta jak osioł - mruknął starzec.

Nagle ciszę przerwał warkot silnika. Parę sekund później przed dom zajechała furgonetka Gila. Gil skinął głową Murdockom, lecz nie wysiadł.

Jillian zbiegła po schodach werandy.

- Co się stało? - spytała.

- Dzwonił szeryf. Zidentyfikowano małego. Dwieście kilometrów na południe stąd.

Szeryf chce, żebyś tam pojechała.

- Tam, czyli...? - Zacisnęła ręce na opuszczonej szybie.

- Na ranchu Larraby'ego. Wskakuj, to zawiozę cię.

- Zostaw tu dżipa - powiedział Murdock, wstając z fotela. - Każę któremuś z moich pracowników odstawić go do Utopii.

- Dziękuję. - Zajęła miejsce koło Gila. - Ruszajmy - rzekła, zatrzasnąwszy drzwi. -

Ciekawe, kto mógł rozpoznać tego cielaka?

Gil wypluł przez okno przeżuty tytoń.

- Aaron Murdock.

- Aaron?

- No - potwierdził, zadowolony z siebie. Dojechawszy do skrzyżowania, skręcił na południe. Nie zdejmował nogi z gazu.

- Ale jak? Od tygodni przebywa daleko od domu i...

- Jak dopuścisz mnie do słowa, to ci powiem.

- W porządku, mów. - W jej głosie pobrzmiwała nuta zniecierpliwienia.

- Podobno jeden z ludzi Murdocka maczał palce w kradzieży. Niejaki Jennsen. Facet czuł się pokrzywdzony przy podziale forsy, swoją część zresztą szybko przegrał w pokera. No i uznał, że skoro kradzież pięciuset sztuk bydła uszła im na sucho, to ukradnie jeszcze cielaka.

Dla siebie.

- I zabrał małego...

- Tak. Wiedział, że cielak wyrośnie na doskonałego buhaja. Zawiózł go więc do Larraby'ego, u którego kiedyś pracował. Ale kiedy szef złodziejskiej bandy zaczął coś podejrzewać, Jennsen postanowił czym prędzej opchnąć cielaka. Wczoraj usiłował sprzedać go Aaronowi.

- Rozumiem. Jest nadzieja, że poprzez Jennsena złapiemy resztę złodziei.

- Policja już zatrzymała kilka osób - powiedział Gil, przyglądając się jej z ukosa. -

Parę godzin temu aresztowano Carlsona.

- Joego Carlsona? - Zdumienie Jillian nie miało granic. - Naszego Joego?

- Podobno kupił sobie nieduże ranczo w Wyoming. I z tego, co słyszałem, pasie się tam ze dwieście twoich krów.

- Psiakrew... - Ufała Joemu. Zawsze uważała się za znawcę ludzkich charakterów.

Clay nie chciał Joego zatrudnić, lecz ona nalegała. Jedna z jej pierwszych samodzielnych decyzji okazała się taką pomyłką!

- Ja też dałem się nabrać - mruknął Gil, jakby czytał w jej myślach. - Joe świetnie znał

się na zwierzętach. - Splunąwszy przez okno, zacisnął gniewnie zęby. - Nie powinno się ufać kowbojowi, który ma czysty kapelusz i łapy bez odcisków.

- To ja go zatrudniłam.

- Ale ja z nim pracowałem. I powinienem był coś wcześniej zauważyć. A ja nic!

Byłem ślepy! Ten skurwiel wystrychnął mnie na dudka!

Słyszając nutę zranionej dumy w jego głosie, Jillian Wybuchnęła śmiechem, po czym oparła nogi o tablicę rozdzielczą. Liczyła na to, że odzyska część skradzionych zwierząt i że sprawiedliwości stanie się zadość. Może jej księgi rachunkowe nie wykażą większych strat? I może zdoła nawet kupić nowego dżipa?

- Gil... te wszystkie szczegóły znasz od szeryfa?

- Od Murdocka. Zaraz po rozmowie z nim przyjechałem po ciebie.

- Przyjechał do Utopii? - zapytała, siląc się na neutralny ton.

- Tak. Chciał osobiście przekazać ci wiadomość.

- Mówił coś jeszcze?

- Tylko że się śpieszy, bo ma mnóstwo spraw do załatwienia.

- Aha.

Czekała do zmroku. Wierzyła, że Aaron wpadnie lub zadzwoni, choćby po to, żeby dowiedzieć się, jak poszło. Przyszykowała w myślach dziesiątki wersji tego, co mu powie.

Chodziła z kąta w kąt, nie mogąc sobie znaleźć miejsca. Wreszcie dłużej nie mogła wytrzymać; poszła do stajni, by osiodłać konia.

- Mężczyźni - mruknęła, zaciągając popręg. Delila prychnęła podniecona. Po chwili światła Utopii zostały daleko w tyle.

Przejażdżka dobrze mi robi, pomyślała Jillian; ukoi nerwy, zaprowadzi ład w głowie.

Po takim dniu każdy czułby się oszołomiony. Odzyskanie cielaka złagodziło ból po zdradzie Joego. To niesamowite; facet systematycznie ją okradał, a jednocześnie wspierał ją radą i pociechą. Wyprowadzał bydło przez wyrwy w ogrodzeniu, a zarazem kierował jej podejrzenia w stronę Murdocków. Bardzo sprytnie. Nagle uświadomiła sobie, że dopóki nie znajdzie kogoś na jego miejsce, sama będzie musiała przejąć jego obowiązki.

I dobrze. Im więcej pracy, tym mniej czasu na myślenie. Jeżeli Aaron będzie chciał się z nią zobaczyć, może przyjechać z wizytą. Adres zna. Chyba słusznie go wtedy odtrąciła.

Owszem, było miło, ale wszystko wskazywało na to, że ich związek raczej nie miałby przyszłości.

Dotarła nad staw. Nie zamierzała tam jechać, po prostu koń sam obrał drogę. Lubiła to ciche, odosobnione miejsce, mimo związanych z nim wspomnień.

Na niebie świecił księżyc w pełni, który srebrzystym blaskiem powlekał cały krajobraz. Wmawiała w siebie, że wcale nie jest nieszczęśliwa, jedynie zmęczona długą jazdą, rozmową z szeryfem, koniecznością udzielania odpowiedzi na wiele pytań. Jakże mogłaby być nieszczęśliwa, skoro odzyskała znaczną część skradzionego bydła? Kiedy minie zmęczenie, na pewno odczuje radość. Na razie miała ochotę się rozplakać.

Nagle usłyszała prychnięcie, Delila zaś poczuła zapach Samsona. W tym samym momencie zza kępy drzew wyłonił się Aaron.

Wiedział, że Jillian prędzej czy później się pojawi. Mógł jechać do niej na ranczo lub czekać, aż ona przyjedzie do niego. Ale wolał spotkać się z nią tu, na tym skrawku ziemi, który należał do nich obojga.

Dobrze, lepiej stawić czoło prawdzie i mieć wszystko z głowy, pomyślała, zsiadając z konia. Ręce miała wilgotne ze zdenerwowania. W milczeniu przywiązała Delilę do gałęzi drzewa.

- Wróciłeś? - powiedziała, starając się zachować spokój.

Popatrzył na nią z rozbawieniem w oczach.

- A myślałaś, że nie wrócę?

- W ogóle o tobie nie myślałam - skłamała.

- Nie? A o tym myślałaś?

Przyciągnął ją do siebie i zacisnął wargi na jej ustach. Spodziewał się, że zacznie mu się wrywać, ale nie - z żarliwością, o której nie potrafił zapomnieć, odwzajemniła pocałunek.

Kiedy uniósł głowę, wtuliła twarz w jego klatkę piersiową. Aaron wciąż mnie pragnie, powtarzała w duchu. Jeszcze nie wszystko stracone.

- Przytul mnie - szepnęła. - Chociaż na chwilę.

Nie musiała tego powtarzać. Otoczył ją ramieniem, oparł brodę o jej czoło. Stali bez ruchu, objęci, wsłuchani w bicie dwóch serc.

- Chciałam ci podziękować za to, co zrobiłeś - rzekła wreszcie, uwalniając się z jego objęć.

- Szeryf przyznał, że gdyby nie ty...

- Nie, Jillian, nie chcę rozmawiać o zwierzętach.

- W porządku. - Przeszła nerwowo z nogi na nogę. Ma rację, powinni porozmawiać o sobie. O rzeczach ważnych. - Zastanawiałam się nad tym, co... co powiedziałeś, kiedy ostatni raz się widzieliśmy. - Zaczęła wykręcać sobie palce. Boże, przecież ćwiczyła w domu, co mu powie; dlaczego teraz nic nie pamięta? - Aaron, ja... ja naprawdę nie czekałam na wyznanie miłości.

- A ja nie dlatego ci ją wyznałem. Obróciła się wolno i spojrzała mu w oczy.

- To takie trudne...

- Co?

- Miłość.

Chciał podejść, wziąć ją w ramiona, ale coś w jej twarzy kazało mu się wstrzymać.

- Nikt nigdy nie kochał mnie tak, jak bym tego pragnęła - ciągnęła szeptem. - Tylko Clay. A on nigdy mi tego nie mówił. Nie musiał.

- Nie jestem Clayem. I kocham cię inaczej niż on. Lecz równie mocno.

Przysunął się krok bliżej. Nie cofnęła się, ale całe ciało miała napięte.

- Czego się boisz, Jillian?

- Niczego!

- Powiedz. Czego?

- Że przestaniesz. - Po tych pierwszych słowach tama puściła. - Że po pewnym czasie uznasz, że się pomyliłeś i że to wcale nie była miłość. Tymczasem ja zacznę na tobie polegać, marzyć o wspólnej przyszłości. Całe życie się tego wystrzeżałam, to znaczy polegania na drugim człowieku.

Otworzył usta. Nie dopuściła go do głosu.

- Odkąd wyjechałeś, nic mnie nie interesowało, na niczym nie mogłam się skupić.

Myślałam tylko o tym, kiedy wrócisz.

Położył dłoń na jej ramieniu.

- A teraz, kiedy już wróciłem?

- Chcę, żebyś został. Chcę... ale się boję.

- Ja też się boję. Nie tylko ty ryzykujesz utratę niezależności.

- Wiem. - Starła się oddychać głęboko, nie ulegać panice. - Ale ludzie nie zawsze szukają tego samego.



- To znaczy? Zwilżyła usta.

- Ożenisz się ze mną? - Zdziwienie w jego oczach sprawiło, że zeszywniała.

- Prosisz mnie o rękę?

Oswobodziła się, wściekła na siebie za to, że jest taką idiotką, i na niego za to, że z niej żartuje.

- Idź do diabła! - Obróciła się na pięcie. Zanim zdążyła odejść, złapał ją w pasie i przewrócił na ziemię.

- Chryste, ale z ciebie złoźnica! - Przygwoździł ją własnym ciałem, lecz ona mimo to usiłowała się wyrwać. - Coś mi się wydaje, że takie zapasy będą stałym elementem naszego małżeńskiego związku!

- Spokojnie odczekał, aż Jillian przestanie się szamotać i obrzucać go wyzwiskami. - Chciałem zadać ci to samo pytanie, ale nieco inaczej. Na przykład: Najmilsza moja, czy zgodzisz się zostać moją żoną? A ty mnie uprzedziłaś. - Uśmiechnął się, widząc jej zaskoczoną minę. - Boże, ależ jesteś piękna. Tylko się ze mną nie kłóć! Zamierzam ci to mówić, ilekroć najdzie mnie ochota.

- Ale... ale...

Pocałował ją, nie dając jej dokończyć. Po chwili ostrożnie puścił jej nadgarstki, jakby wciąż nie był pewien, czy Jillian nie da mu w zęby.

- Masz tydzień na uporządkowanie swoich spraw na ranczu...

- Co?

- Nie przerywaj. A w kolejnym tygodniu robimy sobie wolne od pracy i bierzemy ślub.

Leżała bez ruchu, czując, jak przepełnia ją szczęście.

- Ślubu nie bierze się przez tydzień - szepnęła.

- U nas tyle to potrwa. A kiedy wrócimy...

- Skąd?

- Skąd tylko zechcesz. - Uśmiechnął się. - Wtedy poczynimy dalsze plany.

- Hm, wspaniale... Aaron, powiedz to jeszcze raz. Patrząc mi w oczy.

- Kocham cię, Jillian. Nie tylko zresztą kocham. Ja cię także lubię.

Zacisnęła powieki. Kiedy je uniosła, zobaczyła nad sobą rozpromienioną twarz Aarona.

- Trudno wierzyć Murdockom, ale zaryzykuję.

- A Baronom?

- Baronowie nie rzucają słów na wiatr. Kocham cię, Aaron. I trochę ci współczuję, bo nawet nie wiesz, jaka zołza ci się trafiła na żonę. - Pocałowała go w usta. - A co do dalszych planów...?

- Możemy prowadzić dwa rancza, każdy swoje, albo możemy je połączyć i prowadzić wspólnie, to nie ma znaczenia. Najważniejszy jest dom. Zbudujemy go razem. Dla nas i dla naszych dzieci.

Możemy, zbudujemy... Liczba mnoga przejęła ją rozkosznym dreszczykiem podniecenia. Już nie ja i ty, lecz my.

- Gdzie?

Rozejrzał się wkoło. W blasku księżyca mieniła się srebrzyście tafla wody.

- Tu. Na samej granicy. Nad srebrzystym stawem.